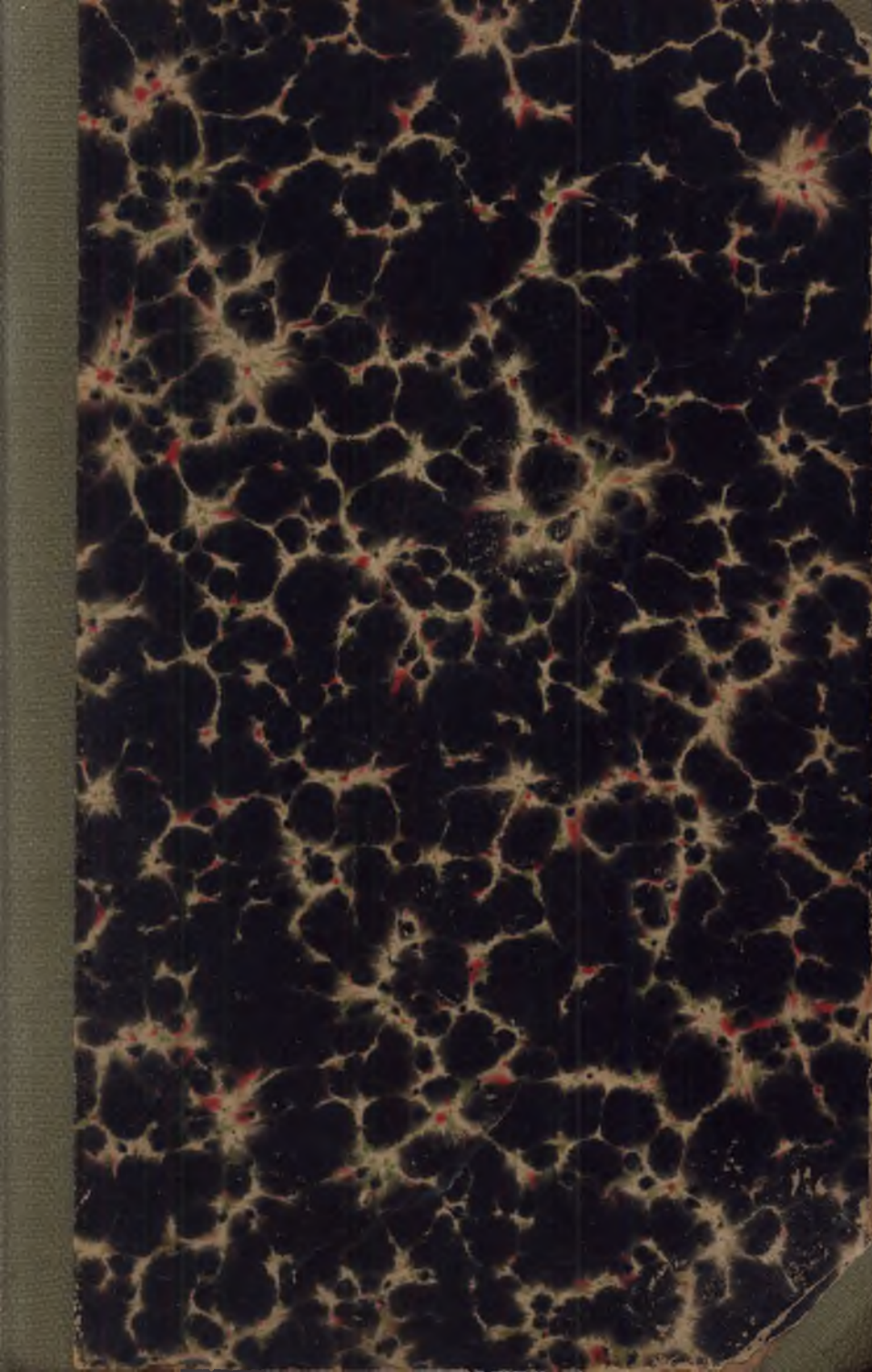
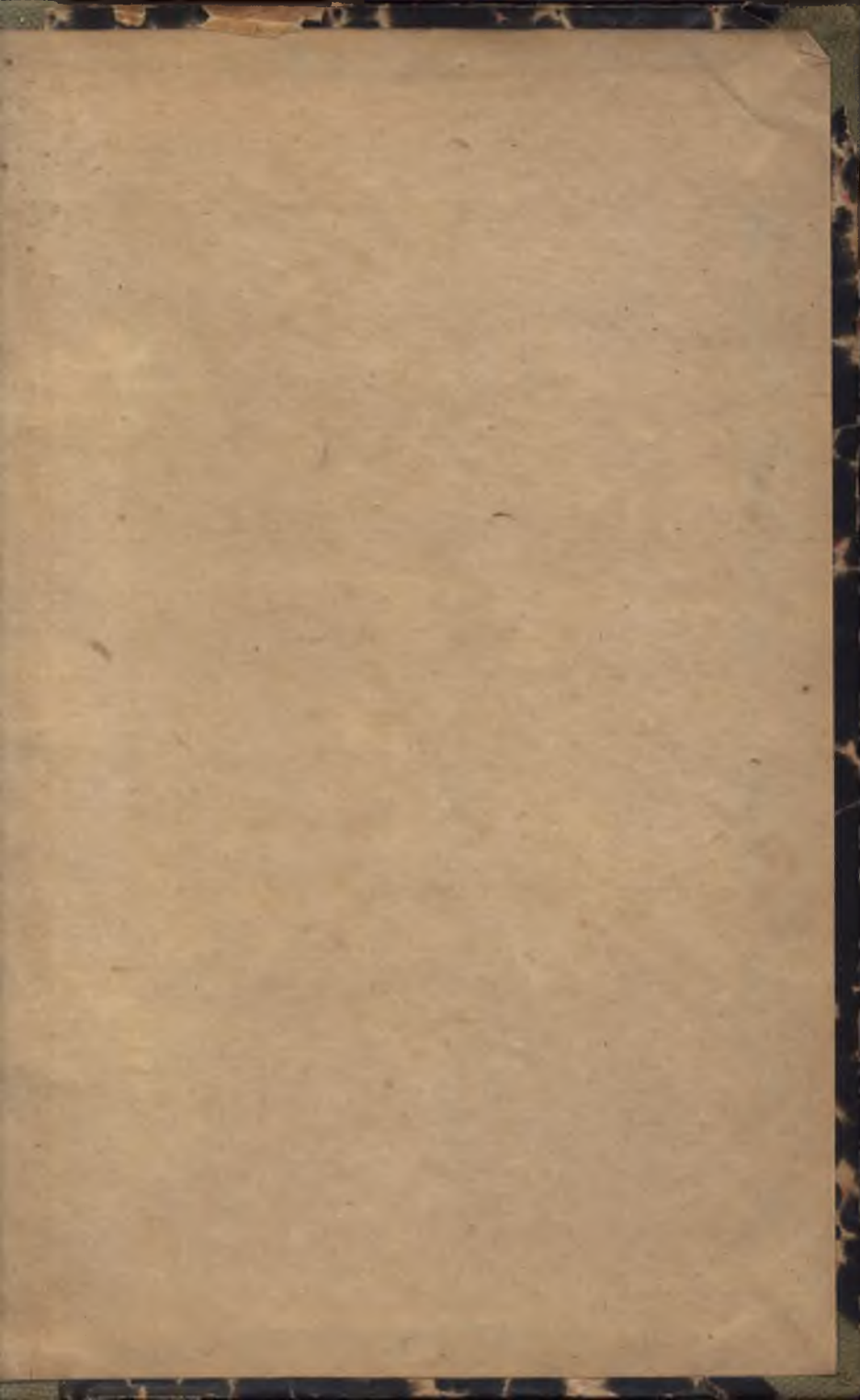






WYBÓR PISM
JULIUSZA SŁOWACKIEGO

WYBORY Z DZIEŁ NAJWYBITNIEJSZYCH PISARZY POLSKICH

Nr. 2.

WYBÓR PISM JULIUSZA SŁOWACKIEGO

WYBRAŁ I OBJAŚNIŁ

TADEUSZ PINI



KRAKÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SPÓŁKI
1915

DRUK W. L. ANCZYCA I SP. W KRAKOWIE.

SŁOWO WSTĘPNE.

Nieoceniona pod względem swej wartości artystycznej i doniosłości dla kultury polskiej, a znaczna bardzo co do rozmiarów, bo trzykroć większa od Mickiewiczowskiej, spuścizna poetyczna Juliusza Słowackiego przedstawia obraz niezwyklej wszechstronności. Nie tylko obejmuje ona wszystkie zasadnicze dziedziny poezyi, lirykę, epikę i dramat, i w każdej z nich stwarza skończone arcydzieła, ale nadto wprowadza do nich coraz to inne cele i środki artystyczne i tworzy w ten sposób nowe typy poematów; jeżeli zaś dodamy do tej różnorodności zewnętrznej ustawiczne doskonalenie się talentu poety, jego ciągły wzrost duchowy, otrzymamy obraz całości niezwykle barwny, a w swoim rodzaju jedyny. Jest to jakby potężna wieża gotycka, złożona z kornek marmurowych: twórca starał się o różnorodność motywów w swych rzeźbach, że zaś sam z biegiem długich lat pracy zmieniał się w coraz doskonalszego artystę, więc każde piętro wspaniałej budowy zachwyca widza nowemi a coraz wytworniejszemi dziełami.

Twórczość takiego poety scharakteryzować za pomocą wyboru jego pism — to zadanie stanowczo niełatwe. Co z nich wybrać i przedstawić czytelnikowi jako najważniejsze, czy to, co uważamy za najdoskonalsze pod względem artystycznym, czy też to, co się nam wydaje najdojrzalszem moralnie, etycznie? Czy to, co jest już powszechnie znanem i co ogół uważa za część tej spuścizny najdoskonalszą, czy też, wprost przeciwnie, to, co popularnością jeszcze się nie cieszy, a co zdaniem naszym najbardziej na nią zasługuje? Każda z tych zasad ma swoje zalety i wady — lecz autor niniejszego wyboru nie poszedł bezwzględnie za żadną z nich. Zdawało mu się, że najbardziej zasługuje na uwagę właśnie wspomniana powyżej różnorodność poezyi Słowackiego i że ją właśnie, która jest największym skarbem i najwyższą chlubą każdego twórcy, przedewszystkiem należy w wyborze tym uwzględnić. Taka myśl przewodnia musiała pociągnąć za sobą drugą zasadę: z pośród utworów równorzędnych podać mniej znane, aby wrażenie różnorodności bardziej jeszcze podkreślić, a przytem jak najdoskonalsze, bo wedle najwyższych wzlotów, a nie wedle chwilowych upadków oceniać się powinno twórców. Doskonałości artystycznej nie można tu oddzielać od wyżyn moralnych, bo Słowacki był tak niezwykle, tak wyjątkowo szczerym, że nigdy nie wypowiadał idei, które nie tkwiły mu głęboko w duszy, a im bardziej rosła w szlachetność dusza jego, tem wyżej także wznosił się jego artyzm.

Utworów z lat młodzieńczych nie uwzględniono tu prawie zupełnie. Jest to epoka, w której

Słowacki stawiał na sztucznych, przeważnie nawet nie swoich, koturnach, aby w oczach czytelników i własnych wyrósł na wielkiego artystę; utwory, z tego czasu pochodzące, określić miał Mickiewicz, jako »prześliczną świątynię — bez Boga«, a Słowacki sam osądził je później jeszcze surowiej i marzył o tem, aby je można było usunąć i zniszczyć, z twórczości jego wymazać. O ile więc owe »Hugony«, »Araby«, »Żmije«, »Bieleccy« i mniej lub więcej zimne a pretensjonalne »Hymny« i »Ody« są interesujące, a może nawet ważne przy badaniu całej spuścizny poetycznej Słowackiego, o tyle byłyby nie na miejscu w *wyborze* jego dzieł, gdzie musiałyby wyrugować sobą dzieła dojrzalsze lub skończone arcydzieła ostatniej epoki.

Wśród utworów lirycznych — a są nimi objęte wszystkie niemal arcydzieła Słowackiego z tego działu poezji — znajduje się również wspaniała »Odpowiedź na Psalmy Przyszłości«, którą Krasiński nazwał słusznie »jedną z przedziwności języka polskiego«. Stanowi ona w literaturze świata całego jeden z wyjątkowych a najbardziej jaskrawych przykładów, jak prawdziwy geniusz potrafi najsuchsze nawet abstrakcje i wstrętne zawsze poezji sprawy polityczne przemienić w porywające swą plastyką obrazy. Wiersz ten czytać należy naturalnie w bezpośrednim związku z »Psalmami« Krasińskiego, po »Psalmie miłości«, a przed, »Psalmem żalu«, a wtedy ma się przed sobą jedyną w swoim rodzaju walkę wielkich poetów, walkę, której przedmiotem są ideały narodowe, a celem wytyczenie narodowi drogi

w przyszłości. Potrzeba tu jednak choćby krótkiego wyjaśnienia powodów tej polemiki.

W r. 1844 ukazała się w Brukseli spora książka Henryka Kamieńskiego, wydana pod pseudonimem Filareta Prawdowskiego, a nosząca tytuł: »O prawdach żywotnych narodu polskiego«. Mówiąc o przyszłym powstaniu ludowem, radził Kamieński wciągnąć do działania także szlachtę, na wypadek jednak, gdyby szlachta występowała przeciw powstającemu ludowi i przeciw uwłaszczeniu chłopów groził jej Kamieński losem, którego doznała szlachta francuska w czasie wielkiej rewolucyi. Na ten ustęp książki odpowiedział Krasieński w »Psalmie miłości«, który wraz z dwoma mniejszego znaczenia wierszami wydał w Paryżu w r. 1845 jako »Psalmy Przyszłości«. Czy Słowacki rozumiał, gdzie leżało źródło namiętnych wybuchów dawnego przyjaciela i do kogo zwracał on wykrzyknik: »Hajdamackie rzućcie noże!«? Trudno osądzić stanowczo, zdaje się jednak, że rozumiał łączność wzajemną tych dwu dzieł, bo pyta ironicznie Krasieńskiego:

Czyś ty jeden z przerażonych
Ręką rzezi, gilotyną?

W każdym razie trudno mu było zrozumieć obawy, wyrażone w »Psalmie miłości«, boć nie przypuszczał przecież, aby one mogły się urzeczywistnić, aby szlachta polska w chwili powstania ludu polskiego przeciw ciemieżcom połączyć się mogła z mocarstwami zaborczemi i wystąpić przeciw ludowi. A w takim tylko wypadku spełnić się miała groźba Kamieńskiego.

Dalsze losy tej polemiki poetycznej dotyczą prawie wyłącznie Krasińskiego, to też wzmianka o nich znajduje się w trzecim tomiku tych »wyborów«, we wstępie do pism autora »Przedświtu«.

Z zakresu epiki znajdzie tu czytelnik najwspanialsze powieści poetyczne: »Ojca zadżumionych«, »W Szwajcaryi«, »Anhellego« i wreszcie »Beniowskiego«. Tego ostatniego poematu niepodobna było podać tu w całości: wraz z pośmiertnymi fragmentami zajmuje on spory tom; ale nie można było także opuścić tego największego arcydzieła epiki Słowackiego, więc trzeba było ograniczyć się do zamieszczenia z niego tylko wyjątków. Jeden z tych ustępów, sławne zakończenie pieśni V., wymaga znowu pewnego wyjaśnienia, a raczej przypomnienia stosunków, jakie łączyły dwu największych naszych poetów.

Słowacki miał dla Mickiewicza zawsze, już od dzieciństwa, cześć głęboką i szczerą, stosunki ich osobiste zatem, przy pierwszych spotkaniach się w Paryżu w r. 1832, ułożyły się łatwo, i były co najmniej poprawne. Ukazanie się trzeciej części »Dziadów«, w której ojczym Słowackiego przedstawiony był jako służalczy poplecznik Nowosilcowa, zerwało te stosunki, zmusiło Słowackiego do opuszczenia Paryża i przez długie lata było dla nich źródłem obrazy i obopólnej niechęci. Słowackiemu jednak ciężko to nieporozumienie i ten stan rzeczy, postanowił tedy podać »swemu wielkiemu pierwszemu«, jak nazywał Mickiewicza, rękę do zgody. Sposobność nadarzyła się w r. 1840.

Dnia 25 grudnia 1840 r. urządził Eustachy Ja-

nuszkiewicz ucztę na cześć Mickiewicza, który właśnie rozpoczął był swe wykłady w *Collège de France*, i zaprosił na nią około 40 osób, pomiędzy innymi także Słowackiego. W czasie uczty Słowacki improwizował na cześć Mickiewicza, Mickiewicz odpowiedział mu również improwizacją, poczem obaj poeci uściskali się i resztę wieczoru spędzili jak serdeczni przyjaciele.

Obie te improwizacye wywołały u słuchaczy niesłychany zachwyt. Pod wpływem potężnego wrażenia postanowiono za złożoną na prędce dość znaczną sumkę zakupić dwa srebrne puchary i wręczyć je na nowej uczcie jako oznakę hołdu obu poetom. Ale grono niechętnych Słowackiemu wielbicieli Mickiewicza z E. Januszkiewiczem na czele, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zmieniło tę myśl: zakupiono jeden tylko wielki puchar dla Mickiewicza, aby zaś Słowackiego tem bardziej upokorzyć, postanowiono, że puchar ten on właśnie w imieniu obecnych wręczy twórcy »Dziadów«, przyznając się w ten sposób jakby do duchowego wasalstwa wobec przeciwnika. Słowacki jednak, znając cały tok sprawy, na ucztę nie przyszedł. Zemszczono się na nim za to w ten sposób, że w poznańskim »Tygodniku literackim« (z dn. 22 lutego 1841) ogłoszono artykuł u. t. »Improwizatorowie«, w którym po bardzo uszczypliwych aluzyach do Słowackiego i jego »szatańskiej pychy«, stwierdzono, że Mickiewicz w improwizacji swej »oświadczył wręcz«, iż Słowacki »nie jest poetą«.

Oburzony tem kompromitującym go kłamstwem, dotknięty do żywego w najczulszą strunę du-

szy, oczekiwał Słowacki, że Mickiewicz kłamstwo to sprostuje, że sprawę wyjaśni. Ale Mickiewicz milczał. Wówczas postanowił rozdrażniony poeta zemścić się: w »Beniowskim«, którego właśnie pisał, zamieścił szereg złośliwych aluzji do swych przeciwników, w końcowym zaś ustępie V pieśni tego poematu uderzył z całą bezwzględnością na Mickiewicza i tych początkowych pięć pieśni wydał w tymże roku w Paryżu. Cios był tak silny, że skonsternowani przeciwnicy Słowackiego postanowili wyzwać go na pojedynek. Miał to uczynić A. Ropelewski, redaktor kilkakrotnie zaczepionej i ośmieszanej w »Beniowskim« »Młodej Polski«. Ale i tu rachuby zawiodły: Słowacki wyzwanie przyjął i zażądał jak najostrzejszych warunków, a wtedy Ropelewski stchórzył i od pojedynku odstąpił. Tryumf Słowackiego był zupełny, a »Beniowski« biczem satyry zjednał mu sławę wielkiego poety.

Tyle co do »Beniowskiego«.

Z pośród dramatów Słowackiego podajemy trzy utwory, które, niestety, pozostały niewykończone. W »Janie Kazimierzu« zwraca na siebie uwagę przedewszystkiem wyborna postać Haraburdy, rodzeniutkiego ojca Zagłoby. »Złota Czaszka« uchodzi słusznie za jeden z najlepszych dramatów Słowackiego, godny miejsca tuż obok »Pana Tadeusza«. Ma on z arcydziełem Mickiewicza wspólne źródło, z którego wypłynął: ogromną tęsknotę za ojczyzną, za minionemi niepowrotnie czasami młodości. Ona to pozwala poecie tak jasno i dokładnie przypomnieć sobie miejsca, w dzieciństwie jeszcze oglądane, i ludzi, dawno widzianych,

a teraz przeobrażających się w jego wyobraźni na tchnące szczerą prawdą życiową, przepyszenie podpatrzone postaci szlachty, zakonników, żaków, karczmarzy, dziewczek służebnych i żyjących z jałmużny kaleków. Ta galeryja typów, potrącających niekiedy o karykaturę, a jednak nakreślonych z serdeczną życzliwością, prawie miłością, niema poza »Pana Tadeuszem« równej sobie w naszej literaturze.

Na większą może jeszcze uwagę zasługują fragmenty (niestety, fragmenty tylko!) »Zawiszy Czarnego«. Z pośród licznych urywków, z jakich składa się rękopis, z pośród mieszaniny różnych pomysłów, wprowadzanych przez poetę, a nie przebranych już przez niego i nie ułożonych w harmonijną całość, podano tu tylko te ustępy, które odnoszą się do sprawy zasadniczej i grupują się około trzech postaci głównych: Zawiszy, Laury i Zorainy czyli Manduły. Bo oprócz wspaniałej, pełnej prawdziwie królewskiej powagi sceny pierwszej, kreślącej bohaterskiego Jagiełłę, a wprowadzającej mistyczny motyw chwilowego obłąkania Zawiszy, pochodzący ze zdeptania krzyża, w innych scenach ten pozornie główny motyw znika zupełnie a na plan pierwszy występuje kontrast dwu postaci: prostodusznego rycerza i subtelnej, trochę kokieteryjnej starościanki. Jakże głęboko jednak ujmuje Słowacki ten temat, który w czyjś innem opracowaniu byłby najprzypadopodobniej błahym i banalnym, jakie skarby umie odnaleźć w duszach swych bohaterów i przedstawić czytelnikom, w jaką powagę i w jaką szlachetność przystraja wszystkich bez wyjątku swych bohaterów! Laura Sanocka to jedna z najgłębszych

i najświetniej nakreślonych postaci kobiecych w całej naszej literaturze, a niektóre przemówienia jej i Zawiszy są najwspanialszemi określeniami szlachetnie pojętej miłości osobistej, na jakie język ludzki ogółem się zdobył.

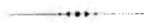
Niech mi wolno będzie tych kilka pobieżnych uwag zakończyć jedną jeszcze, najważniejszą. Ten skromny zbiorek, zawierający co do ilości zaledwie jaką piętnastą część spuścizny poetycznej Słowackiego, może pomimo to dać dosyć dokładne pojęcie o rodzaju jego geniuszu, pod jednym jednak warunkiem: należy go czytać nie poto, aby uchwycić tylko nić fabuły, ale wczytywać się trzeba nie jeden raz w ustępy tych arcydzieł, aby rozważać myśli poety i aby rozkoszować się jego artyzmem. Stąd krok już tylko do prawdziwego zrozumienia tej przepięknej i przebogatej duszy i do odczucia nieprzepartej potrzeby poznania całej bez wyjątku twórczości autora »Anhellego«, będącej największą chlubą naszego piśmiennictwa.

Tadeusz Pini.

SPIS RZECZY.

Słowo wstępne	Str. V.
UTWORY LIRYCZNE	
Grób Agamemnona	1
Odpowiedź na »Psalmy Przyszłości«	6
Do Autora »Skarg Jeremiego«	20
Ułamki	21
Kiedy prawdziwie Polacy powstaną	22
Pogrzeb kapitana Meyznera	23
Na sprowadzenie prochów Napoleona	26
Tak mi, Boże, dopomóż	28
Hymn	30
Chmury ,	32
Baranki moje	33
Dajcie mi tylko jedną ziemi milę	34
Gdy noc głęboka	34
Do Matki	35
W pamiętniku Zofii Bobrównej	36
Do Ludwiki Bobrównej	36
Wspomnienie Pani de St. Marcel. z domu Chau- veaux	37
Rozłączenie	39
W pamiętniku Maryi Wodzińskiej	41
Do pasteczek	41
Testament mój	43
POEMATY	
Ojciec zadżumionych	44
W Szwajcaryi	59
Anhelli	75

	Str.
Rozmowa z Matką Makryną Mieczysławską . . .	120
Beniowski	154
Z pieśni I	154
Z pieśni III	159
Z pieśni IV	174
Z pieśni V	184
Z pieśni VI	200
Z pieśni IX	202
Król-Duch Rapsod pierwszy, pieśń I	208
UTWORY DRAMATYCZNE	
Jan Kazimierz. (Szczątek dramatu)	230
Złota Czaszka. (Fragment dramatu)	239
Zawisza Czarny. Fragmenty dramatyczne	277



GRÓB AGAMEMNONA.

Ułamek z greckiej podróży.

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtóruje myśli posepnej i ciemnej —
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona ¹⁾
I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. — Jak mi smutno!

O, jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wiecznie słychać!
Druidyczna to z głazów wielkich grota,
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos; ta bieli płótno
I odzywa się z laurów: »Jak mi smutno!«

Tu po kamieniach z pracowną arachną ²⁾
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przędziwo —
Tu cząbry ³⁾ smutne gór spalonych pachną —
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów — a te puchy
Chodzą i w grobie latają, jak duchy.

¹⁾ Agamemnon, z rodu Atrydów, król Argos, po powrocie z pod Troi zginął, zamordowany przez żonę, Klytemnestrę. Mszcząc się śmierci ojca, syn jego, Orestes, za namową siostry Elektry zamordował swą matkę.

²⁾ Arachne, po grecku: pająk.

³⁾ Cząber lub cząberek, roślina kwitnąca.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowem pochowane słońcem,
Jakby mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. — Strasznym jest rapsodu końcem
Owe sykanie, co się w grobach słyszy:
Jest objawieniem, hymnem, pieśnią ciszy...

O! Cichy jestem, jak wy, o Atrydzi,
Których popioły śpią pod świerszczów strażą!
Ani mnie teraz moja małość wstydzi,
Ani się myśli, tak, jak orły, ważą —
Głęboko jestem pokorny i cichy
Tu — w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy.

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go wróble lub gołębie,
I listkami się czarnemi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza.
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszczu;

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło —
Tylko się słońcu stała większa szpara,
I wbiegło, złote, i do nóg mi padło.
Zrazu myślałem, że ten, co się wdziera,
Blask, była struna to z harfy Homera —

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
By ją ułoić, i napiąć, i drżącą
Przymusić do łez i śpiewu i złości
Nad wielkiem niczem grobów i milczącą
Garstką popiołów — ale w mojem ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

Tak więc — to los mój: na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych—
To los mój — senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczy głuchych
Albo umarłych! I tak, pełny wstrętu...
Na koń! Chcę słońca i wichru, tętentu!

Na koń! — Tu, łozem suchego potoku,
Gdzie zamiast wody płynie laur różowy —
Ze łzą i wielką błyskawicą w oku,
Jakby mnie wichur gnał błyskawicowy,
Lecę — a koń się na powietrzu kładnie...
Jeśli napotka grób rycerzy — padnie.

Na Termopilach? — Nie, na Cheronei ¹⁾
Trzeba się memu załamać koniowi,
Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei
Dla mało wiernych serc — podobne snowi!...
Więc, jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
To tej mogiły, co równa jest — naszej.

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
Odgonić legion umarłych Spartanów,
Bo jestem z kraju smutnego Ilotów ²⁾,
Z kraju, gdzie rozpacz nie sypie kurhanów —

¹⁾ Termopile, wąwóz, wsławiony bohaterską obroną trzystu Spartan pod dowództwem Leonidasa przeciw całej armii Kserksesa. — Pod Cheroneą zadał Filip Macedoński w r. 338 p. Chr. straszną klęskę wojskom greckim. Termopile więc użyte są tu jako symbol sławy i bohaterstwa, Cheronea jako symbol upadku moralnego i wynikającej z niego klęski.

²⁾ Iloci = Heloci, tu tyle co: niewolnicy.

Z kraju, gdzie zawsze po dniach nieszczęśliwych
Zostaje smutne pół rycerzy żywych.

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce kruszy wstyd w każdym Polaku!
Ja tam nie będę stał przed Grecyi duchem!
Nie — pierwaj skonam, niż tam iść — z łańcuchem!

Na Termopilach — jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męża nad mogiłą
I, pokazawszy mi swe piersi krwawe,
Potem spytali wręcz: »Wielu was było?
Zapomnij, że jest długi wieków przedział!«
Gdyby spytali tak — cóżbym odpowiedział?

Na Termopilach — bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza —
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza!
I długo płakał lud takiej ofiary,
Ognia wonnego i rozbitej czary...

O Polsko! Póki ty duszę anielską
Będiesz więziła w czerepie rubasznym ¹⁾ —
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym,
Póty mieć będziesz hyenę na sobie —
I grób — i oczy otworzone w grobie!

¹⁾ Czerep rubaszny = czaszka szlachecka.

Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
Tę Dejaniry palącą koszulę — ¹⁾
A wstań, jak wielkie posągi bezwstydne,
Naga — w stykstowym wykąpana mule,
Nowa — nagością żelazną bezczelna —
Niezawstydzona niczem — nieśmiertelna!

Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród i ludy przełęknie,
Że taki wielki posąg — z jednej bryły,
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie —
Ale z piorunów ma ręce i wieniec —
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Polsko, lecz ciebie błyskotkami łudzą!
Pawiem narodów byłaś i papuga,
A teraz jesteś służebnicą cudzą!...
Choć wiem, że słowa te nie zadrżą długo
W sercu, gdzie nie trwa myśl nawet godziny —
Mówię — bom smutny — i sam pełen winy...

Przeklnij — lecz ciebie przepędzi ma dusza,
Jak Eumenida, przez węzowe różgi! ²⁾

¹⁾ Deianira, żona Herkulesa, dostała od pokonanego przez jej męża centaury Nessosa wspaniałą szatę, która rzekomo posiadała właściwość wzbudzania niezachwianej miłości ku ofiarującej. Gdy ją Herkules za namową żony przywdział, trucizna, zawarta w szacie, sprawiła mu tak silne cierpienia, że kazał się żywcem spalić na stosie. — Tutaj »koszula D« = kontusz.

²⁾ Eumenidy (po łac. Furye), boginie zemsty, które ścigały zbrodniarzy (np. Orestesa za zabicie matki) i smagały ich zwojami węzów.

Boś ty jedyny syn Prometeusza!...¹⁾

Sęp ci wyjada nie serce — lecz mózgi...
Choć Muzę moją w twojej krwi zaszargam,
Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam.

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna —

Lecz wiedz, że ręka przekleństw, wyciągnięta
Nade mną, zwinie się w łęk, jak gadzina,

I z ramion ci się odkruszy zeschnięta,
I w proch ją czarne szatany rozchwycą!...
Bo nie masz władzy przekląć — niewolnico!
(1836 r.).

ODPOWIEDŹ NA »PSALMY PRZYSZŁOŚCI«

Z. Krasińskiego ²⁾).

Podług ciebie, mój szlachcicu,
Cnotą naszą — znieść niewolę ³⁾.
Ty przemieniasz ziemską dolę
W żywot ducha na księżycu...
Głosem dziecka wołasz: »Czynu!
Czynu — czynu naród czeka« —
Lecz ty wiesz, bez ducha gminu
Jaka słaba pierś człowieka...

¹⁾ Według podania greckiego, Dzeus ukarał Prometeusza za wykradzenie ognia w ten sposób, że przykutemu do skały olbrzymi sęp wyżerał odrastającą ciągle wątrobę.

²⁾ Por. słowo wstępne.

³⁾ Prawdopodobnie jest to pomyłka, zam.: »cnotą mamy znieść niewolę« t. j. przez wydoskonalenie się duchowe pozbyć się niewoli politycznej. Odnosi się to bowiem do słów »Psalmu Miłości«: »Czas odrzucić wszelki brud
»I tem samem znieść niewolę«.

A ty, który budzisz czyn,
Gdy spojrzales w ludu oczy,
Rzekles, ze z nich rzez wyskoczy!!
A kto inny jest, niz — gmin?

Nie tak — nie tak mój szlachetny,
Bo czyn ludu nie piosenka,
To nie w herbie z mieczem ręka,
To nie ród, imieniem świetny,
To nie pieśni próżny twór,
To nie buntu próżna mara,
To nie chmurny lot Ikara,
Gdzie zasługą upaść z chmur —
To nie na słońc, gwiazd granicy
Z kochankami, mdlejąc, latać,
Włosy splatać i rozplatać,
Tchnienie tracić w błyskawicy —
Ale twardo, ale jasno
Śród narodu swego stać,
Myślą bić, chorągwie rwać,
Świecić czynu tarczą własną!
W drogę — choćby niepowrotną,
Ale prostą — naprzód twarzą,
Z piersią czystą, choć samotną,
Choć ją sztyletami rażą,
Z twarzą smętą, ale białą,
Chrystusową, choć zwiędniałą,
A ciągnącą lud do siebie
Niesłychanym bożym czarem — —
Takim duchem i sztandarem
Być na ziemi — jest być w niebie!

Jam spróbował na mej głowie,
Nakształt gwiazdy kałakuckiej,
Nosić gwiazdę myśli ludzkiej
I z tą gwiazdą żyć surowie.
I przybiegli aniołowie,
Aniołowie betleemscy —
A odbiegli ludzie ziemscy
I drzwi moje pożegnali
I przekleli me domowe
Duchy, serce, moję głowę —
Každy włos poprzeklinali...
A jam przecie bez ich wiedzy
I bez serc ludzkiego ciepła
Czuł, że w żyłach krew nie krzepła —
Ani na rozstajnej miedzy,
Która świat od Boga dzieli,
A do przyszłych idzie światów,
Rosło mniej tęczowych kwiatów,
Choć suszyli ją i kłeli.
I dlatego, żem się umiał
Pohamować, być nad zgrają —
Wichr przeleciał i wyszumiał
I legł martwy — a ja wstaję.
Bo, ojczyznę mą w łańcuchu
Widząc, miałem tę pokorę,
Żem żadnego nie kłął ruchu —
Czuł gorących, bo sam gorę,
Modlił się o czasy nowe
I o wrogów mych zwycięstwo,
Choć groziło mi męczeństwo
I w sąd... mogło pójść o głowę.

Bo ty nie myśl, że z anioły
Tylko boża myśl nadchodzi ¹⁾;
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,
Czasem rzuca przez Mongoły!... ²⁾)

A ty, jasny jakiś panie —
Bo cię nie znam, ale słyszę,
Słyszając twoje wierszowanie,
Że ktoś, jak perłami, pisze,
Że ktoś nakształt się proroka
Stawia ludziom — ale modny,
Jak historyk świata, chłodny,
Obejrzawszy świat z wysoka,
Wieszczę rymy, jako cugi,
Posłał na świat równym kłusem
I nappełnił wóz Chrystusem,
Jak Owidyusz Faetonem,
I rozesłał swoje sługi
Swe kolory czcić pokłonem.

Honor myślom, z których błyska
Nowy duch i forma nowa!
Bo są światu, jak zjawiska,
Jako jutrznia są różowa,
Jak ogniste meteory —
Stopom ludu podścielona,
By gościńce Irydyona,
Pielgrzymowi, który od nich

¹⁾ Myśl: Bóg nie tylko za pośrednictwem aniołów rozsyła swe myśli i t. d.

²⁾ Por. fragment dramatyczny Słowackiego p. t. »Książę Michał Twerski«.

Bierze ogień i kolory,
Gdy już gwiazd dochodzi wschodnich.

Taką była dawniej dana
Poetyczna karm dla ludu.
Objawienie, pełne cudu,
Myśl, jak mara niespodziana,
Z piersi naszej wychodziła
Nakształt gwiazdy lub miesiąca,
Narodowi dźwiękiem miła,
Ludu sen wspominająca...
To, jak słońce w półobłoku,
Oczom wschodziła i rosła —
To jak róża na potoku,
Albo lekki Sylf bez wiosła —
Jakaś siła niewidzialna,
Przez poetę na świat łana,
Wolna — jako anioł Pana,
Silna — jako skra zapalna!

Dziś co? — Każdy wieszcz z rozkazem,
Każdy patron — lecz za sobą!
Nie z promieniem — lecz z wyrazem,
Nie duch duchem — lecz osobą!
Kiedy gore świat cierpieniem,
Kiedy wzbiera czynu fala,
On się kładzie sam kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala —
Chce zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki boże!
Do zbolełych serc nie wnika,
Gromu ludu nie ma w dłoni,
Ale w uszy formą dzwoni,

Albo dzwoni — albo syka.
Jego dźwiękiem, jego mową
Nie odetchnie pierś szeroka,
Nie pomyśli jego głową,
Skier nie weźmie z jego oka —
Tylko nędzne ujrzy płachty,
Zamiast wieszczą — sztandar jego
I krzyk: »Na Boga żywego!
»Ty kto jesteś? — nie rznij szlachty!!...«

Któż i gdzie zagroził nożem?
Któż i gdzie ci stanął sporem? —
Możesz spotkał się z upiorem,
Z całym dawnym Zaporozem?
Możesz widział pochód głuchy,
Krzyki krwawe i namiętne,
I księżyc nad krwią smętne,
I sokoły w mgle, jak duchy?
Może tobie zastąpiły
Wpoprzek twojej sennej stecki
Same tylko ich mogiły —
A ty zląkł się — wódz szlachecki!!

Może tylko w noc półjasną
Upior jaki nadlatywał,
Strzały sobie z ran wrywał
I mgły krwią czerwienił własną,
Hełm rozpałił w błyskawicę,
Miecz potrząsał purpurowy,
A okropne cztery głowy,
Jako perły-zausznice
Z twarzą nieznajomych plemion,
Niby róże, niósł u strzemion?...

A ty zaraz: — w ręku kord,
W kosach przed nim cała wieś!
»Duch ten — krzyczysz — jest to rzeź!
»Duch ten — to czerwony mord!...«
Nie mord, nie rzeź! — To z girlandy,
Co leciała ponad Lidą,
Jakiś sługa dziewczki Wandy,
Jakiś złoty husarz z dzidą,
Jakiś krzyża kapłan świecki,
Z tęczy widzeń oderwany,
Znów powracał na kurhany —
A ty zląkł się — syn szlachecki!!

Duchy lecą i nie giną —
Czasem pełne snów czerwonych;
Czy ty jeden z przestraszonych
Ręką rzezi — gilotyną?
Skądże taka w tobie trwoga
I od ludu rów i przedział?
Prawdę mówisz?... Nie, na Boga,
Wiem, żeś prawdy nie powiedział!
Tylko jakieś sny czerwone,
Zaludnione czartów gminem,
Twych firanek karmazynem
Owionięte, osłonięte,
Jak róż jasne — jak sen płone,
Pełne, mówię, mar szkaradnych,
Bez słońc, bez gwiazd, kwiatów żadnych,
Przestraszyły cię, żeś krzyknął:
»Stójmy tak — na ojców kości!« —
I twój anioł, już w przyszłości
Zabłyśniony — jak sen zniknął.

Jeszcze co? Ani zamachu —
Naród cały hasła czeka —
A krzyk pierwszy z ust człowieka
Był krzyk: »Stójmy!« — był krzyk strachu.
Bo to sen na końcu pieśni,
Że magnaty — kiedyś — staną
Z wielką tęczą chorągwaną,
Otrząśnięci z wieków pleśni,
Z wielką myślą w sercu, w głowie
Chatom, niby aniołowie —
I bunt święty rozpłomienia,
I świat cały od nich zgore...
— W tych magnatach serce chore:
Wąż im sercem, a proch rdzenia!...

Kiedyś ze sto was tysięcy
Było szlachty z serc i z lica;
Dziś jednego-m znał szlachcica —
I kraj cały nie znał więcej ¹⁾.
Jeden tylko — serca męką,
Zamiarami, choć nie skutkiem,
Wielkim, cichym, dumnym smutkiem,
Pełną zawsze darów ręką,
Smętną jakąś nieszcześć sławą —
Był szlachcicem — i miał prawo...
Dziś — i ten nie został z wami
I godności swej nie trzyma;
Poszedł gnić między królami —
Już go niema — i was niema!

¹⁾ Tadeusz Kościuszko.

Nie myśl, że wszystko na naszej ¹⁾ łące
Smutnieje, wędnie, zachodzi nocą,
Że nietoperze ociemniające
W powietrzu cicho skrzydły łopocą —
Gdzie znajdują lampę — skrzydły zaduszą,
Gdzie znajdują ciepłą polską krew w żyłach,
To ją wysmokczą, serce wysuszą,
Mózg o waryackich zostawią siłach.
Nie tak tu — nie tak, jak ci się może
Przyśniło, głośny szlachty upiorze!

Duch, ogień, młodość
Orla i żywa
Ogniem porywa
I z ducha czerpie.
Nad nią, na sierpie,
Z blasków księżycy,
Boga Rodzica
W zorzy czerwonej,
Na wywróconej
Tęczy porannej —
A pod nią mgła
Z ognia i szkła,
W skrze nieustannej
Bałwany wznosząca —
By znieść ją z miesiąca,
Z gwiazdami złotymi
Postawić na ziemi,
Ogłosić królową,
Piękność z płomieniem w sercu, z gwiazdami nad
[głową.

¹⁾ Naszej = emigracyjnej.

Wyszła, wyszła z za obłoku,
Ludom się pokaże —
I na żniwie i na toku
Ujrzą ją żniwiarze!
Cała w słońcach, cała w błyskach,
Z kwiatem złotym w dłoni —
Pastuszkowie przy ogniskach
Zaśpiewają o niej!...
Ujrzą ją na polu trzody
I smętnie zaryczą —
Zadrzą drzewa, staną wody,
Sny z niej tęcz pożyczą —
I zgromadzą się włodarze
Z kosami na roli —
Bo się w sercach, w śnie pokaże
Człowiek dobrej woli...

Bądźże żywotniejszej cery,
Bo cię żywym być przymuszę!
Wygnań z myśli Maryusze,
Cezary i Robespieri!
Z komet, z meteorów cyfer
Czytaj przyszłość, wieszczu młody!
Nie bądź w przyszłą noc pogody,
Jako gwiazda zła, Lucyfer,
Gdy słoneczny wóz wyciąga,
Jak pies, węża mając szyję,
I zła skrzy — i w oczy bije
I bezsennym się urąga!...
Bo my z bezsennego łoża
Wzrok rzucamy gorączkowy —

A ty łyskasz blaskiem noża,
Dziecko, lub zły duch Jehowy,
Bo nam tworzysz czarną marę
I — w zrodzoną — rodzisz wiarę.

Ten, kto ojcu powie: »Rakka« ¹⁾ —
Ten przeklęty; więc się bój!
Polski lud — to ojciec twój!
Zeń, jak z cierniowego krzaka,
Gotów znowu Bóg wybuchnąć,
Z wichru mając twarz i lice,
I na ciebie, jak na świecę,
Iść — i dalej pójść — i zdmuchnąć!

Więc się bój — bo nie ja grozę,
Marny człowiek i twój brat,
Ale jakiś straszny świat
I widzialne światła boże,
Z ciszą, z wiatrem i z szelestem
Rzucające się na lud,
Strachy, które mówią: »Cud!« —
Ognie, które szepcą: »Jestem!«

Więc się bój — bo duch się wdziera
Zewsząd i podważa wieże!
Słaby, mówisz, rzeź wybiera —
A czy wiesz, co on wybierze?
Może ludów zatracenie?
Może nam przyniesie w dłoni
Komet wichry i płomienie,
W których drży król, matka roni,

¹⁾ Przekleństwo hebrajskie.

Działła, wozy, hufce, konie
Ogień pali, ziemia chłonie —
A nikt z mogił nie korzysta,
Jeno wszczynający ruch,
Wieczny rewolucjonista,
Pod męką ciał — leżący duch!

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie:
Odpuść nam nasze winy!
Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie;
Przez nas czyn Twoje czyny!
Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci,
Niech się święci trzy razy,
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla naszych ran i zmazy!
Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych moca-
A duchaś-my nie dali! [rzy,
Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,
Jak gołębie: »Nie ciśnij!« —
Duchy, jak gołębice, rozleciały się w chmury;
Zatrwóż! Niech wróć!... Błyśnij!
W tej błyskawicy, Panie, ujrzym się, i z daleka
Brat pozna swego brata,
I wejdzie nieśmiertelność, jako anioł, w człowieka—
I stanem ludu świata!...

A tu niżej
Pan poniżej
Namiętnych.

Głos uciszysz,
A usłyszysz
 Jęk smętnych.
Zebrzydowscy
I Zborowscy
 W czerwonych deliach,
Błyskawice
I dziewice
 W białych kameliach.
Chór przychodzi,
Zda się, w łodzi,
 O brzegi trąca —
Nad smętnemi
Lampa ziemi,
 Okrąg miesiąca;
Zegar świata,
Ptak Piłata,
 Godzinę pieje —
Strach — i nudności —
W grobach drżą kości,
 Bezdech szaleje.
Duch uciska,
Mroczy i błyska,
 Aż uzupełni
Wiek idący,
Bogiem błyszczący,
 Jak miesiąc w pełni.

W takim hymnie, wieszczu, stój,
Bo pieśń taka pójdzie górą,
Nad podlegszych dusz naturą
Panująca — boży strój,

Do którego Bóg nagina
Wszystkie tego wieku struny:
Złączy dźwięki i pioruny,
Świat co kocha i przeklina,
I błękitu rzuci na tła
Przemienioną krwawość w światła...
Anioł się z aniołem zetrze,
Chrystus wyjdzie na ciał złamy —
I z Chrystusem się spotkamy,
A spotkania plac — powietrze!

Lecz dopóki ty i twoi,
Duchem bożym nie skrzydlaci,
Chcecie stać na głowach braci,
Tak, jak szatan dotąd stoi:
Ciałem, formą — która, kuta
Od tysięcy lat we świetle,
Choć spróchniała, duchy gniecie,
Wyrobiona i przeżuta,
Przeświecona piekłem mara,
Dla was święta tem, że stara —
Póki wy, jakby z kamienia,
A kryjący strach kobiecy,
Opieracie wasze plecy
O ten wiatr z gwiazd i z płomienia,
Który się, jak słońce, pali
I lud niesie, a was wali,
Lecz dotychczas jeszcze szczędzi
Najpiękniejszych od zagłady,
Aż, nie mogąc, dusz gromady
Przerażone z ciał wypędzi —
To ja, pomny na potrzebę

Przyszłych ludzi, tych Cezarów,
Którym każdy stary narów
Kładł pod nogi kamień, glebę,
Męczenników pełną chatę,
Swoją interes i prywatę —
To my, święci, to my, młodzi
Jutrzenkami i błyskaniem,
Charonowej twojej łodzi,
Pełnej trupów — poprzek staniem!
(1845)

DO AUTORA »SKARG JEREMIEGO«.

Ojczyzna, twoja święta kochanka,
Chodzi po łąkach, pani słoneczna —
Ty idziesz za nią, jak duch baranka,
I wołasz: »Wieczna!«

Jeżeli, drogę tęczami znacząc,
Wyżej poleci i tonie w mgłę,
To ty, baranek, stajesz i, płacząc,
Wołasz: »We-we!«

Jeżeli z kwieciem ona swawoli
I dłoń litosną o cierń rozporze,
To ty, jak dziecię, wiesz, co ją boli,
I wołasz: »Boże!«

Gdy owies polski, jak srebro, brzęczy,
Grusza szeleści i szumi kłos,
Słyszysz Maryja pod bramą z tęczy
Baranka głos.

Słyszysz i mówisz: »Głośniej, niż święci,
Głośniej, niż luteń anielskich strój,
Woła mnie z Polski od sianożęci
Baranek mój.

»Trawki nie skubie, kwiatków nie zrzyna,
Lecz oczy podniósł w słoneczną mgłę
I wciąż się skarży jako dziecina:
»We-we! — We-we!«

»Przezeń więc światu moja przytomność
Rozbudza czucie, porusza czynność —
Bo w ustach jego baranka skromność,
W głosie — niewinność«.
Paryż, w listopadzie, 1847 r.

UŁAMKI.

Na ustach moich węgiel położył czerwony,
Obrócił na północ twarzą,
I kazał prorokować hymn wrący, szalony.
Narody ziemskie! Kiedy was porażą,
Kiedy stracicie nadzieje,
Słuchajcie wieszczów, byście wiedzieli, co każą.
A naprzód temu, co krew waszą leje
Przez usta, piersi i skórę i oczy,
I znużony jest zemstą, i nie mdleje,
Trzy przekleństwa posyłam i duch proroczy ¹⁾,
Co ma, jak szatan, szpony ogniste i skrzydła
I robaczliwy ząb, co trupy toczy.

¹⁾ »Posyłam — duch proroczy«, jak w dawnej polszczyźnie.

Miałem lutnię, co siedem strun miała i widła:
Na nich był patyk złoty, gdzie łabędziowi
Duszy mojej spoczynek był; lecz mi obrzydła,

Bowiem nie mogła wydrzeć nic grobowi ¹⁾,
Nawet pamiątek tych, co nieśmiertelne
Powinny być — a są podobne snowi.

A więc zerwałem naprzód dwie weselne
Struny na lutni tej — i nigdy więcej
Już nie obudzę ich, bo są beczelne.

Zerwałem drugie dwie, co sto tysięcy
Wyrazów słodkich, miłych, miłośnych umiały —
I usnąć smutne serce umiały najprędzej.

Zerwałem trzecie dwie, jak echo skały,
Powtarzające wszystko, co słyszą dokoła,
Albowiem wszystko płacz, co usłyszały ²⁾).

Została jedna ta, co teraz woła:
»O, wy, co w prochu myśli mażecie i serca,
Z tych serc otrzyście rdzę — podnieście czoła!«

KIEDY PRAWDZIWIE POLACY POWSTANĄ.

Kiedy prawdziwie Polacy powstaną
To składek zbierać nie będą narody,
Lecz ogłupieją — i na pieśń strzelaną
Wyteżą uszy, odemkną gospody.

¹⁾ grobowi ojczyzny.

²⁾ = wszystko, co usłyszały, było płaczem.

I będą wieści z wichrami wchodziły,
A każda będzie serce ludów pała —
Nieznanomemi świat poruszą siły
Na nieznajome jakieś, wielkie hasła.

Nie pojmie Francuz, co to w świecie znaczy,
Że jakiś naród wstał w ciemności dymie,
Choć tak rozpaczny — nie w imię rozpaczy,
Choć taki mściwy — a nie w zemsty imię.

Nie pojmie, jaką duch odbył robotę
W przeświętej serca ludzkiego ciemnicy —
I przez sztandary jest tłuczony złote,
I przez bój wielki przy dział błyskawicy.

»Cóż to — zapyta — są za bezimieńce,
Którzy na dawnym wstali mogiłniku?
Bój tylko widać i ogniste wieńce,
A zwierzęcego nic nie słyszać krzyku!

»Nie, to nie ludzie z krwi i ciał być muszą,
Lecz jacyś pewnie upiorni rycerze,
Którzy za duszę walczą tylko duszą
I ogniem biją niebieskim w pancerze«.

POGRZEB KAPITANA MEYZNERA ¹⁾).

Wzięliśmy biedną trumnę ze szpitalu;
Do żebrackiego mieli wrzucić dołu;
Ani lży jednej matczynego żalu,
Ani grobowca nad garstką popiołu!

¹⁾ Józef Meyzner (lub Mejzner), magister prawa, należał w r. 1830 wraz z Nabelakiem i Goszczyńskim do organizatorów powstania Listopadowego.

Wczora był pełen młodości i siły,
Jutro nie będzie nawet i mogiły!

Gdyby przynajmniej przy rycerskiej śpiewce
Karabin jemu pod głowę żołnierski!
Ten sam karabin, w którym na panewce
Kurzy się jeszcze wystrzał belwederski ¹⁾ —
Gdyby miecz w sercu lub śmiertelna kula!
Lecz nie! — Szpitalne łoże i koszula!

Czy on pomyślał tej nocy błękitów,
Gdy Polska cała w twardej zbroi szczękła,
Gdy leżał smętny w trumnie Karmelitów,
A trumna w chwili zmartwychwstałej pękła,
Gdy swój karabin przycisnął do łona —
Czy on pomyślał wtenczas, że tak skona!

Dziś przyszedł chciwy jałmużny odźwierny
I przyszły wiedmy, które trupów strzegą —
I otworzyli nam dom miłosierny
I rzekli: »Brata poznajcie waszego!
Czy ten sam, który wczora się po świecie
Kołatał z wami? — Czy go poznajecie?«

I płachtę z głowy mu szpitalną zdjęto,
Nożem pośmiertnych rzeźników czerwoną:
Żrenicę trzymał na blask odemkniętą,
Ale od braci miał twarz odwróconą;

¹⁾ W wyprawie na Belweder Meyzner nie brał udziału; przebył ten czas w więzieniu, aresztowany za udział w spisku. (Por. w następnej zwrotce: »leżał smętny w trumnie Karmelitów«).

Więcśmy rzekli wiedmom, by zawarły
Trumnę, bo to jest nasz brat, ten umarły.

I przeraziła nas wszystkich ta nędza —

A jeden z młodszych spytał: »Gdzież go złożą?«
Odpowiedziała mu szpitalna jędra:

»W święconej ziemi, gdzie przez miłość bożą
Kładziemy poczet nasz umarłych tłumny,
W jeden ogromny dół — na trumnach trumny«.

Więc ów młodzieniec, męki czując szczere,

Wydobył złoty jeden pieniądz drobny
I rzekł: »Zaśpiewać nad nim *Miserere!*

Niechaj ogródek ma i krzyż osobny!...«

Zamilkł — a myśmy pochylili głowy,
Łzy i grosz sypiąc na talerz cynowy.

Niech ma ogródek — i niech się przed Panem

Pochwali tem, co krzyż na grobie gada:

Że był w dziewiątym pułku kapitanem,

Że go słuchała rycerzy gromada —

A dziś ojczyźnie jest niczem nie dłużny,

Chociaż osobny ma kurhan — z jałmużny!

Ale Ty, Boże, który z wysokości

Strzały Twe rzucasz na kraju obrońce —

Błagamy Ciebie przez tę garstkę kości:

Zapał przynajmniej na śmierć naszą — słońce!

Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy,

Niechaj nas przecie widzą, gdy konamy!

Paryż, d. 30. października 1841 r.

NA SPROWADZENIE PROCHÓW NAPOLEONA ¹⁾.

I.

I wydarto go z ziemi — popiołem,
I wydarto go wierzbie płaczącej,
Gdzie sam leżał ze sławy aniołem,
Gdzie sam leżał, nie w purpurze błyszczącej,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu, jak na krzyżu, rozbity.

II.

Powiedz, jakim znalazłeś go w grobie,
Królewiczu, dowódzco korabli?
Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie?
Czy z rąk jedną miał przez sen na szabli?
A gdyś kamień z mogiły podźwignął —
Powiedz — czy trup zadrżał, czy się wzdrygnął?!

III.

On przeczuwał, że przyjdzie godzina,
Co mu kamień grobowy rozkruszy —
Ale myślał, że ręka go syna
W tym grobowcu podźwignie, i ruszy,
I łańcuchy zeń zdejmie zabójcze,
I na ojca proch zawoła: — »Ojczcie!«

IV.

Ale przyszli go z grobu wyciągać:
Obce twarze zajrzały do lochu!...

¹⁾ Zwłoki Napoleona sprowadzono z wyspy św. Heleny do Francji w r. 1840. Pogrzeb odbył się w Paryżu dnia 15 grudnia tegoż roku.

I zaczęli prochowi urągać

I zaczęli nań wołać: — »Wstań, prochu!«
Potem wzięli tę trochę zgnilizny
I spytali — czy chce do ojczyzny...

V.

Szumcie, szumcie więc, morza lazury,

Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!
Piramidy, wstępujcie na góry

I patrzajcie nań wieków oczyma!
Tam, na morzach, mew gromadka szara:
To jest flota z popiołmi Cezara.

VI.

Z tronów patrzą szatany przestępne —

Car wygląda, blady, z poza lodów —
Orły siedzą na trumnie posępne

I ze skrzydeł krew trzęsą narodów —
Orły, niegdyś zdobywcze i dumne,
Już nie patrzą na słońce — lecz w trumnę.

VII.

Prochu, prochu — o, leż ty spokojny,

Gdy usłyszysz trąby wśród odmetu!
Bo nie będzie to hasło do wojny,

Ale hasło pacierzy — lamentu...
Raz ostatni hetmanisz ty roty
I zwyciężysz — zwycięstwem Golgoty.

VIII.

Ale nigdy, o, nigdy — choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę nagą —

Nigdy, nigdy nie szedłeś śród jęku
Z tak ogromną bezśmiertnych powagą
I mocą... i z tak dumnem obliczem,
Jak dziś, wielki, gdy wracasz tu — niczem.
1 czerwca 1840.

TAK MI, BOŻE, DOPOMÓŻ!¹⁾

I.

Idea wiary nowa, rozwinięta,
W błysnieniu jednym zmartwychwstała we mnie
Cała, gotowa do czynu i święta.
Więc niedaremnie — o, nienadaremnie
Snu śmiertelnego porzuciłem łożę!
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

II.

Mały ja, biedny — ale serce moje
Może pomieścić ludzi miliony.
Ci wszyscy ze mnie będą mieli zbroje
I ze mnie piorun mieć będą czerwony
I z mego szczęścia — do szczęścia podnoże.
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

III.

Zato spokojność już mam i mieć będę,
I będę wieczny — jak te, które wskrzeszę —
I będę mocny — jak to, co zdobędę —
I będę szczęśny — jak to, co pocieszę —

¹⁾ Wiersz ten napisał Słowacki pod wrażeniem pierwszej rozmowy z Andrzejem Towiańskim.

I będę stworzon — jak rzecz, którą stworzę.
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

IV.

Chociaż usłyszę głosy urągania,
Nie dbam, czy wzrastać będą — czy ucichać...
Jest to w godzinie wielkiej zmartwychwstania
Szmer kości, który na cmentarzach słychać;
Lecz się umarłych zgrają nie zatrwożę,
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

V.

Widzę wchód jeden tylko otworzony
I drogę ducha tylko jednobramną...
Trzymając w górę palec podniesiony
Idę z przestroga. Kto żyw — pójdzie za mną,
Pójdzie, chociażbym, wszedłszy, szedł przez morze...
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

VI.

Drugi raz pokój dany jest na ziemi
Tym, którzy miłość mają i ofiarę...
Dane zwycięstwo jest nad umarłymi,
Dano jest wskrzeszać tych, co mają wiarę...
Na reszcie trumień Ja pieczęć położyłem!
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

VII.

Lecz tym, co idą, nie przez czarnoksiężstwa,
Ale przez wiarę dam, co sam Bóg daje;
W ich usta włożę komendę zwycięstwa,
W ich oczy — ten wzrok, co zdobywa kraje —

Ten wzrok, któremu nic dotrwać nie może...
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

VIII.

Z pokorą teraz padam na kolana,
Abym wstał silnym Boga robotnikiem.
Gdy wstanę — mój głos będzie głosem Pana,
Mój krzyk — ojczyzny całej będzie krzykiem,
Mój duch — aniołem, co wszystko przemoże...
Tak mi dopomóż, Chryste Panie Boże!

HYMN.

Smutno mi, Boże! — Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą,
Przedemną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą...
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosa, z podniesioną głową
Stoję, rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu —
Ale przed Tobą głąb serca otworzę:
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski...
Choć wiem, że jutro błysnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj, na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Widziałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.

Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem prawie nie znał rodzinnego domu,
Żem był, jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę —
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości
W straż nie oddane kolumnowym czołom;
Alem jest, jako człowiek, co zazdrości
Mogił popiołom...
Więc, że mieć będę niespokojne łożę,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień ¹⁾ — a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie...
Wiec, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie, w sto lat będą po mnie,
Patrzący — marli.

¹⁾ Mowa o synku Teofila i Hersylii Januszewskich.

Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

Pisałem o zachodzie słońca, na morzu przed Aleksandryą (d. 20 października 1836).

CHMURY.

Do was, chmury,
Wzrok, ponury
Skrą i łzami!
Sam na ziemi
Pod czarnemi
Chmur wiankami,

Jak duch trumny,
Smutkiem dumny,
Nad szmer domów
Trzymam skronie
Tam — w koronie
Chmur i gromów.

Gdzie wam droga,
Chmury Boga,
Mnie weźmiecie;
Bo ja ciemny,
Mgłą tajemny,
Sam na świecie.

Tam, za wami,
Gdzie wichrami
Burza kręci —
Łza do łzawic,
Do błyskawic
Skrą pamięci

Lecę, błyskam,
Skrami ciskam,
Jutro zmarły;
Patrzcie na mnie,
Żyćcie za mnie,
Ludzie, karły!

Tu wam, ludzie,
Na ziem grudzie
Mogił grzędy —
Gdzie chmur droga,
Z wichrem Boga
Mnie tamtędy!

Veytoux, 21. lipca wieczór, 1835 r.

BARANKI MOJE...

Baranki moje,
Zaświtał czas:
Nad piękne źródło
Powiodę was;
Puszczę was, owieczki,
Na piękne kwiateczki
I będę pasł.

Baranki z ducha,
Ja pasterz wasz;
Pan Bóg mnie słucho,
Ozłocił twarz:
Bogiem promienny,
Odprawiam bezsenny
Anielską straż.

DAJCIE MI TYLKO JEDNĄ ZIEMI MIŁĘ...

Dajcie mi tylko jedną ziemi miłą! —
Może, o bracia, za wiele zachciałem?
Dajcie mi jedną bryłę — na tej bryle
Jednego, duchem wolnego i ciałem —
A ja wnet z siebie sprawię i pokażę,
Że taki posąg — dwie będzie miał twarze.

Dajcie mi gwiazdę, mniejszą od miesiąca,
Kometę, złotym wiejącą szwadronem —
Niechaj po lasach będzie latająca,
A tylko święta jednym polskim zgonem —
A ja wnet siły dobędę nieznane,
Skrzydła wyrzucę — i wnet na niej stanę...

O bracia moi! Kiedy krzyżem leżę,
A proszę Boga o kraj, o człowieka —
To mi się zdaje, że tętnią rycerze,
A wróg z piorunem przed nimi ucieka...
Chcę biedz — lecz, kiedy na blask gwiazd wynidę,
Gwiazdy mię drwiące pytają, gdzie idę.

O gwiazdy zimne, o świata szatany —
Wasze mię wreszcie niedowiarstwo zwali...
Już prawie jestem człowiek obłąkany:
Ciągle powiadam, że kraj się już pali,
I na świadectwo ciskam ognia zdroje —
A to się pali tylko serce moje!...

GDY NOC GŁĘBOKA...

Gdy noc głęboka wszystko uspi i oniemi,
Ja, ku niebu podniosłszy ducha i słuchanie,

Z rękami wzniesionemi na słońca spotkanie
Lecę — bym był oświecon ogniami złotemi.

Pode mną noc i smutek, albo sen na ziemi —
A tam już gdzieś nad Polską świeci zorzy pręga,
I chłopiek swoje woły do pługa zaprzęga —
Modli się. — Ja się modlę z niemi i nad niemi.

Tysiące gwiazd nade mną na błękitach świeci:
Czasem ta, w którą oczy głęboko utopię,
Zerwie się, — i do Polski, jak anioł, polecą.

Wtenczas we mnie ta wiara — co w litewskim chło-
[pie —
Że modlitwa w niebiosach tak, jak anioł, kopie,
A czasem ziarno ducha wrzuci i zaneci.

DO MATKI.

Zadrży ci nieraz serce, miła matko moja,
Widząc powracających i ułaskawionych;
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja
I tak wielkie wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiem, żeby ci wróceniem mojem lat przysporzył;
Mów, kiedy cię pytają, czy twój syn powraca,
Że syn twój na sztandarach, jak pies, się położył,
I, choć wołasz, nie idzie — oczy tylko zwraca,

Oczy zwraca ku tobie... Więcej nic nie może,
Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłumaczy;
Lecz woli, konający, nie iść na obrozę,
Lecz woli — zamiast hańby — choć czarę roz-
[paczy!

Przebaczże mu, o moja ty piastunko droga,
Że się tak zaprzepaścił i tak zaczęścił!
Przebacz... bo, gdyby nie to, że opuścić Boga
Trzebaby — toby ciebie pewno nie opuścił!

W PAMIĘTNIKU ZOFII BOBRÓWNEJ.

Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi,
Bo, kiedy Zośka do ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj — bo to są najlepsi poeci!

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
Będą ci całe poemata składać.

Jabym to samo powiedział, co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać —
Bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną,
Byłem ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości
I dalej mię los nieszczęśliwy goni.
Przywieź mi, Zośko, od tych gwiazd światłości,
Przywieź mi, Zośko, z tamtych kwiatów woni,
Bo mi zaprawdę odmłodnieć potrzeba!
Wróc mi więc z kraju taką — jakby z nieba!

DO LUDWIKI BOBRÓWNEJ.

Gdy na ojczyznę spojrzą oczy Lolki,
Karmione złotem i tęczową czczością,
Niechajże spojrzą tak, jak oczy Polki:
Spokojnie — ale z ogniem i miłością.

Kiedy je patrzeć na smutek przymusza,
I na lud, który gdzieś w łańcuchach pędzą,
Niechaj te oczy łzami się zaprósza —
Lecz niech się nigdy nie zamkną przed nędzą!

Kiedy z tych oczu łez opadnie rosa,
A ludzie będą chciwie w nie patrzali,
Niech oczy całe pokażą niebiosą
Aż do błękitu dusz — i jeszcze dalej!

A kiedy przyjdą porwać naród z trumny
I rzucić w ogień tych, co skry się boją,
Niech w oczach będą takie dwie kolumny,
Jak ognie, które na wulkanie stoją.

Wtenczas ja powiem, srodze rozkochany,
I nawet w rymy to zamknę królewskie —
Że, choć widziałem w oczach cztery zmiany,
Prawdziwie, Lolka ma oczy niebieskie.

WSPOMNIENIE

PANI DE ST. MARCEL Z DOMU CHAUVEAUX.

Staruszek moja, o staruszek moja!
Twoje mieszkanie takie wonne tobą!...
Na murach twoich jak z obrazów zbroya,
A każdy obraz był jakąś osobą...
Dziś, raz ostatni widząc, pożegnałem,
Wszedłszy do domu, bym poszedł za ciałem.

Dawno bez męża i bez towarzysza,
Który niedawno ciebie odszedł, stary,
Przycichł w domu; dziś ta sama cisza
W domu — a w bramie stoją twoje mary.

Gdym wszedł, myślałem, że szata szeleszcze;
Ogień się palił — zegary szły jeszcze...

Lecz jakaś ciemność... dziwne jakieś mroki
Nad twym kominem, nad twoją kotarą —
Jakby te dziwne, śmiertelne obłoki,
Które zmieniają dzień w godzinę szarą,
A człowiekowi bronią słów i ruchów,
Bo są z poważnych i ze smętnych duchów.

Lat dziewięćdziesiąt ciało-ś ty nosiła;
Przez krew szły twoje panińskie nożeczki,
Przez smutek starość szła twoja pochyła,
A w trumnie leżą już tylko kosteczki.
Wszystkoś wybrała ze skarbu żywota —
Czemuż po tobie ta wielka tęsknota?

Może dlatego, że, gdym twoje ściany
Odwiedzał, dawno światem niezabawne,
To spotykały mnie republikany,
I wielkich imion dawne duchy sławne —
I wszystkie stały z odkrytymi głowy,
Słuchając we mnie grzmiącej polskiej mowy.

Gdym nieraz siedział przy twoim kominie,
A ty myślałaś, że ja sobie drzymię —
Jam na mownicy stał w tych duchów gminie
I brałem sobie między nimi imię;
Od głów zaczynał — i do serc im sięgał —
I znów na wielką-m ich sprawę sprzysięgał.

A ty, jak trupek, w krześle pod zamętą
Cicha, podobna do Park, życia matek —

Byłaś jakby tych sejmów prezydentem
Duchem — próchenko ciała i opłatek,
Co miejsca przez lat dziewięćdziesiąt bronił,
A nie ustąpił — aż Pan Bóg zadzwonił.

Dlatego ja się czułem pod suchą kością
Dobłą, choć ludzie o złość oskarżali;
Tyś sławne imię nosiła ze złością —
A ja sam także mam to, co mnie pali,
Gdym jest wielkimi burzami natchnięty,
A w burzach nawet czuję się sam święty.

Wszystko to w głębi twojego pokoja
Czułem dziś, patrząc na złoconą ścianę.
Żegnaj-że, cicha staruszczenko moja —
A popamiętaj na sejmy zerwane
I pomóż zgrać twoich duchów tłumną
Mnie, który siedłem dziś — jeden — za trumną!

14. stycznia 1846.

ROZŁĄCZENIE ¹⁾.

Rozłączeni — lecz jedno o drugim pamięta;
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta,
Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi lęczy i wyciska —
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I lęczy różową leję i skłą siną błyska.

¹⁾ Do Ludwiki Śniadeckiej.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać —
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakimi drzewy szukać białej szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promień światłem:
Nie wiesz, że trzeba niebo zwać i położyć
Pod oknami, i nazwać jeziora błękitem —

Potem jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć gło-
[wę,
Jak je widzieć w księżycu, określone kirem;

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perelka,
Którą-m wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę stróża;
Nie wiesz, że gdzieś daleko, aż u gór podnóża,
Za jeziorem — dojrzałem dwa z okien światelka.

Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze;
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora —
Zawsze mi świecą; smutno i blade — lecz zawsze...

A ty — wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem!
Lecz, choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.

Nad jeziorem Leman, d. 20 lipca 1835 r.

W PAMIĘTNIKU MARYI WODZIŃSKIEJ.

Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w cieniu sosen, bożym strzeżone napisem,
Stoją białe szałety, wiązane cyprysem,
Gdzie w łąkach biją smutnie trzód zbłąkanych dzwo-
[ny,

Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali,
Gdzie na zwalonych sosnach czarne kraczą wrony;
Tam byli kiedyś razem — i tam się rozstali.

A po latach, wróconym ojczyźnie pielgrzymom,
Bławatkami gwieździste kłaniały się żyta.
Jechali, błogosławiąc chat wieśniaczych dymom,
Wszyscy pod jeden ganek... Matka, siostra wita
Synów, braci, przyjaciół; są wszyscy, są wszyscy!
Przy jednym siedzą stole, przy czarach nalanych —
A wczoraj tak dalecy — a dzisiaj tak blizcy!...
I nikogo nie braknie, oprócz zapomnianych.

Młoda Marya do tańcu każe stroić lutnie
I usiadła — spoczywa... Nagle do sąsiada
Rzekła: »Ach, kogoś braknie!« — Tu podkówka utnie
W takt mazurka. — »On umarł« — sąsiad odpo-
[wiada.

— »Cichoż na jego grobie?« — »Słowików gromada
Śpiewa na srebrnej brzozie cmentarza tak smutnie,
Że brzoza płacze«.

(1835 r.).

DO PASTERECZKI,

siedzącej na druidów kamieniach w Pornic nad oceanem.

Jak ty mi jesteś wdzięczna,
Duszczo moja mała,

Słoneczna i miesięczna,
Prawie bez krwi i ciała!
Gdyś wysoko siadała,
Z główką w zorzy pierścieniach,
Na druidów kamieniach,
Śród jałowcowych krzaków —
Ćwieki twoich chodaków
Błyskały mi na lice,
Jako dwa półksiężyce,
Czerwoną zorzą ranną —
I byłaś mi zarazem
Chłopieczką i Dyanną,
Zjawieniem i obrazem,
Kochanką i dziecięciem,
Smutkiem — i wniebowzięciem.

Włoski twoje, jak zboże,
Złote i przeźrocyste,
Wiatr unosił na morze,
A we włoskach ogniste
Ranunkuły doliny,
Jak maki Ukrainy,
Zdawały się ogniami,
Które tobie do lica
Przypięła upiorzyca,
Śpiąca w grobie pod nami.

Za tobą — szafir mórz
Dzielił kibić na dwoje —
Nad głową, jak zawoje,
Jutrzenki pełne róż —
I chwasty w dyamentach
Około ciebie skrzyły,

A ty na monumentach,
Stróżka — i duch mogiły,
Z niewinnością na licach,
Z nóżkami na księżycach.
(1844).

TESTAMENT MÓJ.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami —
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny;
Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami —
A, jak gdyby tu szczęście było, idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia;
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie, jak dźwięk pusty, trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekazcie,
Żem dla ojczyzny sterał moje lata młode —
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę.

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
Mojej biednej ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świe-
[tny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
I tej, która mi dała to serce, oddadzą.
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie.

Niech przyjaciele moi siedą przy puharze
I zapijają mój pogrzeb, oraz własną biedę;
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę —
Jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę...

Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec —
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucone na szaniec!

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu družbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć — nieplakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść? Taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napelnionej łodzi
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi, żywemu, na nic — tylko czoło zdoła,
Lecz po śmierci was będzie gniotła, niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba, w aniołów przerobi.

OJCIEC ZADZUMIONYCH.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty ¹⁾,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona;
Prócz tego dziecka trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona,

¹⁾ W słowie »odmienił się« zawarte są wszystkie cztery kwadry księżycy; »trzy razy« więc = trzy miesiące.

Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów ¹⁾
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów ²⁾,
A wieczór wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona, z synaczką przy piersiach, warzyła...
Wszystko to dzisiaj tam, gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiewa —
Wszystko tam leży, pod kopułką szecha ³⁾ —
A ja samotny wracam — o, boleści! —
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie ⁴⁾ wszedł anioł pomoru.

O, niewiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w mojem sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban ⁵⁾, do mojego domu —
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: »Starcze, gdzie są twoje dziatki?«
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: »Starcze, gdzie są twoje córki?« —

¹⁾ Dromader, częściej: dromedar = wielbłąd jedno-
garbny.

²⁾ Ajer = tatarak, szuwar.

³⁾ Szech lub szeik (po arab. starzec), tytuł naczelników
rodów arabskich.

⁴⁾ Kwarantanna (fr.), przymusowy pobyt 40-dniowy
pod opieką lekarską, któremu poddać się muszą przybywa-
jący z nawiedzonych zarazą okolic; budynek, w którym odo-
sobnieni mieszkają.

⁵⁾ Liban, pasmo gór w Syrii.

Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje wszystkie, pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym szecha —
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie — czy wracam ze zdrowiem,
Pytać się będą... Cóż ja im odpowiem?

Przybyłem, namiot rozbiłem na piasku —
Wielbłądy moje cicho się pokładły;
Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
Karmiło wróble — a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie.
Widzisz tę małą rzeczulkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna
Z dzbankiem na głowie, prościutka, jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku,
Śmiejąc się, lekko trysnęła na braci;
Najstarszy, z ogniem, zapalonym w oku,
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie
I rzekł: »Sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić, jak pies, bo ogień mam w łonie!«
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się tu, jak palma złamana.
Przybiegłem... Nie czas już było ratować!
Siostry go chciały, martwego, całować —
Krzyknąłem wściekły: »Niech się nikt nie waży!«
Porwałem trupa i rzuciłem straży,
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła
I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebła.
A od tej nocy, tak pełnej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Tej samej nocy Hafne i Amina
Umarły, leżąc na łożu przy sobie...
A — patrz! — tak cicho umierały obie,
Że, choć po śmierci najstarszego syna
Oczy się moje do snu nie zawarły,
A nie słyszałem, jak obie Umarły,
I nawet matka własna nie słyszała,
Choć wiem, że także tej nocy nie spała.
Rankiem, obiedwie, sine, jak żelazo,
Dwie moje córki, zabite zarazą,
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu —
I porzuciły nas... i bez powrotu!...
A, jak dorosłym przystoi dziewczicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom...

Widzisz to słońce w niebie lazurowem?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą —
Zawsze to niebo nie splamione chmurą;
A mnie się zdało wtenczas, nie wiem, czemu,
Że słońce — słońcu nie równe złotemu —
I już nie takie, jakie było wczora,
Ale podobne do słońca upiora.
A niebo, które patrzyło na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
Tak mi się mgliste zdawało i grube
Ziemi wyziewem i słońca purpurą —
Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą...

I tak dni dziesięć przeszło, choć nieskoro.
Reszta mych dzieci żyła, wszystko czworo;

Małżonka moja serce miała lżejsze —
I nawet moje dzieciątko najmniejsze
Żyło i kwiatkiem nie chciało usychać;
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać,
Bo nie wierzyłem, żeby, wzięwszy troje,
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje.
O! Była to więc piekielna godzina,
Gdy, patrząc na twarz najmłodszego syna,
Śmierć zobaczyłem! — Ach, ja go tak strzegłem!...
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny;
Niktby nie dostrzegł — ja, ojciec, spostrzegłem.
On do tamtego stawał się podobny:
Stawał się, jak mój trup pierworodzony,
Z jasnego — blady, z bladego — czerwony.
Patrzę — na twarzy plam żelaznych krocie!...
Więc zawołałem głośno: »Śmierć w namiocie!«
I, pochwycając go z takimi trądy,
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy,
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka,
I żeby na to nie patrzała matka.

Przy konającym czuwaliśmy, blizcy,
Ja z wielbłędami, na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:
»Oby nie umarł — lub się był nie rodził!«
A tam, nad palmy, z twarzą nielitośną,
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził
I patrzył... Tego z pamięci nie zatrzeć!...
I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć!...
Gdy skonał w moim ojcowskim uścisku,
Chciałem go spalić na popiół w ognisku —
Lecz, ledwie ogień zaczął biedz po szacie,

Wyrwałem trupa i rzuciłem straży;
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy —
I lepiej mu tam przy siostrach i bracie...
Od tego zgonu i od tej boleści
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pod kręgiem słońca, jako krew, czerwonym,
I pod namiotem tym zapowietrzonym
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
I śmierć przed samą śmiercią udawali,
Myśląc, że Boga oszukamy w niebie,
Że się ten bałwan zarazy przewali.
Powrócił! — Anioł powrócił morderca,
Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: »Niech Bóg wszystko bierze!«
Miałem na syna trzeciego cierpienia
Powieki bez łez i serce z kamienia:
Boleść już była, jako chleb powszedni —
I pod oczyma mi konał mój średni,
Najmniej kochany w mem rodzinnem gronie
I najmniej z dzieci płakany po zgonie.
To też Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą:
Bez żadnych bólów, bez żadnych omamień
Skonał — i skościł i stał się jak kamień.
A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić,
I wiecznie zostać w rodziców pamięci
Z twarzą, co woła: »Jesteście przekłęci!«

Skonał... Myślałem wtenczas — o, rozpaczy! —
Że, jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli anioła śmierci przysze po nie,
Dziecko mi weźmie, żonę — a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę...
Córka... Ja myśleć nie śmiałem o córce
I trwoga o nią nie gryzła mnie żadna!...
Ach, ona była młoda — taka ładna,
Taka wesola, kiedy moją głowę
Do lilijowych brała chłodzić rączek,
Kiedy, zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Okolo cedru biegła po trawie,
Jak pracowity snując się pającek...
Patrz — i ten pas mój, błyszczący jaskrawie,
Ona robiła — i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała, że patrzałem na nią,
Jako na różę, przeze lzy i słońce.
Ach, ona była domu mego panią!
Ona, jak jaśni anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołysieczce strzegła —
I, gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła —
I wszystkie nasze oplakała ciosy —
I wszystkie nasze lzy wzięła na włosy!...

Dziesięć dni przeszło i nocy, tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć;
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło — nadzieja zaczynała świecić...
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
I naliczyliśmy ranków trzydzieści.
Nareszcie, zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.

I we śnie, w lekkie owinięte chmury,
Ujrzałem moje dwie umarłe córy:
Przyszły, za ręce trzymając się obie,
I, pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły, oczyma cichemi błyszczące,
Nawiedzać inne, po namiocie śpiące.
Szły cicho, zwolna; schylały się nisko
Nad matki łóżem, nad dziecka kołyską —
Potem na moją najmłodszą dziewczynę
Obiedwie ręce położyły sine...
Budzę się z krzykiem i, umarłą dziatwę
Klnąc, wołam dziko: »Hatfe! Moja Hatfe!«
Przyszła, jak ptaszek, cicho po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję...
I przekonałem się, że Hatfe żyje,
Słyszac jej serce, bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć...
Córka!!! — Lecz naco z boleścią się szerzyć?
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna, najstraszniejsza chwila:
Kiedy ją bole targały zabójcze,
Wołała: »Ratuj mię — ratuj, mój ojczu!«
I miała wtenczas czerwone usteczka,
Jak młoda róża, kiedy się rozchyła...
I tak umarła ta moja dziewczeczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci...
A piękna była, jak anioł, po śmierci.

Przyszli nademną płakać, nieborakiem,
Strażnicy; przyszli mi wydrzeć to ciało —
I, nieostrożni, zaczepili hakiem;

Hak padł na pierś jej twardą, krągłą, białą...
I tu — bogdajby, jak ja, nie umarli! —
Tu ją pod memi oczyma rozdarli!...
Ty im to, Boże niebieski, pamiętasz!
Wziąłem ją — i sam zaniósłem na cmentarz.

Z założonemi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma
W kącie namiotu, żółta, jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna,
Bo mleko matki zaczęło wysychać —
I co dnia było płacz w kołysce słychać.
A ta pustynia — nie masz dzieci w grobie —
Ona inaczej wydaje się tobie:
Może złocista, jasna i weselna —
Lecz dla mnie — jest to równina piekielna!
Przez tę równinę, przez te piasku kupy
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
A tam, na wzgórzu, kędy morze bije,
Dla ciebie szumi morze — dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko — dla mnie płacze.
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającego-m słyszał muezina ¹⁾:
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzycząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O, bądźże mi ty pochwalony, Alla,

¹⁾ Muezin (właściwie: minezzin), sługa kościelny, który z galerii minaretów (wieżyczek meczetów) wzywa wier-nych do modlitwy.

Szumem pożaru, co miasta zapala —
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca —
Zarazą, która dzieci mi wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki!...
O, Allah! Akbar Allah! Jesteś wielki!...¹⁾)

Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
Zaczęło stronić ode mnie z daleka.
Namiotu mego — córki go uprzedły —
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły
I podarły się i, lekko napięte,
Były, jak próchna, z ludzkich trumien zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie —
I wiesz, że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku —
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać?
Czy odstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? Czy twarz moja biedna?
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna...
I spostrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o Boże mój! Boże! —
Z wieczora huczeć już zaczęło morze,
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przysła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę,

¹⁾ »Akbar Allah« (arab.) = bardzo wielki Boże.

Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nade mną w ciemności kołysze
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni...
Zdawało mi się, za burzy łoskotem
Żem słyszał martwe dzieci za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho...
Więc natężyłem wzrok, serce i ucho
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie:
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

I nagle... Czemuż ta śmierć tak zdradziecko,
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?!
Grom spadał, hucząc, po gromie — i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko;
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem —
Bo zaraz matka, ja, oboje razem
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichi...
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,
To tak wydawał się obojgu głośny,
I tak rozdarty, i taki żałosny,
I tak z głębokich wnętrzości wyjęty,
I tak rozumny... i taki przeklęty —
Żeśmy oboje biegli, gromem tknięci,
I bez nadziei już — i bez pamięci!...

I nie zawiodło przeczucie żałoby!
Umarło — z takiej, jak tamte, choroby —
I poszło leżeć między trupy bratnie
Moje najmilsze... i moje ostatnie!!!
Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie!...

I już nie wróci — ani mi urośnie —
Ani go kiedy mój dom już zobaczy!...
I już nie wróci nigdy!... O, rozpaczy!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.
Byliśmy z matką w namiocie — przed nami
Leżało dziecko na stole nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczulem wtenczas, patrząc na tę postać,
Że, gdyby mogło choć tak z nami zostać
Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczej,
Ubyłoby mi z serca pół rozpaczy...
A to — już ani zarazy strażnicy
Ani ja niosłem do szecha kaplicy,
Gdzie się nam trupia otwierała brama —
Ale je matka tam zaniósła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną —
Ale — czy pojdziesz? — zamiast nas połączyć,
Boleść, obojgu nam rozdarłszy łono —
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,
I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
Smutek podobny był do nienawiści —
I stanął czarny, wielki między nami;
Więc rozłączeni byliśmy i sami —
I nie mówiliśmy do siebie słowa.
Bo, powiedz, jakaż być mogła rozmowa
W pustym namiocie między mną i żoną?
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci?...
Słońce wschodziło w upały czerwono,
Co dnia tonęło tam, gdzie teraz świeci,
Jak jaka skrawa pożaru pochodnia.

Więc tak bezdzietnym było — i tak co dnia.
Cisza ogromna namiot nasz zaległa,
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła —
Zgoła innego jęku, ni szelestu...
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu...
I kwarantanny przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał,
Bo nachyliłem się był i posiwiął,
A żona moja od niespań i troski
Była, jak bursztyn, albo żółte woski;
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiej błyskawicy,
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy¹⁾ uderzyć,
Tam, gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy:
Zdrów byłem. — Ludzie! Czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy,
Z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy —
Żona, co nawet nie tknęła połowy,
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,
I zachwiała się z jękiem — i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zaniosłem w namiot i, rzuciwszy brzemię,
Upadłem przy niej, jak martwy, na ziemię...
I obudziłem się — na dni czterdzieści...

Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dzieciątka

¹⁾ Sustawy (z ros.) = stawy, miejsca, w których łączą się kości.

Jakiej pamiątki: kamienia lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
I ta po dziecku umarłem pamiątka —
Patrzaj — obrazek ten, co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogiłce z główki małego zdjęte —
Bo biedna matka miała tyle mocy,
Że odkopała dziecko o północy,
Znalazła jeszcze nie zepsutem wcale,
Pocałowała w usteczek korale
I znów włożyła do trupich obściłek —
Te upominki i ten pocałunek,
Zazdrosnej ziemi szechu ukradzione,
Zabiły matkę — i wzięły mi żonę...
I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą —
Potem wróciłem do płóciennej nory
Schować się w cieniu, jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
Ani mnie ludzie widzieli na stepie:
W pamięci mojej żadnej żywej twarzy,
Stałem się, jako dzieciinniali, starzy —
Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica...
I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną
Oni tu byli, w tym namiocie, ze mną...
Gadałem z niemi, zmyślałem rozmowy,
W których rozmawiał ze mną tłum grobowy,
I często dziwnym natrafiłem losem
Na głos, co moich był dzieciątek głosem.
Z obłąkanego budziły mię śnicia
Po nocy hyen przeraźliwe wycia

Tam, nad trumnami...; i słuchałem, blady,
Jak nad trupami płaczą trupojady...¹⁾
Stałem się wreszcie, jak wąż, gdy ochłodnie —
I przechodziły mi dnie i tygodnie
Bez żadnych bólów, pamiątek, omamień.
Stałem się twardy i zimny, jak kamień.
I raz... — ach, boska nade mną opieka! —
Patrzę: ktoś w namiot mój cicho zagląda —
I, ach — nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozplakałem się, jak dziecko, głośno.
I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście;
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
O, gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy
Będę wyrywał koły i powrozy,
Które... (o Boże wiekuisty, świeć mi!...)
Do tego piasku zatykałem z dziećmi...
Ach — pomóż ty mi je zerwać; sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem
Te płótna więcej boleści powiedzą?
One widziały wszystko — wszystko wiedzą;
Czyż nie są teraz, jak męki obrazy?
Patrz na nie, dotknij, nie bój się zarazy,
Nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem...
Wszak ty nie jesteś, synu, moim synem.
Lecz nie! Uciekaj! Ja wiem, że te płótna
Straszne się muszą obcym ludziom zdawać.

¹⁾ Trupojady = hyeny.

Śmierć od zarazy... ach — to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać —
Potem cię ogień pali — piersi gorą...
Ach — ja tak moich widziałem ośmioro!
I, co dnia patrząc na tak konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące...
Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich — patrzaj, osiem juków próżnych...
I nie zostało mi nic — oprócz Boga...
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga.

W SZWAJCARYI.

I.

Odkąd zniknęła, jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.
I nie wiem, czemu ta dusza — z popiołów —
Nie wylatuje za nią do aniołów —
Czemu nie leci za niebieskie szranki
Do tej zbawionej i do tej kochanki.

II.

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitami spada ¹⁾.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie.
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?

¹⁾ Rzeka Aar tworzy kilka wodospadów; najslawniejsze z nich: Giessbach, Stassbach i Hanclegg.

Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza;
Nic jej nie zburzy, i nic jej nie zmiesza.

A czasem tylko jakie białe jagnie

Przez tęczę idzie — na skraju doliny

Szczypać kwitnące róże i leszczyny —

Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,

Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,

Przez tęczę szybko przeleci i błysnie.

Tam ją ujrzałem — i wnet, rozkochany,

Że z tęczy wyszła i z potoku piany,

Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;

Tak jasną była od promieni słońca,

Tak pełna w sobie anielskiego świtu,

Tak rozwidniona żrenicą z błękitu!

Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,

To zakochały się w niej moje oczy,

A za tym zmysłem, co kochać przymusza,

Poszło i serce — a za sercem dusza.

I tak się zaczął prędko romans klecić,

Że chciałem do niej przez kaskadę lecieć,

Bo się lękałem, że, jak widmo blade —

Nim dusza, ze snu obudzona, krzyknie —

Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,

I roztopi się, i zgaśnie, i zniknie;

I byłem, jak ci, co się we śnie boją,

Bo jużem kochał, bo już była moją.

I tak raz pierwszy spotkałem ją samą

Pod jasną tęczy różno-farbnej bramą;

Powiew miłości owiał mię uroczy —

Stałem przed nią i spuściłem oczy.

III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny,
I szliśmy razem u stóp tej lawiny¹⁾,
Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
Spłaszczoną płetwą, jak delfin olbrzymi;
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.
Pamiętam chwilę... Poranek był skwarny —
Tam-eśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
Te, jakby szczęścia ludzkiego świadome,
Stały blisko, złote, nieruchome,
I utopiły oczów błyskawice
W kochanki mojej błękitne źrenice —
I, długo patrząc, nieruchome obie,
Głowy promienne pokładły na sobie.
Rzekłem: »One się zakochały w tobie!«
Rzekłem — i za to z ust, zamkniętych skromnie,
Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie,
Przyleciał szybko i wrócił z podróży
Do swego gniazda: do pereł i róży —
A gdy zobaczył, że oczu nie mrużę,
Całą jej białą twarz zamienił w różę.
A wiecie — ani tak za serce chwytą
Rumieniec kwiatu, co świeżo rozkwita —
Ani tak oko wędrowca zachwyca
Gór nadalpejskich śnieżysta dziewica²⁾,

¹⁾ T. j. lodowca, z którego wypływa Rodan, obok przełęczy Grimsel.

²⁾ T. j. Jungfrau, jeden z najwyższych i najpiękniejszych szczytów Alp Berneńskich (4167 m). Sławny jest zwłaszcza widok Jungfrau, oświetlonej czerwono promieniami zachodzącego słońca (Alpenglühen).

Kiedy od słońca różane ma lica —
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami —
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać;
A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach, ona była, jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią!
Płynęła, lecąc; łódź leciała za nią,
Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
Za tą jasnością rybek korowody,
I wyrzucały się aż do niej z wody.
I z takim-eśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie —
Bo ona była, jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną...
I mogła była, co chce, robić ze mną.

V.

Raz — że nie była niebieskim aniołem,
Myślałem całe długie pół godziny.
Wyspowiadałem się potem z tej winy —
Słuchajcie! Oto przed Tella kościołem ¹⁾

¹⁾ Właściwie: kaplicą Tella, nad jeziorem Czterech Kantonów, na południe od miasteczka Brunnen.

Pierwsza na kamień wyskoczyła, płocha,
I powiedziała mi w głos, że mnie kocha,
I odesłała mnie znów na jezioro,

Łódkę mą pierśią odtrąciwszy białą...

A ja — ach, nie wiem, co się ze mną stało!
Czy mnie anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiechami rozrywa się łono,
Czy serce, jak lód rozegrzany, taje,
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje —
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty,
Czyli uśmiechów pełna, czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownymi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura,
Pić ły i białe w nim obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecieć po niebie...
Wtem zawołała łódź ze mną do siebie.
Usłyszała ją łódka i spostrzegła —
I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów
Stoi, cichości pełna i kolorów,
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy.
A pod tym progiem są na wodzie plamy
Od sosen, co się kołyszą na niebie,
I od skał cienia — gdzie, mówiąc do siebie,
White do wody trzymaliśmy oczy.
A pod tym progiem fala tak się toczy,
I tak swawolna i taka ruchoma,

Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy
I przybliżyła, łącząc je rękoma,
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
Ach — fala, taka szalona i pusta,
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni!
Fala, tak pełna ruchu i promieni,
Że, jednym światła objąwszy nas kołem,
Zmieszała, niby anioła z aniołem.
Gdy myślę — boleść dręczy mię niezmierna.
Falo, niewierna falo — i tak wierna!

VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty
Przez jasne łąki do lodowej groty¹⁾.
Tam ją obielił dzień alabastrowy,
I mróz na czole mej jasnej królowej
Perłami okrył wszystkie polne róże —
I ze sklepienia lzy leciały duże,
A we łzach sylfy z jasnością ogromną²⁾
Deszczem spadały na jasną i skromną.
Słyszac, że ściany płaczą coraz głośniej,
Cała się szatą okryła zazdrośniej
I wszystko oczom ciekawym ukradła
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
Na alabastry widne, choć zakryte.
Tak nieruchoma stała — a koło niej
Igrały tęczę w blaski rozmaite.

¹⁾ Zapewne sklepienia lodowe w Rosenlanen, które poeta zwiedził w towarzystwie Wodzińskich.

²⁾ Sylfy, bóstwa powietrzne w mitologii germańskiej.

Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej:
»Ave Maria!«
Jak biała róża, kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętej,
Taki rumieniec wyszedł z lica świętej,
I, zamyślona, odwróciła głowę,
Palec na ściany kładąc kryształowe,
Jak ta, co imię ukochane kreśli
Lub o błękitnych jakich myślach — myśli.
Wreszcie się do mnie obróciwszy, rzekła:
»Może za miłość ja pójdę do piekła
I, gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,
Wszczepioną będę w kryształowe lody,
Jako ta bańka z powietrza i z tęczy...
Lecz prawda — rzekła — jeżeli się męczy
Ta jasność, słońca stworzona promieniem,
Którą lód w sobie mrozi i zabija,
Można ją z lodu uwolnić westchnieniem:
Ave Maria!«

VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony,
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony,
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau, i słońce złote ma pod sobą,
Gdzie we mgłę jeleni przelatuje skory,
Gdzie orły skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury —
O moja luba — tam pójdziemy z tobą!
A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy

I gdzieś w niebieskie uniosły lazury —
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy
I ulecieli z pelejad gromadą —
I tylko po nas potok spadnie głuchy
I błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

IX.

Ach — najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną,
Gdzie, jak łabędzie zadumane, siedzą.
Ach — najciekawszy na świecie nie zgadną,
W jakim szalecie ¹⁾ żyłem z moją miłą,
I wiele nam róż do okien świeciło,
I wiele wiszeń naokoło rosło,
Ile słowików na wiszniach się niosło,
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą
Kłóteń słowików płaczących z kaskadą,
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić!...
Ach — tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie...
Łąka i szalet i wisznie w parowie,
W takim parowie, że stróż anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały
I nakrywał ten cały parów dziki,
Szalet, i róże, i nas, i słowiki.

X.

Lecz nadto było cyprysowej woni,
I nadto barwy, co się w różach płoni;

¹⁾ Szalet (fr.), domek wiejski.

I chciała nas już miłość ująć zdradą. —
Było to rankiem. Pomnę — pod kaskadą
Byliśmy, niczem niestrwożeni, sami,
Czytając książkę, pełną łez — ze łzami.
Wtem duch mi jakiś podszeptał do ucha,
Ażebym na nią z książki przeszedł okiem.
Była, jak anioł, co myśli i słucha —
I nagle — takim przejrzystym obłokiem
Rumieniec smutny twarz jej umalował,
Że nie wiem dotąd, jak się wszystko stało —
Alem ją w usta różane całował,
I czułem ją tu, na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.
Wtem nagle — w jasnej kaskady warkoczach
Coś pomieszało się i coś urzekło;
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,
I z kwiatów spłoszył wilgotnemi mgłami.
Odtąd jużśmy nie czytali sami.

XI.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
Smutniejsza, cichsza i bielsza i bledsza.
W głębszych się coraz zanurzała cieniach,
I obrywała róże na strumieniach,
Albo przy kaskad naciągniętej lutni
Stawała słuchać, tak, jak ludzie smutni,
Z twarzą spuszczoną — lub sama w ustroni
Ręce na białą zakładała szyję,
Jak ta, co boi się, albo się broni —
Lub, jako gołąb, co w strumieniu pije,
Do nieba jasnym wzlatywała okiem.
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem,

I jaskółeczek utraciła zwinność,
I zadumała ją całą — niewinność.

XII.

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie
I rzekłem: »Luba! Jak Bóg jest na niebie,
Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna.
Lilija jedna wszystkiemu jest winna:
Otoś ty wczoraj w tem źródle, co bije
Na jasnej łące, myła twarz i szyję —
A tam, za tobą, prosta, niedaleka,
Jak służebnica, co z rąbkami czeka,
Lilija jedna, cała jasna, w bieli,
Oczekiwała, aż wyjdiesz z kąpieli.
Widzą was obie, takie białe, w parze,
Myślałem, że, śpiąc, o aniołach marzę —
I drzeć zacząłem i zadrzałem wszystek:
I jeden tylko poruszyłem listek —
Ten listek inne poruszył listeczki —
I szmer się zrobił; ty wybiegłaś z rzeczki
I takeś prędko uciekała, zlekła,
 Żeś łonem kwiatu potrąciła pręty —
I lilijowa wnet łodyga pękła,
 I kwiat z niej upadł, twoją piersią ścięty —
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna...
I oto dzisiaj rankiem pod kaskadą
 Nie jam był winien — lecz lilija winna«.

XIII.

Płonęła, wonna, jak kadzidło mirry,
I widać było, że, nie wiedząc, płonie.

Głębszemi oczu stały się szafiry,
I prędsza fala białości na łonie,
I dziwnym ogniem rozpalone skronie
Wczesne zwiędnięcie dawały bławatkom.
Ona z tych była, co się skarżą matkom,
I skarżyła się gwiazd cichej gromadzie,
Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie,
Gdy kwiaty szepcą miłośnie do ucha,
Co, zamysłone, własnych myśli słucha.

XIV.

Czy ty gdzieś teraz — o miła — z rozpaczą
Aniołom boskim mówisz, rozżalona —
Jak ci, co mówią, skarżąc się, i płaczą —
Że była burza, gromami czerwona,
Że była grota posępna i ciemna,
I grocie z kaskad kryształu zasłona —
Że była trwoga w ciemności tajemna,
Razem niepamięć jakaś boskiej kary
I skarga smutna czystych nimf, podziemna,
Że nas tam samych dzień odstąpił szary
I zastał z twarzą ognistą przy twarzy —
I ptasząt nas tak obudziły gwary?
Mówisz ty o tem, jak ta, co się skarży?
O, nie mów ty tak aniołom, niebieska,
Bo każda twoja brylantowa łezka
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem!
Bo ja — ach, gdybym był także aniołem
Z rozpromienionem na błękitach czołem,
I nieskończoność całą miał obszarem,
I mógł zarządzać gwiazdami wszystkimi —
Nie chciałbym gwiazdy niebieskimi świecić,

Lecz tylko rzucić błękity i lecieć
I taką, jak ty, mieć moją — na ziemi.

XV.

Z grotty ta piękna wyjść nie śmiała sama.
Słońca się może bała na lazurze,
Że za promienne będzie i za duże,
Albo że będzie, jako czarna plama.
Ale na niebie była z tęczy brama,
Na wypłakanej rozwieszona chmurze.
Wyszła. — I naprzód ją zdziwiły róże,
Że takie były, jak wczoraj, różowe.
Zerwała jedną i podniosła głowę,
I zadziwiła ją ta tęcza ranna,
Niebios błękitnych przeźroczystość szklanna,
Krążek księżycy, tonący w błękitcie —
Zda się, że nowe ją zdziwiło życie,
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła;
Aż gdzieś w kryształach jeziora spostrzegła
Na licu swoim przeźroczystą białość,
Żywszy ust koral i większą omdłałość,
I uśmiech, pełny tęsknoty, i żalność.
Więc osłoniła się cała w warkoczu,
I więcej na mnie nie podniosła oczu.

XVI.

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą —
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,

I o czym cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą

Wychodzi blady pierścionek Dyanny — ¹⁾

Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęcą,

I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,

I wszystkie źródła jęk wydają szklanny.

O takiej chwili, ach — dwa serca płaczą,

Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą,

Jeżeli o czym zapomnieć — zapomną.

O takiej chwili z moją panią skromną

Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,

Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVII.

Jak śpiewający na niebie skowronek,

Z gór słyhać było pustelnika dzwonek.

Rzekła raz: »Chodźmy do staruszka celi;

Może rozgrzeszy, może rozweseli,

Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli«.

Tak mówiąc, wbiegła do sosnowej chaty,

Szybko zamknęła wszystkie okienice,

Ażeby na nią nie patrzyły kwiaty —

I, ustroiwszy się, jak gór dziewice,

Wybiegła do mnie... Myślałem, że padnę:

Ani jej oczy kiedy takie ładne

Ani jej usta takie były świeże.

Motyła miała czarnego na głowie;

¹⁾ »Pierścionek Dyanny« = księżyc, bo Diana, bogini łowów, w niektórych mitach występuje jako bogini księżyca.

Ten alabastrów od smagłości strzeże

I, przeświecony od słońca w połowie,
Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże —
A, pod motylem pochowane, róże
Z pod czarnej gazy patrzyły ciekawe,
Na pół zamknięte, świeże, jeszcze łzawe;
Wiedząc, że zawsze strzegę serca strony,
Złośliwy motyl usiadł przychylony;
Myślałem, że mu to skrzydło połamię...
Siadł i na lewe przechylił się ramię.

I któżby wierzył w przeczucia, co straszą,

Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna?

Gdym z góry spójrzał na dolinę naszą,

Szalet się oku wydawał, jak trumna,
Małeńki, cichy; kiedym spojrzał z góry,
Nasz ogród z wiszeń, jak cmentarz, ponury,
I niespokojne o nas gołębicę,

I zadumane o nas w łąkach trzody,

Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody,
Zabite śmierci ćwiekiem okienice —

Wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,
Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.

Szedłem, posepny i drżący, na góry...

Jeziora czarne, głązy, śniegi, chmury,

Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,

Słońce czerwone, jak krew, o zachodzie,

Dom pustelnika, śniegiem przysypany,

I dwa ogromne na straży brytany,

Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,

Cela, pustelnik stary, księgi w pyłe —

Wszystko to dzisiaj już podobne snowi...

Pamiętam tylko, że promień zachodu

Cały się na twarz rzucił Chrystusowi,
Kiedy na palec jej, zimny, jak z lodu,
Kładłem pierścione
.

XVIII.

Gaje, doliny, łąki i strumienie!
O, nie pytajcie wy mię, smutne, o nią!
Są łzy, co mówić na zawsze zabronią.
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie
I widzę jasne, błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nade mną litować —
I widzę usta, co mię chcą całować,
I drzę — i znów mię ogarną płomienie.
I nie wiem, gdzie iść — i gdzie oczy schować —
I gdzie łzy ukryć — i gdzie być samotnym...
I stoję, błądę, i kreślę jej rysy,
Lub imię piszę na piasku wilgotnym —
Lub błędę między róże i cyprysy,
Jak człowiek, który skarb drogi postrada,
Zmysły utracił i, płacząc, usiada
Tam, kędy urny na grobowcach siedzą,
Myśląc, że groby o niej co powiedzą.

XIX.

Jest pod mojemu oknami fantanna,
Co wiecznie jęczy zapłakany szumem;
Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,
Gdzie co noc błąda zaziera Dyanna
I czoło moje smutnym blaskiem mami.
I tak mię budzą, zalanego łzami,

To drzewo, księżyc ten i ta fontanna —
I wstaje blady, przez okno wyzieram,
Słuchając różnych płaczów na dolinie:
Słowiki jęczą — i fontanna płynie;
Mówią mi o niej — ja serce otwieram
I o śmierć prędką modłę się z rozpaczą,
I schnę, i więdnę — i, ach, nie umieram...
I co dnia, budząc mnie, fontanny płaczą.

XX.

Kiedy się myślą w przyszłości zagłębię,
Nie wiem, jak sobie jej postać malować:
Czy, kiedy przyszła śpiącego całować,
Jak z rozwartemi skrzydłami gołębie —
Czy wtenczas, kiedy uciekała, trwożna —
Czy, gdy na jedną ze mną księgi kartę
Wbijala oczy błękitne, otwarte,
Na każde moje spojrzenie ostrożna —
Czy kiedy, wiejskim otoczona dworem,
Chodziła, gdyby zaklęta królowa —
Czy, kiedy cicho uśnie pod jaworem —
Czy, kiedy goni — czy, kiedy się chowa
W księżycu blasku, biała — lub, wieczorem,
Od Alp na śniegu różowych — różowa?...

XXI.

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
Tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie —
I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu i tam — za morzem i wszędzie,
Gdzie tylko poszlę przed sobą myśl biedną,

Zawsze mi smutno — i wszędzie mi jedno —
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz, tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce, na smutek łaskawe —
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe —
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
Idąc po fali... zaszeleści złotem,
I załaskocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni — ocknie się — i wyjdzie ze mnie.

ANHELLI.

ROZDZIAŁ I.

Przyszli wygnańce na ziemię sybirską i, obrawszy miejsce szerokie, zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i w miłości braterskiej; było zaś ich około tysiąca ludzi z różnego stanu.

A rząd dostarczał im niewiast, aby się żenili, albowiem dekret mówił, że posłani są na zaludnienie.

Przez jakiś czas był pomiędzy nimi wielki porządek i wielki smutek, albowiem nie mogli zapomnieć, że są wygnańcami i że już nie zobaczą ojczyzny — chyba Bóg zechce...

A gdy już zbudowali dom i każdy zajął się swoją pracą — oprócz ludzi, którzy chcieli, aby je nazywano mądrymi, i zostawali w bezczynności, mówiąc: »Oto myślemy o zbawieniu ojczyzny« — ujrzeli

raz wielką gromadę ptaków czarnych, lecącą z północy.

Za ptakami zaś ukazał się obóz, jakoby i tabor i sanie, zaprzężone psami, i trzoda renów z gałęziastymi rogami i ludzie na łyżwach, niosący oszczepy; był to cały lud sybirski.

Na czele zaś szedł król ludu, a zarazem ksiądz, ubrany, podług zwyczaju, w futrach i w koralach, na głowie zaś miał wieniec z węzów nieżywych zamiast korony.

Więc mocarz ów, przybliżywszy się do gromady wygnańców, przemówił językiem ich ziemi: »Witajcie!

Oto ja znałem ojców waszych, także nieszczęśliwych, i widziałem, jak żyli bogobojnie i umierali, mówiąc: »»Ojczyzno! Ojczyzno!««

Więc chcę być przyjacielem waszym i zrobić przymierze między wami a moim ludem, abyście byli w ziemi gościnnej i w kraju dobrze życzących.

A z ojców waszych już nie żyje żaden, oprócz jednego, który jest już stary i mnie sprzyja, a mieszka stąd daleko w samotnej chacie.

Jeżeli chcecie, ażeby przyjaciel ojców waszych był przewodnikiem waszym, zostanę z wami i lud mój opuszczę — albowiem wy jesteście nieszczęśliwsi«.

Mówił jeszcze dłużej starzec ów — i uszanowali go i zaprosili do swojej szopy.

I zrobiono przymierze z ludem sybirskim, który się rozszedł i zamieszkał w swoich śnieżnych siołach — a król jego został z wygnańcami, aby je pocieszał.

I dziwiono się mądrości jego, mówiąc: »Oto jej zapewne od ojców naszych nabył, a słowa jego są od przodków naszych«.

Nazywano go zaś Szamanem, tak albowiem nazywa lud sybirski królów i księży swoich, którzy są czarownikami.

ROZDZIAŁ II.

Rozpatrzywszy się Szaman w sercach owej zgrai wygnańców, rzekł sam w sobie: »Zaprawdę, nie znalazłem tu, czegom szukał. Oto serca ich słabe są i dadzą się podbić smutkowi.

Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych. Co uczyniłeś, Boże?

Aż każdemu kwiatowi nie dajesz dokwitać tam, gdzie mu jest ziemia i życie właściwe? Dlaczegoż ci ludzie mają ginąć?

Wybiorę więc jednego z nich i ukocham go, jak syna, a, umierając, oddam mu ciężar mój, i większy ciężar, niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie.

I pokażę mu wszystkie nieszczęścia tej ziemi, a potem zostawię samego w ciemności wielkiej z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu«.

To powiedziawszy, przywołał do siebie młodzieńca imieniem Anhelli i, położywszy na nim ręce, wlał w niego miłość serdeczną dla ludzi i litość.

A obróciwszy się do gromady, rzekł: »Odejdę z tym młodzieńcem, abym mu pokazał wiele rzeczy

boleśnych — a wy zostaniecie sami uczyć się, jak znosić głód, nędzę i smutek.

Ale miejcie nadzieję, bo nadzieja przyjdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je; ale, jeśli w was umrze, to przyszłe pokolenia będą z ludzi martwych.

A to, o czem pomyślicie, wypełni się, i wielka radość będzie na ziemi w on dzień zmartwychwstania.

Lecz wy będziecie w grobach, i całuny będą na was spróchniałe; wszakże wasze groby będą święte, a nawet Bóg od ciał waszych odwróci robaki i ubierze was w umarłych dumną powagę...

Będzieci piękni tak, jak ojcowie wasi, którzy są w grobach; bo spojrzycie na każdą czaszkę ich: nie zgrzyta ani cierpi, lecz spokojną jest i zdaje się mówić: »Dobrzem uczyniła«.

Czuwajcie nad sobą, bo jesteście jak ludzie, stojący na podniesieniu — a ci, co przyjdą, widzieć was będą!

Oto powiedziałbym wam tajemnicę, że jednych dusze idą w słońce, a drugich dusze oddalają się od słońca na ciemne gwiazdy — lecz nie zrozumiecie mnie.

Powiedziałbym wam, dlaczego żyjecie, i dlaczego się rodzą miliony dusz nowych, i na jaki cel dane jest ciało — lecz nie pojmiecie mnie!

Lecz, mówię wam, bądźcie spokojni nie o jutro, lecz o dzień, który będzie jutrem śmierci waszej.

A gorsze jest jutro życia, niż jutro śmierci —

choć nie tak myślą ludzie podli i ludzie małego serca».

Rzekły więc do Szamana zgraje: »Któż ci dał władzę nauczać o życiu i śmierci? Oto mamy między sobą księży: do nich należy słowo boskie!«

Na to im odpowiedział Szaman: »Słyszeliście o Mojżeszu i o cudach, które czynił? Jam jest Mojżesz między sybirskim ludem, a cudy czyniłem straszniejsze, niż tamten, co przed wiekami.

A nie wyszedłże z zorzy północnej anioł, kiedy go wywołał z płomieni? Spytajcie ludu mego!

Na moje słowo ten śnieg stał się krwią, a to słońce zczerniało, jak węgiel; wiele bowiem we mnie jest Boga.

Lecz nie kuście mnie o cudy — albowiem jesteście ludem starym, a wskrzesić was cudem jest. O to proście Boga!

Aby was wskrzesił, mówię, i dobył z mogiły i uczynił was narodem, który drugi raz kładziony jest w kołysce i spowity, by wyrósł prosty i nie skrzywiony na ciele».

Tak mówił Szaman. I nie śmieli mu odpowiedzieć wygnańce, lecz przyrzekli z ludem sybirskim chować przymierze.

ROZDZIAŁ III.

A oto raz, nocą, obudził Szaman Anhellego, mówiąc mu: »Nie spij, ale chodź ze mną, albowiem są rzeczy ważne na pustyni!«

Wdziawszy więc białą szatę, Anhelli udał się za starcem, i szli przy blasku gwiazd.

Niedaleko więc zaszedłszy, ujrzeni obóz cały małych dzieciątek i pacholąt, gnanych na Sybir, które odpoczywały przy ogniu.

A we środku gromadki siedział pop na tatarskim koniu, mający u siodła dwa kosze z chlebem.

I zaczął owe dzieciątka nauczać podług nowej wiary, ruskiej, i podług nowego katechizmu.

I pytał dzieci o rzeczy niegodne, a pacholęta odpowiadały mu, przymilając się, albowiem miał u siodła kosze z chlebem i mógł je nakarmić — a były głodne.

Więc, obróciwszy się ku Anhellemu, Szaman rzekł: »Powiedz — nie przebrałże miary ten ksiądz, zasiewając złe ziarno i każąc czystość dusz tych małych?

Oto zapomniały już płakać po matkach swoich i tu się wdzięczą do chleba, jak małe szczeniątka, czekając rzeczy złe i które są przeciwko wierze.

Powiadając, że car jest głową wiary, i że w nim jest Bóg, i że nic nie może rozkazać przeciwko Duchowi Świętemu, nakazując nawet rzeczy podobne zbrodniom — albowiem w nim jest Duch Święty.

Użyję więc przeciwko temu księdzu ognia niebieskiego, aby go spalić, i stracę go w oczach dzieciątek«.

A skoro wyrzekł Szaman słowo przekleństwa, zapalił się ów pop na koniu i wyszły mu z piersi płomienie, które się złączyły w powietrzu nad głową.

I przełęczony koń unosić go zaczął po stepie palącego się, — a potem, wzdrygnąwszy się, zrzucił z siebie węgiel, siedzący na siodle do ostatka.

A oto na owym próchnie człowieka chodziły

skry, jak owe isierki, które są na spalonym papierze, błędne i snujące się w różne strony.

Przybliżywszy się więc Szaman ku dzieciątkom, rzekł: »Nie lękajcie się! Bóg z wami!

Ogień przestraszył was, jak gołębki śpiące, aleście zasypiały w domie pożaru i ciała wasze już wiedły«.

I wyciągały do starca rączki owe dziecińy, krzycząc: »Staruszk, weź nas z sobą!«

I rzekł Szaman: »Gdzież was zaprowadzę? Oto ja idę w drogę śmierci; chcecie, abym was wziął i ukrył pod płaszczem i wysypał was z poły mojej przed Panem Bogiem?«

Odpowiedziały mu dzieciątka: »Weź nas i zaprowadź nas szerokimi gościńcami aż do matek naszych«.

I wszystkie krzyczeć zaczęły z wielką dumą: »My Polaki! Odprowadź nas do ojczyzny i do matek naszych!« — aż Szaman począł płakać, uśmiechając się...

I nie mógł odejść, bo mu jedna dziecina usnęła na płaszczu i na pole płaszcza jego, wtenczas, gdy rozmawiał.

A przybywszy, Kozacy patrzali w zadumieniu na owe dzieło — i zaczęli odganiać dzieciątka od ludzi obcych, nie śmiejąc jednak bić żadne, pamiętni na ów ogień.

ROZDZIAŁ IV.

I przechodził Szaman z Anhellim pustemi drogami Syberyi, gdzie stały turny.

I widzieli twarze niektórych więźni, przez kraty patrzących się na niebo smutne i blade.

A przy jednej z owych turm spotkali ludzi, niosących trumny; i zatrzymał je Szaman, każąc otworzyć.

Więc, gdy zdjęto trumien wieka, wzdrygnął się Anhelli, widząc, że umarli byli jeszcze w łańcuchach, i rzekł: »Szamanie, oto się boję, żeby nie zmartwychstali ci umęczeni.

Obudź którego z nich, albowiem masz siłę cudów; obudź tego starca z siwą brodą i z białymi włosami, bo mi się zdaje, że go znał żywym«.

A Szaman, spojrzawszy surowo, rzekł: »Cóż więc? Oto go wskrzeszę, a ty go znów zabijesz. Zaprawdę, i dwa razy go wskrzeszę, i dwa razy od ciebie śmierć weźmie.

Lecz niech będzie, jak żądasz, abyś wiedział, że śmierć nas ochrania od smutków, które już się były w drogę ku nam wybrały, a znalazły nas martwemi«.

Tak mówiąc, spojrział Szaman na starca w trumnie i rzekł: »Wstań!« A ciało w łańcuchach podniosło się i usiadło, patrząc się na ludzi, jak człowiek śpiący.

A poznawszy go wtenczas, Anhelli rzekł: »Witaj, człowieku, możny niegdyś w radzie i jeden z najmądrszych!

Cóż więc przywiodło ciebie w więzieniu, abyś się spłaszczyl przed władzą i uczynił owe wyznanie winy, o którym słyszeliśmy?

Dlaczego zaparłeś się serca twojego i przeszło-

ści twojej? Czy ci mękami odebrano rozum i pamięć? Cożeś uczynił?

Zaszkodziłeś nam — albowiem dziś mówią do nas ludzie obcy: »Oto przewodnicy wasi zapierają się i zmieniają serca dla narodu — a tylko ludzie mali trwają w stałości.

Ta więc stałość małych uporem jest, gdy ludzie pierwsi w narodzie uznają błąd swój, nie spodziewając się nawet przebaczenia«.

A gdy to mówił Anhelli, stało się podług słów Szamana, że wskrzeszony ów, jęknąwszy, umarł na nowo.

Rzekł więc Szaman: »Zabiłeś go, Anhelli, powtarzając ludzkie obmowy i oszczerstwo, o którym nie wiedział przed śmiercią.

Lecz ja go wskrzeszę raz drugi, a ty się strzeż, abyś go powtórnie o śmierć nie przyprowadził«.

To powiedziawszy, zbudził umarłego — i podniósł się ów człowiek w trumnie, lzy wylewając z otwartych powiek.

I rzekł doń Anhelli: »Przebacz, bom nie wiedział, że mówię obmowę i oszczerstwo.

Oto widziałem cię w radzie narodu z bratem twoim, i widziałem wasze dwie głowy zawsze razem, a białością podobne dwom gołębiom, które razem zlatują na proso.

Bo zaprawdę, że, jak dwaj gołębiowie, zlatywaliście na urnę projektów i wyluszczaście ziarno praw; a na plewy wasze zlatywali się maleńcy wróblowie, świergocąc o rzeczach mniejszej wagi.

Przebacz mi, że was równam ptakom bożym

i rzeczom błahym; ale białość wasza i prostota tak każe.

O nieszczęśliwi! Oto jeden na cmentarzu sybirskim szuka spoczynienia, a drugi leży pod różami i cyprysami Sekwany! Biedni gołębiowie i rozłaczeni i umarli!»

Usłyszawszy owe słowa, wskrzeszony krzyknął: »Mój brat!« — i powalił się w trumnie i umarł¹⁾.

A Szaman rzekł do Anhellego: »Nacóżeś mu powiedział o śmierci brata? Oto chwila, a dowiedziałby się od Boga i spotkałby się z bratem miłym w krainie niebieskiej.

Stało się! Niech zakryją te trumny i zanosą je na cmentarz. A ty nie proś mnie więcej, abym wskrzeszał tych, którzy śpią i odpoczywają!«

ROZDZIAŁ V.

I tak odbywali Szaman z Anhellim wędrówkę po ziemi smutnej i po gościńcach pustych i pod szumiącymi lasami Syberyi, spotykając ludzi cierpiących i pocieszających ich.

A oto jednego wieczora przechodzili około cichej i stojącej wody, nad którą rosło kilka wierzb lamentujących i mało sosen.

A Szaman, ujrzawszy wyskakujące rybki ku zorzy wieczornej, rzekł: »Oto widzisz tę płotkę, co przeleciała przez powietrze i znów utonęła?

A teraz opowiada siostrom swoim na dnie, że

¹⁾ Mowa o Wincentym i Bonawenturze Niemojewskich, wybitnych działaczach politycznych z czasów Królestwa Kongresowego i emigracyi.

zobaczyła niebo — i opowiada o niebie różne rzeczy i z tego ma sławę między inszemi rybkami.

Słuchając więc powieści o niebiosach, zapłyną do sieci i jutro będą sprzedawane na rynku.

Nie jestże to nauka dla ludzi i dla tych, którzy za ludźmi, rozpowiadającemi o Bogu i o niebiosach, wędrują girlandami, a tak dają się ułoić sieciom ludzkim i przedawani są?

A chorobą zgubną, mówię, jest melancholia i zamyślenie się zbyt o rzeczach duszy.

Dwie są bowiem melancholije: jedna jest z mocy — druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich — druga kamieniem ludzi topiących się.

Mówię ci o tem, albowiem poddajesz się smutkowi i tracisz nadzieję.

Tak mówiąc, nadeszli na gromadę Sybirców, którzy łowili ryby w jeziorze. A rybacy owi, spostrzegłszy Szamana, przybiegli ku niemu, mówiąc: »Królu nasz! Opuściłeś nas dla ludzi obcych, i smutni jesteśmy, nie widząc ciebie między nami.

Zostań przez tę noc, a zastawimy wieczerzę i pościelemy ci łożę w łodzi.

Usiadł więc Szaman na ziemi, a kobiety i dzieci rybaków otoczyły go i zadawały mu różne pytania, na które Szaman odpowiadał z uśmiechem, bo były błahe.

Lecz po wieczerzy, gdy wstał księżyc i rozciągnął swoje światło po gładkiej wodzie, jakoby goście niec złoty ku południowi —

Kobiety i dzieci zaczęły gadać smutniej, mó-

wiąc: »Oto opuściłeś nas i nie robisz więcej cudów między nami.

Więc zaczęliśmy wątpić o rzeczach wiary i wątpimy nawet, czy jest w nas jaka dusza...«

Na to Szaman, uśmiechnąwszy się, rzekł: »Chcecież, abym duszę pokazał oczom waszym?«

A wszystkie dzieci i kobiety zawołały zgodnie: »Chcemy! Uczynź to!«

Obróciwszy się więc Szaman do Anhellego, rzekł: »Cóż uczynię z tą zgrają kawek? Chceszli, abym ciebie uspił i, duszę twoją wywoławszy z ciała, pokazał ją tym ludziom?«

Anhelli odpowiedział mu: »Czyn, jak ci się podoba; jestem w twojej mocy«.

Przywoławszy więc Szaman jedno dzieciątko z gromady, posadził je na piersiach Anhellego, który się był położył, jak do snu — i rzekł do owego dzieciątka:

»Oto połóż twe rączki na czole tego młodzieńca i zawołaj go trzy razy imieniem »*Anhelli!*«

I stało się, że na dziecka wołanie wyszedł z Anhellego duch, mający postać piękną i barwy rozmaite i skrzydła białe na ramionach.

A ujrzawszy się wolnym, poszedł ów anioł na wodę i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe.

Gdy więc już był daleko i na środku stawu, rozkazał Szaman owej dziecinie zawołać duszę, aby wróciła.

I obejrzał się duch jasny na wołanie dziecka i powracał leniwo po złotej fali, wlekąc po niej końce skrzydeł obwisłe ze smutku.

A gdy mu rozkazał Szaman wstąpić w ciało człowieka — jęknął, jak harfa rozbita, i wzdrygnął się, lecz posłuchał.

A zbudziwszy się, Anhelli usiadł i zapytał, co się z nim stało.

Odpowiedzieli mu rybacy: „Panie! Widzieliśmy duszę twoją i prosimy cię: bądź królem naszym! Albowiem nie w takiej jasności ubrani są królowie chińscy, jak dusza, która jest z twego ciała.

A nie widzieliśmy nic jaśniejszego na ziemi, oprócz słońca, i nic jaśniej migocącego, oprócz gwiazd, które są różowe i sine.

Skrzydeł takich nie mają łabędzie, przelatujące w maju przez ziemię naszą.

A nawet uczuliśmy woń, jakby woń tysiąca kwiatów i zapach konwalii.

Słyszając o tem, Anhelli obrócił się do Szamana i rzekł: »Prawdaż to jest?« — a Szaman rzekł: »Prawda — opętanyś jest przez anioła.

»Cóż więc — zapytał Anhelli — uczyniła dusza moja, będąc wolną? Powiedz, bo nie pamiętam.

Odpowiedział mu Szaman: »Oto poszła po tym gościńcu złotym, co jest na wodzie od księżyca, i uciekała w tamtą stronę, jak człowiek, co się spieszy.

A na te słowa spuścił głowę Anhelli i, zamyśliwszy się, zaczął płakać, mówiąc: »Oto chciała powrócić do ojczyzny.

ROZDZIAŁ VI.

Uspokoiwszy więc Szaman płacz w Anhellim, opuścił rybaków i odszedł w pustynię.

A księżyc jeszcze był wysoko, gdy zaszli do chaty starego człowieka, który przywitał Szamana, jako dawnego przyjaciela. Był to jeden z wygnańców barskich... ostatni.

Chata jego, ocieniona szeroką jabłonią i pełna gniazd gołębic i śpiewająca od świerszczów, ustronna była i spokojna.

I postawił ów starzec przed gośćmi cynowy dzban, chleby i jabłka czerwone — a potem zaczął, jak zwykle, rozmowę o dawnych czasach i o ludziach już umarłych.

Nie wiedział zaś nic, że nowe pokolenie w Polsce i nowi rycerze i nowi męczennicy — i nie chciał wiedzieć o tem, będąc człowiekiem przeszłości.

A nie było już w nim żadnej pamięci, ale była pamięć o rzeczach, które mu się zdarzyły za młodu — lecz o dniu wczorajszym nie wiedział i nie myślał o jutrze.

A utrzymywał się z robaczków, które nazywają czerwcem, i z nich płacił podatek carowi — a był właśnie dzień składania daniny.

Jakoż o godzinie późnej zajechał przed chatę celnik i, napiwszy się ze dzbana, dopomniął się o rzecz winną.

Stary więc ów człowiek obnażył się ze wszystkiego, aby wystarczył podatkowi i służyć onego zбогаć.

A zabrawszy wszystko, celnik wychodził z chaty, mówiąc: »Oto masz jabłoń, owocami okrytą; muszę z niej wziąć dziesięcinę«.

To powiedziawszy, sługom swoim rozkazał

trząść drzewo stare i rozrosłe, a Szaman do Anhellego rzekł:

»Pójdź i stań pod jabłonią, a nic nie mów do tych, co trzęsą drzewem, aż się moc boska pokaże«.

Poszedł więc Anhelli i stanął pod ulewą jabłek czerwonych, jak człowiek spokojny.

A oto jabłoń okryła się wielką jasnością, a owoce na niej stały się gwiazdami i, błyszcząc bardzo, nie upadały więcej.

I gołębie spiące obudziły się, myśląc, że już jest godzina ranna, i, umywszy pióra, wyleciały w powietrze różane.

Więc światłość owa przeraziła celniki tak, że, zostawiwszy cały podatek, uciekli w przestachu i, wsiadłszy na wóz, odjechali.

A Szaman, zawoławszy Anhellego, rzekł: »Chodźmy stąd, albowiem gospodarz pytać nas będzie, jaką władzą to czynimy, a to jest tajemnicą i znaczenie tych gwiazd tajemnicą jest«.

Tak mówiąc, otoczył się ciemnością z Anhelim, i wyszli.

ROZDZIAŁ VII.

I rzekł Szaman: »Oto już nie będziemy cudów okazywać, ani mocy bożej, która w nas jest — ale płakać będziemy, bo zaszliśmy do ludzi, którzy nie widzą słońca.

Ani nauk im dawać należy, bo ich więcej nauczyło nieszczęście — ani nadziei im dawać będziemy, bo nie uwierzą. W dekrete, co je potępił, napisano było — »na wieki!...«

Oto są kopalnie Sybiru!

Stąpaj tu ostrożnie, bo ta ziemia brukowana jest ludźmi śpiącymi. Słyszysz? Oto oddychają głośno, a niektórzy z nich jęczą i gadają przez sen.

Jeden o matce swojej, drugi o siostrach i braciach, a trzeci o domie swoim i o tej, którą miłował sercem, i o łąkach, gdzie mu się zboże kłaniało, jak panu swemu — i szczęśliwi są teraz przez sen... lecz się obudzą.

W innych kopalniach wyją zbrodniarze, lecz ta jest tylko grobem synów ojczyzny i pełna cichości.

Łańcuch, co tu szczeka, smutny ma głos, a w sklepieniu są różne echa — i jedno echo, które mówi: żałuję was.

Gdy się litował Szaman, weszli strażnicy i żołnierze z lampami budzić śpiące do pracy.

Powstali więc wszyscy z ziemi i rozbudzili się i szli, jak owce, ze spuszczonei głowami, oprócz jednego, który nie wstał, bo był umarł we śnie.

Więc przystąpiwszy Anhelli do tych, co szli na pracę z młotami, zapytał jednego z nich cichym głosem, kto był ten umarły i z jakiej choroby skończył.

Na to mu odpowiedział człowiek blady i aresztant: »Ten, o którego pytasz, księdzem był; ja go znałem — spowiadał żonę moją i dzieci w ojczyźnie.

A gdy przyszła wojna, siadł na koń z krzyżem w ręku i z bosemi nogami; a gdy był ogień przed szeregami, stał, krzycząc: »Za ojczyznę!... Za ojczyznę!«

I przywołał go biskup i wydał katom w ręce,

ale wprzódę zdjął z niego poświęcenie na rynku miejskim i wypuścił z rąk pastorał i omdlał¹⁾).

A katy pochwycili człowieka bożego i wepchnęli go w ciasną siermięgę, a potem go **w niej** zamknęli z trudnością, bo był otyły ten człowiek, i stał bez ruchu, jak rzecz martwa.

Więc przywieziono go do kopalni; i udawał, że mu jest dobrze na sercu — alem ja widział, że był blady i smutny.

I poddał się rozpaczy i sechł, jak stare drzewo. A przystąpiwszy raz do niego, rzekłem: »Bój się Boga! Dlaczego się gryziesz?«

I rzekł mi z wielką tajemnicą, jak człowiek obłąkany: »Zapomniałem wyrazów pacierza...« — i, pogroziwszy mi palcem, abym był cicho, odszedł.

I zobaczyłem go raz, że brał w ciemności ołów zgniły i truciznę ową pożywał.

A po kilku dniach rumieniec ceglany wyszedł mu na twarz, a ciało opadło na kościach, jak zmoczone płótno namiotu — oczy zaś miał błyszczące.

A dziś nie wiem, jak umarł, bo oto spałem przy nim, a nie słyszałem, aby choć westchnął.

A jeżeli macie serce, żałujcie go, bo go znam — był człowiek uczciwy«

Więc Anhelli, obróciwszy się do Szamana, rzekł: »To samobójca!«

¹⁾ O postaci tej pisze Słowacki w liście do Gaszyńskiego: »Ksiądz w rozdziale VII. historyczną jest osobą. Imienia jego nie wiem — wielu księży w Łucku wysyłanych było na Sybir podczas naszej rewolucyi... Omdlenie biskupa, a nie wiem, czy to był Cieciszewski, czy jego sufragan, prawdziwe jest«.

Lecz Szaman zasłonił oczy i, podniósłszy kawałek ołowiu z ziemi, rzekł: »Ten ołów zabójcą jest i doradcą złym, bo mówił: » »Weź mię i zjedz, jam jest końcem i spokojnością«.

Ten ołów oszukańcem jest, bo się udał przed człowiekiem za Boga, który sam tylko cierpienie kończy na wieki i serce uspakaja.

A przekłęty, kto przed najmniejszym wichrem pada na ziemię i łamie się — podobny strzaskanej kolumnie!

Lecz przed wichry silnemi wam padać wolno; będziecie żałowani.

Cóż więc! Odmówią wam poświęconego cmentarza? Kto wie, jaki jest sen w niepoświęconej mogile?

Wszakże lepiej jest umierać w gromadce dzieci i wnucząt, które płaczą... i patrzeć na rozwijanie się drzew wiosennych — i mieć godzinę cichą«.

Gdy tak mówił Szaman, otoczyli go kołem nędzarze i rzekli: »Dobrze nauczasz; jesteś człowiekiem z serca, a może przysłanym od Boga.

Więc oto wiedz, że przed pięcią dniami upadła skała i zawałiła jeden z korytarzów, gdzie pracował człowiek pewny stary z pięcią synami, a strażnicy nie chcą jej rozwalić prochem, mówiąc: »To długa praca, niech umrze«.

A my stajemy co dnia przy owej skale słuchać, czy jeszcze żyją; lecz nie słysząc nic w tej jaskini, nawet jęku.

Jeżeli jest człowiek boży, odwal kamień; może jeszcze żyje ojciec, lub które z dzieci jego.

Spraw przynajmniej zadziwienie katom na-

szym, uwolniwszy tych ludzi — albowiem pomrą z głodu».

Przyprowadzili więc Szamana ku owej skale, i stało się wielkie milczenie, a Szaman, podniósłszy oczy w górę, modlił się.

I przyszedł wiatr podziemny i wywrócił skałę tak, że otworzyła się czeluść ciemna i głęboka, a żaden w nią nie śmiał wstąpić najpierwszy.

Więc Szaman, wzięwszy kaganiec, wszedł do lochu po rozwalonych kamieniach — a za nim Anhelli i więźniowie.

I okropny ujrzeli widok! Oto na ciele najmłodszego syna leżał ojciec, jak pies, co położy łapy na kości i gniewny jest.

A oczy tego ojca, otwarte, błyszczały, jak szkło — a czworo innych umarłych leżało w bliskości, leżąc jedni na drugich.

I, spojrzawszy na nie, Szaman rzekł: »Co uczyniłem? Oto ojciec żyje, a synowie pomarli już. Dlaczegożem się modlił!«

Tak mówiąc, wyszedł z lochu, a połowa zgrai szła za nim.

ROZDZIAŁ VIII.

A przechodząc dalej, ujrzeli wiele ludzi białych i umęczonych, których imiona wiadome są w ojczyźnie.

I przyszli nad jezioro podziemne i postępowali brzegami ciemnej wody, która się nie ruszała, a złota była gdzieś od światła kagańców.

I rzekł Szaman: »Jestże to morze Genezaretan-

skie Polaków? A ci ludzie są rybakami nieszczęścia?»

Jeden więc z tych, którzy siedzieli smutni nad brzegami czarnej wody, z twarzą zadumaną, odpowiedział: »Pozwalają nam odpoczywać, albowiem dziś są imieniny królewskie i dzień wytchnienia.

Więc usiadamy tu, nad ciemną wodą, dumać i rozmyślać i odpoczywać; bo serca nasze są strudzone gorzej, niż ciała.

A oto utraciliśmy niedawno naszego proroka, którego ta skała była miejscem ulubionem i te wody miłemi mu były.

Człowiek to był blady, z błękitnymi oczyma, wychudły i pełny ognia.

A oto przed siedmią laty ogarnął go pewnej nocy duch proroctwa, i uczuł wstrząśnienia, które były w ojczyźnie, i rozповідаł nam przez noc całą to, co widział, śmiejąc się i płacząc.

A dopiero o poranku zasmucił się i krzyknął: »Oto zmartwychwstali, lecz nie mogą odwalić mogiły!« — i, to powiedziawszy, upadł martwy. A myśmy tu postawili jemu ten krzyż drewniany.

A we dwa lata później powiedzieli nam nowi wygnańcy, co się stało, i, policzywszy noc, poznaliśmy, że ów prorok nam prawdę mówił; więc chcieliśmy go uczcić — lecz już był w ziemi.

Szanujemy więc ten krzyż, nie mówiąc więcej: »Oto człowiek, który leży pod nim, był waryatem i obłąkanym i godnym śmiechu«. Cóż mówicie na to?...

A obróciwszy się Szaman ku Anhellemu, rzekł: »Czemuś się tak zamyślił nad tą czarną wodą, co

z łez jest ludzkich? Czy o tym proroku dumasz? Czy o sobie?»

Gdy mówił, rozeszło się wielkie echo od wybuchu miny i powtarzało się nad głowami, bijąc, jak dzwon podziemny. I rzekł Szaman: »Oto jest dzwonięcie po umarłym proroku! Oto jest Anioł Pański dla tych, którzy nie widzą słońca. Módlmy się!«

I, podniosłszy oczy, rzekł: »Boże! Boże! Prosimy Cię, aby nasza męka była odkupieniem.

A nie będziemy Cię już błagać, abyś powrócił słońce oczom naszym, i powietrze piersiom naszym, bo wiemy, że Twój sąd nad nami jest zapadły... Lecz nowonarodzeni niewinnemi są... Zlituj się, Boże!

A przebacz nam, że ze smutkiem krzyż dźwigamy i nie weselemy się, jak męczennicy; bo nie powiedziałaś, czy męka nasza policzoną nam będzie za ofiarę; lecz powiedz, a rozweselemy się.

Bo cóż jest życie, aby go żałować? Czy to jest anioł dobry, który nas opuszcza w godzinie śmierci?

Gorąco krwi jest ogniem ofiary, a ofiarą są chęci nasze. Szczęśliwi, którzy się mogą za lud poświęcić!«

I rzekli na to nędzarze: »Oto prawdę mówi ten człowiek; albowiem nieszczęśliwszą jest od nas ta niewiasta, która tu za mężem swoim przybyła i cierpi za serce człowieka.

Chodźcie, a pokażemy wam wilgotną jamę, gdzie żyje ta męczennica z małżonkiem swoim.

Wielką panią i księżną była, a dziś jest, jako służebnica żebraka ¹⁾).

A niegodzien jest litości ten, którego ona ukochała, albowiem, klękawszy przed cesarzem, błagał go o życie — i dano mu je, pogardziwszy nim«.

Tak mówiąc, przyszli pod ścianę i przez kratę ujrzeli owych dwoje małżonków.

Niewiasta klęczała przed mężem i w misie wody obmywała jego nogi; powracał bowiem z pracy, jak wyrobnik.

A woda w misie zaczerwieniła się krwią jego — i niewiasta nie brzydziła się mężem i krwią, a była młoda i piękna, jak anieli niebiescy.

Tych dwoje ludzi byli cesarscy.

ROZDZIAŁ IX.

A gdy już miał Szaman wychodzić z Anhellim na gwiazdy, pocieszywszy niektóre więźnie, usłyszał szczęk wielki w jednym z korytarzów.

Więc, obróciwszy się do jednego z tych, co szli za nim, spytał go, co by to było, ów szczęk żelaza i bicie — a zaś aresztant odpowiedział: »Karzą jednego z nas.

Zapewne starca, który wczoraj nie chciał pracować dla święta boskiego, pędzą przez łańcuchy«.

A udawszy się na miejsce męki, Szaman z Anhellim ujrzeli w korytarzu dwa szeregi ludzi, sto-

¹⁾ Sergiusz ks. Trubeckoj (1790—1861), za udział w spisku Dekabrystów skazany na dożywotnie więzienie w Merczyńsku. Żona jego, Katarzyna, towarzyszyła mu tam dobrowolnie.

jących z łańcuchami w ręku, każdy w postawie człowieka, co się zamierza uderzyć.

I ujrzeli postępujących naprzód dwóch żołnierzy z lampami — a we środku za nimi, obnażonego po pas, człowieka z brodą siwą.

A za każdym krokiem, gdy się przybliżał, słysząc było uderzenie łańcucha i szcęk drugi, wychodzący z chudej piersi bitego starca.

Gdy zaś już był u końca kary i zostawało mu zaledwie dziesięć kroków lub mało więcej, usłyszał Anhelli dwa uderzenia słabsze, jakoby dane przez ludzi litośnych.

Lecz starzec, odebrawszy je, upadł krzyżem na ziemi i był martwy.

Więc owi dwaj młodzieńcy, którzy go uderzyli litośnie, padli mu na ramiona i położyli się na trupie, wołając jeden i drugi: »Mój ojczel!...«

I odwrócił się Szaman, a spojrzawszy na Anhellego, nakrył mu głowę połą szaty swojej.

I kazał się wynieść duchom niebieskim, a, otworzywszy oczy, Anhelli zobaczył śnieg i gwiazdy.

I przekonany był, że widzenie kopalni snem było, albowiem nie wiedział, jak z nich wyszedł.

ROZDZIAŁ X.

A oto wygnańcy owi w szopie śniegowej w niebytności Szamana kłócić się zaczęli pomiędzy sobą i podzielili się na trzy gromady — a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny.

Więc pierwsza na czele miała grafa Skir, który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontu-

sze i nazywać się będą szlachtą, jakby z Lachem na nowo przybyli do kraju pustego.

A druga miała na czele żołnierza chudego, imieniem Skartabellę, który miał ziemię podzielić i ogłosić wolność chłopów i równość szlachty z żydami i z cyganami.

A trzecia na czele swoim miała księdza Bonifata, który kraj chciał zbawić modlitwą i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny: iść i ginąć, nie broniąc się, jak męczennicy.

Te więc trzy gromady zaczęły być między sobą niezgodne w duchu i kłócić się poczęły o zasady.

A oto druga owa gromada, uzbroiwszy się w siekiery, wyszła w pole, odgrażając się, że u pierwszych dowie się, jaka jest krew — drugim zaś da to, czego żądają: męczeństwo.

Lecz, nim przyszło do walki, a umysły już były rozgrzane, zgodzono się, za poradą któregoś z tych, co był z trzeciej gromady, aby rzecz tę przez sąd Boga rozstrzygnąć.

I rzekł do nich ów doradca: »Oto postawmy trzy krzyże na naśladownictwo męki Pana naszego, i na tych trzech drzewach przybijmy po jednemu z najmocniejszych w każdej gromadzie rycerzy: a kto najdłużej żyć będzie, przy tym zwycięstwo«.

A że umysły tych ludzi były jakoby w stanie pijanym, znaleźli się trzej rycerze, którzy za swoje przekonanie śmierć ponieść chcieli i być ukrzyżowanymi, jako Chrystus Pan przed wiekami.

Postawiono więc trzy krzyże z najwyższego, jakie było w tym kraju, drzewa — i wystąpili trzej męczennicy, po jednemu z każdej gromady; wszakże

nie wybrani losem, lecz z własnej woli. Nie byli to gromad wodzowie, lecz jedni z najmniejszych.

Kiedy więc cieśle postawili krzyże na wysokim wzgórzu śniegowem, odezwał się głos z nieba, jakoby wichur, pytając: »Co czynicie?« Lecz go ci ludzie nie przelekli się.

I zawieszono na krzyżach ludzie owe obłąkane, i przybito im ręce ćwiekami; a ten, co był na prawo, krzychał: »Równość!« — a ten, co był z lewej, krzychał: »Krew!« — wiszący zaś pośrodku mówił: »Wiarą!«

I tłumy stały w milczeniu pod krzyżami, czekając, co się stanie. I tak je noc zastała na śniegu; a była wielka ciemność i okropne milczenie.

Aż o północy zorza borealna rozciągnęła się na całej niebios połowicy i ogniste wystrzeliły z niej miecze; a wszystko stało się czerwone — i te krzyże z męczennikami.

Wtenczas strach jakiś ogarnął tłumy — i rzekły: »Źle czynimy! Godzisz się, aby za nasze wiary ci ludzie ginęli niewinni?«

I przeraziły się zgraje, mówiąc do siebie: »Oto umierają i nie skarżą się«.

Rzekli więc do tych, co byli ukrzyżowani: »Chcecie, a zdejmujemy was« — lecz ci im nic nie odpowiedzieli, będąc już umarłymi.

A poznawszy to, rozbiegły się zgraje, pełne przerażenia, a żaden z tych, co uciekali, nie odwrócił głowy, aby spojrzeć na martwe i umęczone. Zorza je czerwieniła, zostali sami.

A właśnie wtenczas Szaman z Anhellim powracali z wędrówki podziemnej i zadziwili się, postrzegli

szy na ognistych niebiosach trzy czarne krzyże, i rzekli z przestrachem: »Co się stało?«

A przyszedłszy bliżej, strwożyli się, widząc na krzyżach ciała trupów — i poznali w nich swoje znajome; więc Szaman, usiadłszy pod krzyżami, płakał...

A powstawszy, rzekł do Anhellego: »Oto mi duch boży oznajmił winę tego ludu, i wiem, dlaczego tych ludzi ukrzyżowano; lecz, ażeby ciała ich nie ucierpiały jakiej nowej sromoty, zdejmujemy je i zaniesiemy na cmentarz.

Niech mają spoczynek w ziemi, albowiem w dobrej wierze na śmierć się wydali, i nie będzie im to na potępienie, ale na zagładę grzechów. Krzyż je oczyścił«.

Tak mówiąc, zdejmowali owe zmarłe i skościła na krzyżu, i przenosili je na dawne grobowisko wygnańców.

ROZDZIAŁ XI.

A gdy się zbliżali ku cmentarzowi, Anhelli usłyszał hymn skarżących się mogił i jakoby skargę popiołów na Boga.

Lecz skoro się jęki podniosły, anioł, siedzący na szczycie wzgórza, skinął skrzydłami i uciszył je.

I trzy razy to uczynił, albowiem po trzykroć rozpląkały się mogiły.

I zapytał się Anhelli Szamana: »Co to za anioł z białymi skrzydłami i ze smutną gwiazdą na włosach, przed którym ucichają grobowce?«

Lecz nic mu nie odpowiedział starzec; zasy-

pywał bowiem śniegiem ciała umarłych i był zatruty.

A przybliżywszy się Anhelli ku owemu aniołowi, spojrział na niego i upadł, jak człowiek martwy.

Skończywszy więc Szaman grzebanie umarłych, szukał go oczyma i, nie widząc nigdzie, szedł na wzgórze.

A natrafiwszy ciało Anhellego, potknął się na nim i krzyknął boleśnie; ale, poznawszy, że młodzieniec żyje, ucieszył się.

Wziął go zatem za rękę i rzekł: »Wstań! Nie jest jeszcze czas spoczynku!«

A powstawszy, Anhelli oglądał się wokoło i spuścił przed Szamanem głowę, jak człowiek, co się wstydzi, mówiąc:

»Otom zobaczył anioła, podobnego tej niewieście, którą kochałem z całej duszy mojej, będąc jeszcze dzieckiem.

A miłowałem ją w czystości serca mego; dlatego łzy mię zalewają, kiedy myślę o niej i o mojej młodości.

Bo oto byłem przy niej, jak ptak swojski, co się boi — i nie wziąłem nawet pocałowania od jej ust koralowych, choć byłem blisko — jak gołąb, mówię, siedzący na ramieniu dziewczyny.

Dziś już to snem jest. Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie: sąż to gwiazdy te same, które mnie widziały młodym i szczęśliwym?

Dlaczegoż nie powstanie wichra, co mię z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą? Dlaczego ja żyję?

Oto już jednego włosa niema na mojej głowie

z tych, które były dawniej — oto się nawet kości we mnie odnowiły, a ja zawsze pamiętam.

A niema jednej kawki w powietrzu, któraby nie spała przez jedną noc życia w spokojnem gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał. Chciałbym umrzeć.

Bo zdaje mi się, że, gdy będę umarłym, to sam Bóg pożałuje tego, co ze mną uczynił, myśląc, że oto już nie narodzi się raz drugi.

Wszak rodzić się nie jest to, co zmartwychwstawać: trumna nas odda, lecz nie spojrzy na nas, jak matka.

Oto mi więc smutno, że ujrzałem tego anioła — i wołałbym był wczoraj umrzeć«.

A Szaman, zapatrzywszy się w gwiazdy, rzekł: »Zaprawdę, że, jak dawniej wiele było opętanych przez czarty, tak dziś wielu jest opętanych przez czyste anioły.

Cóż zrobić? Oto wypędzę wszystkie te duchy z ciał i pozwolę, aby weszły w lilie wodne, i rozleciały się po gwiazdach różanych, i zamieszkały w tem, co jest najpiękniejszego — a opuściły ludzi.

A wieszli, kto jest ten anioł smutny na cmentarzu? Oto się zowie Eloë, a urodził się ze łzy Chrystusowej na Golgocie, z tej łzy, która wylana była nad narodami.

Gdzieindziej¹⁾ napisano jest o anielicy tej i wnuczce Maryi Panny, jak zgrzeszyła, ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów, i umiłowala jednego z nich — i poleciała za nim w ciemność.

A teraz jest wygnaną, jak wy jesteście wygnani,

¹⁾ W poemacie Alfreda de Vigny p. t. »Eloë«.

i ukochała mogiły wasze i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: »Nie skarżcie się, lecz spijcie!«

Ona odpędza reny, kiedy przyjdą mech wyciągać z pod głowy trupów — ona jest pasterką renów.

Przywyknij do niej za życia, albowiem będzie na mogile twojej stąpać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jej, abys się nie obudził, gdy mówić będzie.

Zaprawdę, że dla tych, co są smutni, ta kraina piękną jest i nie bezludną — albowiem tu śnieg nie płami skrzydeł anielskich, a gwiazdy te są piękne.

Tu przylatują mewy i gnieźdzą się i kochają się, nie myśląc, że jest jaka piękniejsza ojczyzna«.

Tak mówił i podniósł jedną z czaszek tych, które leżały odkryte; a w niej było rodzeństwo małych ptasząt.

I wyleciały główki przez miejsce, gdzie były oczy ludzkie, i pełna była płaczącej troski kość spiącego człowieka.

A wzięwszy ją, rozgniewany Anhelli rzucił o ziemię mówiąc: »Precz, kościele zhańbiony!«

A płomień, z ziemi wyszedłszy, stanął przed nim w kształcie jakoby ludzkim i w ubraniu biskupiem z infułą i z krzyżem na głowie — a wszystko ogniste ¹⁾).

I rzekł z wielką zgrozą: »Oto przyszliście ru-

¹⁾ Adam Stanisław Krasiński (1714—1800), biskup kamieniecki. Za gorącą miłość ojczyzny, objawioną zwłaszcza podczas Konfederacji Barskiej, prześladowany przez rząd rosyjski, na Sybirze jednak nie był.

sząć umarłe; czyż nie dosyć trupom wichry mieć nad sobą i zapomnienie?

Ręce moje łamały hostyą, a teraz je wyciągnę nad wami i przeklnę, mówiąc: »Bądźcie przekłęci, burzyciele grobów!«

Aż nie dosyć wycierpiałem na moim tronie i na biskupim oparty pastorał, modląc się za kraj, który miał ginąć, jak człowiek potępiony?

Kiedy Kimbar ¹⁾ wywołał Sybir i postawił go przed obliczem sejmu bladego, mówiąc: »Oto jest krzyż« —

Nie poszedłem na wygnanie, jak człowiek czysty? Któż mi co zarzuci i grobowi mojemu? Oto umarłem i zapomniano o mnie; czegoż więcej chcecie od ludzi, co umarli?

Widzicie tę białą ziemię? Jam tu mieszkał. Widzicie kości te? Ja żyłem z niemi.

A oto jest moja kość, ta kość spróchnała. Ludzie ją niegdyś szanowali, a dawniej jeszcze całowała ją matka moja — a dzisiaj mewa w tej czaszce uwiła gniazdo i mieszka; dajcie wy pokój białemu ptakowi Boga!

Ja znałem matkę jego matki; gdzież jest? Gdzie są gile, które przylatywały ubierać róż girlandami suche drzewa Syberyi, abym sobie przypomniał jabłonie sadów moich w ziemi ojczystej?«

Tak skarżył się; i przepraszał go Anhelli za

¹⁾ Józef Kimbar, poseł upicki na sejm grodzieński w r. 1793. Na jednym z posiedzeń sejmu zawołał: »Straszą nas Sybirem — niech więc przyjdą, niech nas wiodą w tę krainę — i tam żyją ludzie!«

obelgę kości jego, mówiąc: »Oto ja wkrótce przyjdę położyć się z wami; nie klnij mnie!

Myslałem, że się smucisz za wzgardę kości twojej... Jestże to świątynia, pełna ptasiego wrzasku? Lecz niech tak będzie, jak się Bogu podobało.

A nie powiem ci, co się stało z nazwiskiem rodu twojego, bo nie mógłbyś zasnąć, choć jesteś umarłym, i poszedłbyś, jęcząc, po świecie¹⁾.

A teraz przestań być latarnią grobu własnego i zrzuć ogniste szaty i rozbierz się z płomieni.

Gdy to mówił, utopił się duch w śniegu, i stało się ciemno, gdy zgasnął.

Więc pobiegł za nim Anhelli, wołając: »Powiedz mi nazwiska tych ludzi, którzy tu spoczywają przy tobie!«

Skoro to wyrzekł, usłyszał z pod ziemi, jakoby głosem tym, co był w ogniu, wychodzący długi szereg imion, już zapomnianych.

I obudził Anhellego Szaman, mówiąc: »Wróćmy do ludzi, grobowce bowiem powiedziały nam swoje tajemnice«.

I zeszli ze wzgórza mogił, modląc się.

ROZDZIAŁ XII.

A gdy przyszli pod dom wygnańców, usłyszeli zgiełk wielki i śmiech i wrzaski i szczekanie kielichów i brudne pieśni; a, stanąwszy Szaman pod oknami, słuchał, nim wszedł do tej jaskini nieszczęścia.

¹⁾ Aluzya do haniebnej roli, jaką w czasie powstania Listopadowego odegrał Wincenty hr. Krasiński, ojciec sławnego poety.

A gdy się ukazał pośród zgrai, ucichła; poznano bowiem człowieka, silnego w Bogu, i nie śmiano mu się urągać.

A podniósłszy Szaman oczy błyszczące, zaczął mówić, zapalając się w smutku:

»Cóżście uczynili — rzekł — beze mnie? Wi-działem waszą Golgotę. Biada wam!

A nie zostanę z wami, lecz to, co powiem, zostanie z wami. Bądźcie potępieni, kłótniwi ludzie!

Wichry rozsiewają dębu nasiona i roznoszą je po ziemi — lecz wichry te będą przeklęte, co wasze mowy i rady do ojczyzny zanosą! Pomrzecie!

Zbliża się wielki dzień, a żaden nie dożyje wieczora dnia tego! Zbliża się dzień sybirski i słońce zatracenia!

Dlaczegoście nie słuchali rad moich i nie żyli spokojnie w zgodzie i miłości braterskiej, jak przystoi na ludzi, którzy nie mają ojczyzny?

Oto obraziliście ludy tej ziemi, i z oszczepami stoją, czyhając na was; psy ich nawet czyhają, aby z was którego rozedrzeć.

Spotkałże z was kiedy kto Ostyaka i obszedł się z nim łagodnie i po ludzku? Zaprawdę, koło psa nie przeszedł żaden, nie uderzywszy go nogą, jak węża. O, ludzie bez pamięci i serca!

Więc wstanie słońce i dzień przyniesie straszniejszy, niż ciemność, a ciszę okropniejszą, niż są burze na morzu, bo będziecie się lękać sami siebie.

A śnieg ten stanie się morzem, a fala jego zieloną będzie, a dom wasz ginącym będzie okrętem.

Wyostrzcie wasze topory, bo potrzebne wam

będą; a kto z was umie zabijać, jest człowiek pożyteczny.

Zbliża się Wielkanoc, i krzyż czerwony napiszecie na waszych wrotach, lecz jaką krwią? Zaprawdę, nie krwią baranka!«

Gdy to mówił Szaman — niektórzy się przełękli, lecz jeden z pijanych, chwyciwszy za dzban gliniany, rzucił go na proroka i włos mu krwią poczerwienił.

Ujawszy więc za topór, Anhelli chciał się zemścić, ale go zatrzymał Szaman, mówiąc: »Bądź cierpliwy!

Kto tu za rok powróci, będzie płakał nad nimi; dlaczegoż brać zemstę z tych, którzy jutro będą rzeczą godną litości.

Boże! Nie karz ich!«

Tak mówił — a jeden ze zgrai zawołał: »Czarowniku, urzekłeś nas! Oto dzban był pełny i wysychł!«.

A inni, zajrzawszy w dzbany, potwierdzili to zgodnie, mówiąc: »Odczaruj nas, albo cię ukarzymy śmiercią!«

I stał się wielki wrzask, i groźne podniosły się przeklinania — a jeden, wzięwszy nóż, wraził go w piersi Szamana, mówiąc: »Oczarowałeś nas!«

Upadł starzec na ręce Anhellego, a ten go wyniósł z chaty, i pomogła mu młoda niewiasta, Ellenai, która kiedyś była zbrodniarką.

A gdy wyszli na miejsce oświecone gwiazdami, przemówił starzec: »Nieście mnie blisko grobowców, bo już zasną!«

Położyli go więc na jednej z mogił — i zimno

śniegu ożywiło go, a kobieta owinęła nogi jego włosami i trzymała je na łonie.

I, otworzywszy oczy, starzec zawołał po trzykroć: »Anhelli! Anhelli! Anhelli!« — a głos jego był smutny.

I rzekł mu: »Weź reny moje i pójdź na północ; znajdziesz mieszkanie w śniegu i spokojność. A będziesz żył mlekiem renów.

Weź z sobą tę niewiastę, i niech ci ona będzie siostrą; ona mię ukochała w godzinę śmierci, więc nie chcę, aby zginęła, jak tamci.

Cóż ci mówić będę? Oto śmierć będzie mówić za mnie i wyręczy mię. Ja cię kochałem.

Boś czysty był, jak lilia, biorąca z wody liście i kolory niewinne — boś mi był, jak syn dobry.

Nie smuć się aż do śmierci po zgonie ojczyzny twojej!... Ani płacz, myśląc, że jej nie zobaczysz! Wszystko jest snem smutnym«.

Gdy tak mówił, usłyszał Anhelli stąpanie po śniegu i rzekł: »Ktoś nadchodzi; czy to śmierć stąpa głośno?«

Lecz był to ren, który, stanąwszy nad umierającym panem, zadziwione oczy nappełnił wielkimi łzami; i odwrócił się od niego Szaman, płacząc.

A po chwili, przystąpiwszy doń, Anhelli wziął go za rękę i poczuł, że była martwa.

Więc pochował starca w śniegu i, obróciwszy się do niewiasty, rzekł: »Chceszli mnie wziąć za brata? Chodź ze mną!« A ta mu do nóg upadła, mówiąc: »Aniele mój!«

Podniósł ją z ziemi Anhelli, i udali się oboje na

północ, a za niemi szli renowie Szamana, wiedząc, że za nowemi idą panami.

A zaś Anhelli milczał, bo miał serce pełne łez i boleści.

ROZDZIAŁ XIII.

Odeszli więc, Anhelli z ową niewiastą i z renami Szamana, na daleką pustynię północną, a, znalazłszy pustą chatę, w łodzie wykutą, zamieszkali w niej.

A po krótkiem pożyciu Anhelli przyzwyczaił się nazywać siostry imieniem zbrodniarkę tę i pokutnicę.

Ona mu była sługą i uścielała łoże liśćmi i doila reny wieczorem, a rano wypędzała je na paszę.

Serce jej od modlitwy ciągłej stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei, i wypiękniało na niej ciało.

Oczy rozpromieniły się blaskiem cudownym i ufnością w Bogu, a włosy stały się długie i podobne szacie obszernej, kiedy się w nie ubrała, i podobne namiotowi biednego pielgrzyma.

I dziwił się Anhelli, że była spokojną o przyszłość, popełniwszy niegdyś zbrodnię wielką, a nawet krwią mając zmazane ręce.

I dziwił się, że skarga jej była maleńką i skarżącą się, jak płacz niewinnej dzieciny, kiedy zaźdościła ptakom skrzydeł niebieskich, widząc, jak rybitwy białe wędrują ku słońcu złotemu i toną w promieniach.

A lękała się zmazać słowami nieczystemi, mó-

wiąc: »Oto nas dwoje na ogromnej pustyni, więc nas Bóg pewnie słucha i na nas patrzy; a jeśli o rzeczy dobre prosić Go będziemy, to nie opuści nas«.

Przyszedł więc dzień sybirski, a słońce nie zachodziło, lecz biegło niebem, jak koń w zawodzie z płomienistą grzywą i z białem czołem.

Strasliwe światło nie kończyło się nigdy, a huk lodów był jakoby głos boży, odzywający się na wysokościach do ludzi nędznych i opuszczonych.

A długi smutek i tęsknoty przyprawiły o śmierć ową wygnankę — i położyła się na łożu liścianem pomiędzy renami swojemi, aby umrzeć.

A był zachód słońca: albowiem od niejakiemu czasu zaczęły się noce w ziemi sybirskiej i słońce coraz dłużej zostawało pod ziemią.

Obróciwszy więc ku Anhellemu szafirowe oczy, zapalone łzami wielkimi, rzekła Ellenai: »Umiłowałam ciebie, bracie mój, i opuszczam«.

A powiedziawszy, gdzie ją miał pochować, że pod sosną, która była w smutnym parowie, leżeć pragnie, rzekła: »Czemże ja będę po śmierci?

Oto chciałabym być jaką rzeczą żyjącą przy tobie, Anhelli — pajęczkiem nawet, który jest miły więźniowi i schodzi jeść z jego ręki po złotym promyku słonecznym.

Jam się przywiązała do ciebie, jak siostra i jak matka twoja, i więcej jeszcze... Ale grobowiec wszystko kończy...

Nie zapomnij o mnie — bo któż o mnie będzie pamiętał po śmierci? Chyba ren, któregom doiła, zalewając się łzami.

Jeżeli wiesz, gdzie ludzie idą po śmierci, to

mi powiedz, bo niespokojna jestem, choć mam nadzieję w Bogu.

Oto ja polecę do krainy twojej rodzinnej i obaczę dom twój, sługi twoje i rodzice twoje, jeżeli jeszcze żyją.

I nawet miejsce te, gdzie stało twoje łóżeczko dzieciinne, mała niegdyś kołyska twoja.

Ty powiesz, że to są myśli gminne, że człowiek po śmierci nie lata... Cóż — kiedy z taką myślą śmierć piękniejsza.

A oto, patrząc, nad łóżem mojem ta szyba lodu, słońcem czerwona, z dwoma skrzydłami promieni: nie jestże to anioł złoty, stojący nade mną?

Reny wyciągają mech z pod mojej pościeli i skubią łóżę śmierci, jedząc... Biedne reny moje, żegnam was.

A teraz podniosę oczy do Królowej Niebieskiej i będę się modliła do Niej».

Zaczęła więc tu umierająca mówić litanie do Matki Chrystusowej i, właśnie wymówiwszy: *Różo złota!* — skołała.

I na znak cudu upadła róża żywa na białe piersi umarłej, i leżała na nich, a w jamie rozeszła się od niej woń różana i mocna.

Nie śmiał więc Anhelli ruszyć ciała umarłej ani złożyć rąk, które były wyciągnięte, lecz, usiadłszy na końcu łóża, płakał.

A oto, jakoby o północy, stał się wielki szelest; i myślał Anhelli, że reny szeleszczą, wyjadając mech z pod łóża śmierci — lecz inna była przyczyna.

Chmura jakoby duchów ciemnych zatrzymała się nad jamą, śmiejąc się głośno, a ciemne twarze

pokazały się przez rozszczerzone lodu sklepienie i krzyczały: »Naszą jest!«

Lecz róża owa cudowna, dostawszy skrzydeł gołębih, podleciała w górę i spojrzała na nie oczyma niewinnego aniołka.

Ciemne więc owe duchy i chmura ich wzniosła się z dachu, krzycząc w ciemnem powietrzu smutne przeklinania — i stała się znów cichość, jaka przystoi w miejscu, gdzie trup spoczywa.

We trzy zaś godziny po północy usłyszał Anhelli stukanie do drzwi, które były z lodu, i, odwa-
liwszy bryłę, wyszedł na księżyc.

I zobaczył owego anioła, który mu był przypomniał miłość dla niewiasty i pierwszą jego miłość na ziemi; więc, spuściwszy przed nim głowę, stał cicho.

I rzekła do niego Eloë: »Wynieś mi tu umarłą twoją siostrę. A ja wezmę ją i pochowam litośnie; moją jest«.

Odszedłszy więc Anhelli do jamy, wziął na ręce trupa, wyniósł i położył go na śniegu przed aniołem. A Eloë, uklękawszy nad śpiącą, położyła pod nią z obojej strony końce skrzydeł łabędzich i zawiązała je pod umarłą.

I, z pełnemi trupa skrzydłami, wstawszy, na księżyc odeszła.

Wrócił więc Anhelli do jamy pustej i, spojrzawszy na ściany, zajęczał, bo już jej nie było.

ROZDZIAŁ XIV.

Około więc onego czasu, gdy ziemia zaczyna się od słońca odwracać i zasypia w ciemnościach,

Zawołał Jehowa dwa odwieczne Cherubiny przed tron swój i rzekł: »Idźcie na równinę Syberii«.

A patrząc w światło boże, zrozumieli aniołowie, jaką była wola Pana, i zeszli w krainę mglistą, ukrywszy w sobie światłość,

I przyszli na miejsce, gdzie była posieleńców szopa; lecz nie znaleźli śladu jej, wicher ją był bowiem powalił,

A z owych tysiąca zostało jakoby dziesięciu ludzi, bladych i strasznych z postaci.

A przybliżywszy się, aniołowie ujrzeli ich przy stosie wielkim z drzewa, na którym leżał trup człowieka.

I, wzdrygnąwszy się, rzekli: »Ludzie, co czynicie? Aż to jest ofiara bogom piekielnym?« Odpowiedział im na to człowiek najstarszy: »Zaprawdę, że ofiarą naszą jest trup, a Bogiem, który go przyjmuje, jest głód.

Zrobiliśmy rzecz równą z naszego społeczeństwa, a rzucił nami los, nie zaś żaden pan ziemski, ani króle.

A cóż więc mieliśmy czynić z wnętrznościami naszymi i z gniazdem węży, które nam gryzło wnętrzności!

Czy Bóg pamiętał o nas? I dał nam umrzeć w ojczyźnie i w ziemi, gdzieśmy się urodzili?

Nie! Uczynił nas ludem Kaimów i ludem Samojedów. Przeklęty!

Tak mówił ów człowiek i ocierał usta, na których była krew świeża. A na to zaś anieli:

»Nawróćcie się — rzekli — i proście Boga, al-

bowiem pokażemy wam znak jego gniewu ten sam, który był niegdyś znakiem przebaczenia».

I roześmieli się głośno ci ludzie, nie wiedząc, że z aniołami rozmawiali, i rzekli: »Jakiż jest znak?»

A, wyciągnąwszy rękę, anieli pokazali na wielką tęczę, która przebiegła i położyła się na połowicy chmurnych niebios — mówiąc: »Oto ten jest».

I straszliwe przerażenie zdjęło te ludojady na widok rzeczy tak pięknej i błyszczącej, której Bóg użył na znak swego rozniewania.

A usta ich były otwarte, a języki czarne, jak węgiel, a oczy ich, jakoby szklanne, nie odwracały się od niebieskich kolorów.

I w zadziwieniu wyrzekli imię Chrystusa i poupadali martwi.

ROZDZIAŁ XV.

Tego samego dnia, przed wschodem słońca siedział Anhelli na bryle lodu, na miejscu pustem, i ujrzał zbliżających się ku sobie dwóch młodzieńców.

Po wietrze lekkim, który szedł od nich, poczuł, że byli od Boga, i czekał, co mu zwiastować będą, spodziewając się, że śmierć.

A gdy go pozdrowili, jak ziemscy ludzie, rzekł: »Poznałem was; nie kryjcie się, — aniołami jesteście.

Przychodzicie-li pocieszyć mnie? Czy sprzeczać się ze smutkiem, który się nauczył w samotności milczenia?»

I rzekli mu ci młodzieńcy: »Oto przyszliśmy

ci zwiastować, że dzisiejsze słońce wstanie jeszcze, lecz jutrzejsze nie pokaże się nad ziemią.

Przyszliśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą okropność, niż jacy ludzie doznali kiedy: samotność w ciemnościach.

Przyszliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli, jedząc trupy i będąc wściekli od krwi ludzkiej — a ty jesteś ostatni.

A jesteśmy ci sami, którzy przed wiekiem przyszli do chaty kołodzieja i usiedli za jego stołem, w cieniu lip pachnących.

Lud wasz wtenczas był jako człowiek, który się budzi i powiada sobie: »Oto mnie rzecz miła czeka o południu, i weselić się będę wieczorem« «...

Zwiastowaliśmy wam nadzieję, a teraz przyszliśmy zwiastować koniec i nieszczęście; a Bóg nie kazał nam wyjawiać przyszłości«.

I rzekł im, odpowiadając, Anhelli: »Zaprawdę, urągacie mi, mówiąc o Piaście i o początku wtenczas, kiedy ja czekam śmierci, a w życiu mojem widziałem tylko nędzę.

Czy przyszlście przerazić mnie, wołając: »Ciemności nadchodzą!?« Nacóż wam przerażać tego, co cierpi? Nie dosyćże jest przerażenia w grobowcu?

Życie moje zaczęło się od przerażenia. Ojciec mój umarł śmiercią synów ojczyzny, zamordowany — a matka moja umarła z boleści po nim — a jam był pogrobowcem.

Pierwsza lilia na grobie ojca mego jest moją rówienniczką, a pierwsza róża na grobie matki mojej była mi siostrą młodszą.

Oto mię w kołysce owionęła woń krwi ojcowskiej, i wyrosłem z twarzą smutną i przełęknioną.

A gdym usiadał, dzieckiem, na kolanach u ludzi obcych, to gadałem wyrazami przerażenia z ciemnością, a liść jesienny, szumiący z wichrami, rozumiałem, co szeptał.

Nad kołyską moją był przestrich — więc niech przynajmniej sam smutek cichy będzie w godzinę śmierci.

Idźcie i powiedzcie Bogu, że, jeżeli ofiara duszy przyjęta jest, oddaję ją i zgadzam się, aby umarła.

Taki mam smutek w sercu, że mi światła anielskie w przyszłości natrętnemi są, a obojętny jestem na wieczność, a nawet znużony jestem i chcę zasnąć.

A choć Bóg wie, że jestem czysty na duszy i nieskalany żadnym grzechem podłym — oto powiedzcie mu, że, jeżeli chce ofiary z duszy mojej, to ją dam«.

I przerwali mu anieli, mówiąc: »Gubisz się: żądanie człowieka jest sądem na niego.

A wieszli ty, czy od spokojności twojej nie zależy żywot jaki, a może żywot i los milionów?

Możesz jest wybrany na ofiarę spokojną, a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny i być rzuconym w ciemność dla przestrichu zgrai«.

I ukorzył się Anhelli, mówiąc: »Anieli, przebaczcie mi! Uniosłem się, i skrzydła myśli moich uniosły mnie.

Więc będę cierpiał, jak dawniej: oto język mój rodzinny i mowa ludzka zostanie we mnie, jak

harfa z porwanemi strunami; do kogoż mówić będę?...

Ciemność będzie towarzyszem moim i krajem moim.

A oczy moje, jak służebnice, które przestają pracować dla braku oliwy w lampie wieczornej —

A wzrok mój, jak gołębie, latające po nocy, które się tłuką o drzewa i skały piersią złęknioną.

Płomieniste koła urodzą się w mózgu moim, i staną przed oczyma, jak wierne sługi, idące z latarniami przed panem.

I wyciągnę ręce w ciemności, aby ułować którą z płam płomienistych, jak człowiek obłąkany.

Lecz okropności ziemi są niczem; zgryzota moja dla ojczyzny okropniejszą jest. Cóż uczynić?

O, dajcie mi moc miliona ludzi, a potem mękę miliona tych, którzy są w piekle!

Czemużem się targał i męczył dla rzeczy, będącej szaleństwem? Czemu nie żyłem spokojnie?

Rzuciłem się w rzekę nieszczęścia — i fala jej zanosła mnie daleko — i już nie wrócę — nigdy!«

A znowu przerwali mu anieli, mówiąc: »Oto się raz uniosłeś aż do bluźnierstwa przeciwko duszy własnej, a teraz bluźnisz przeciwko woli, która była w tobie, kiedyś się poświęcił za ojczyznę!

Jestże jaki zły duch w najczystszych sercach ludzi, który je mięsza i przerzuca za kres dobrego?

Ostrzegamy więc ciebie z woli boskiej, że za niewiele godzin umrzesz; przeto bądź spokojniejszy«.

Usłyszawszy to, Anhelli spuścił głowę i poddał się woli boskiej. A zaś aniołowie odeszli.

ROZDZIAŁ XVI.

A zostawszy sam, Anhelli zawołał smutnym głosem: »Więc koniec już!

Cóż robiłem na ziemi? Byłże to sen?«

A gdy rozmyślał Anhelli o tajemnicach przyszytych, zaczerwieniło się niebo i wybuchnęło wspaniałe słońce, a, stanąwszy na kręgu ziemskim, nie podniosło się, czerwone, jak ogień.

Korzystały z dnia krótkiego ptaki niebieskie i białe mewy, którym Bóg uciekać kazał przed ciemnością, i wielkimi tłumami leciały, jęcząc.

Więc spojrział na nie Anhelli i zawołał: »Gdzie wy lecicie, o mewy?«

I zdawało mu się, że w jęku ptaków usłyszał głos, odpowiadający mu: »Lecimy do ojczyzny twojej!

Czy każesz nam pozdrowić kogo? Czy, usiadłszy nad jakim miłym domem, zapiać w nocy pieśń nieszczęścia,

Aby się obudziła matka twoja, lub który z krewnych twoich, i zaczęli płakać w ciemności z przeżenienia,

Myśląc o synie, którego pożarła kraina grobowcowa, i o bracie, którego pochłonęło nieszczęście?«

Taki był głos ptaków. I rozkruszyło się serce w Anhellim, i upadł.

A słońce utonęło pod ziemią, i tylko jeszcze najwyżej lecące ptaki świetniały na szafirowem niebie, jak róż białych girlandy, ulatujące ku południowi.

Anhelli był umarły.

ROZDZIAŁ XVII.

W ciemności, która była potem, rozwidniała się wielka zorza południowa i pożar chmur.

A księżyc znużony spuszczał się w płomienie niebios, jakoby gołąb biały, spadający wieczorem na chatę, czerwoną od słońca zachodu.

Eloe siedziała nad ciałem zmarłego, z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach.

I oto nagle z płomienistej zorzy wystąpił rycerz na koniu, zbrojny cały — i leciał z okropnym tętentem.

Śnieg szedł przed nim i przed pierśią konia, jak fala zaczepiona przed łodzią.

A w ręku rycerza była chorągiew — a na niej trzy ogniste litery paliły się.

I przyleciawszy ów rycerz nad trupa, zawołał grzmiącym głosem: »Tu był żołnierz; niech wstanie!

Niech siada na koń — ja go poniosę prędzej, niż burza, tam, gdzie się rozweseli w ogniu.

Oto zmartwychwstają narody! Oto z trupów są bruki miast! Oto lud przeważał!

Nad krwawemi rzekami i na krużgankach pałacowych stoją bladzi królowie, trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą świszczącą i przed wichrem zemsty ludzkiej.

Korony ich ulatują z głów, jak orły niebieskie, i czaszki królów są odkryte.

Bóg rzuca pioruny na głowy siwe i na obnażone z koron czoła.

Kto ma duszę, niech wstanie! Niech żyje! Bo jest czas żywota dla ludzi silnych!«

Tak mówił rycerz, a Eloë, powstawszy z nad trupa, rzekła: »Rycerzu, nie budź go, bo śpi!

On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca. Rycerzu, leć dalej, nie budź go!

Jam jest w części odpowiedzialna, że serce jego nie było tak czyste, jak dyamentowe źródło, i tak wonne, jak lilie wiosenne.

To ciało do mnie należy, i to serce mojem było. Rycerzu, koń twój tętni; leć dalej!«

I poleciał ów rycerz ognisty z szumem, jakoby burzy wielkiej — a Eloë usiadła nad ciałem martwego.

I uradowała się, że serce jego nie obudziło się na głos rycerza i że już spoczywał.

ROZMOWA Z MATKĄ MAKRYNĄ MIECZYŚLĄWSKĄ ¹⁾.

Słyszac, że głos jej nożami przenikał,
Gdy swe boleśne męki powiadała,
Szedłem — nie przeto, abym ran dotykał,
Ani rozdrażniał zranionego ciała,
Ani świadectwo wydawał o ranach —
Ale był wierny, jak syn na kolanach,
Który dwojakie ma kadzidło w darze:
Łzy, albo zemstę — co matka rozkaże...

¹⁾ Makryna Mieczysławska, ksieni klasztoru Bazyliank w Mińsku, za wytrwałość w wierze wycierpiawszy opisane w poemacie ośmioletnie męczarnie, zdołała w r. 1845 umknąć z Rosyi i przybyła do Paryża.

Szedłem, ażebym dla mojego czoła
Wziął uświęcenia od ręki anioła —
Bo mi się w nocy ta ręka czerwona
Pokazywała przeze mgły, skrwawiona,
Wyrzucająca takie strachu strzały
Z palców ognistych — że brak na to słowa,
Żem drżał, jak Mojżesz — gdyby mu Jehowa
Rękę był swoją pokazał ze skały.

Znalazłem w cichym siedzącą klasztorze
U suchych, obcych ludzi na gościnie
Prostą niewiastę, rzekłbyś — gospodynię,
Siedzącą sobie na szlacheckim dworze,
Kędy zarządza dziateczek hałasem,
W czepcu, w rańtuchu, z kluczami za pasem.
Wszakże, pomimo tak wielką prostotę
I dziwne z matką moją podobieństwo,
Na twarzy jasne widziałem męczeństwo,
Jakieś męczeństwo wielkie, boże, złote,
Które mię z góry uderzyło w ciemię,
Jak Pan, gdy rzuca zbrodniarzem o ziemię...
A wtenczas ona: »Cóż, ziomku kochany?
Przyszedłeś, mocno, jak widzę, wzruszony;
Siądź! — Powiem tobie, że zamknięte rany
Lepiej przystoją Polce, niż korony.
Ty młody jeszcze, nie topionys w Niemnie,
A już ty bladszy, mój synu, ode mnie.
Widząc was wszystkich takich w tej stolicy¹⁾,
Chociaż ja sędzę rozumem prostaczki,

¹⁾ »W stolicy« = w Paryżu; »was« = emigrację.

Widzę ja prawie, że i wy biedaczki,
Widzę was jasno: i wy męczennicy.

Westchnęła — a ja: »Matko, powiedz, proszę,
Czyś ty do boskich nie zanosła tronów
Skargi na tyle polskich milionów?
Dwadzieścia!!! Gdyby to miedziane grosze —
Świat prawie kupić! — Gdyby pozapalać,
A każdy dał krwi maleńką kropelkę —
O — na Chrystusa i na Zbawicielkę —
Świat możnaby tą krwią czerwoną zalać!
Gdyby błysnęły wszystkie ognie z lica,
Świat można spalić! A ty, męczennica,
Polka — w żołdackim utopiona brudzie?
Nie — car nie winien — to winni ci ludzie!!«

A ona: »Nie skarż, o, nie skarż nikogo!
Nie skarż — bo oni, biedacy, nie mogą...
Wszyscy pod wielkim i krwawym uciskiem
Czekają tylko na pierwszą dogodność... «
Tu mnie spytała: »Jakiem zwać nazwiskiem?«
Nie dosłyszałem — a ona: »Jak godność?«
Zarumieniłem się cały i rzekłem:
»Godności nie mam — przed męką uciekłem...« ¹⁾

I nastąpiło ponure milczenie;
Ona z milczącą, a ja z twarzą ciemną...
Czułem, że cierpi ze mną i nade mną,
Jak gdyby znowu dźwigała kamienie.

¹⁾ Słowacki mówi tu o swym nagłym wyjeździe z Warszawy w r. 1831.

II.

.
.
. . . Tak mię pocieszywszy nieco,
Mówiąc o duchach, które w kraju rosną,
I obeznawszy mię z tą piękną wiosną,
Do której myśli, jak żórawie, lecą,
Mówiła dalej: »Raz nam do klasztoru
Wieść przyszła, że nasz biskup zmienił wiarę...¹⁾
Nie wierzyłyśmy. — Lecz w godziny szare,
Kiedyśmy poszły na modły do choru,
Strach jakiś przewiał nieznany kościołem
I powiał na nas niewidzialną siłą;
Każda myślała: »A gdyby tak było?...«
I, przerażone, padałyśmy czołem,
Jak małe dzieci, które dziad przeraża,
Nie śmiejąc rzucić tej nocy ołtarza.

Potem, zostawszy ja sama w kościele,
Rzekłam: »Z biskupa duszą się rozprawię:
Myślą go sobie przed oczy postawię,
Wzrokiem zapytam, jakie on ma cele?«
Staął mi — a ja sądziłam oczyma,
Która kość w nim drży, a która się trzyma.
Strach mię za serce przenikliwy ścisnął,
Bo stał wyraźnie — i oczyma błysnął,
A oczy były od zwyczajnych różne,
Jak szkła wypukłe, świecące i próżne...
Wtenczas w przestrichu mój duch osamotniał:
Rzucam się znowu — krzyżem, martwa, leżę —

¹⁾ A. Siemaszko, biskup unicki, przeszedł na prawosławie w r. 1837.

A takie poty szły aż przez odzieżę,
Żem wstała — a krzyż na ziemi wypotniał.

Wkrótce przyjechał do nas w odwiedzinę
Biskup, w orderze krzyża czerwonego,
A ja raz tylko spojrzałam na niego...
(A trunek było czuć i woń stęchliny)
Raz tylko w oczy spojrzałam okropne,
Zimne — umarłe niby — lecz roztropne.
A choć przychodził do rzeczy z daleka,
Ja już wiedziałam wszystko, co mię czeka.

Po tylu latach męki i konania
Dziś nie powtórzę pierwszej z nim rozmowy.
To tylko powiem, że do przekonania
Trafiał i groźbą i słodkimi słowy;
Siadł blisko — sztuczka podstępna i chytra,
Próbował i słów magnetycznych ze mną —
Była tam jakaś gregoryańska mitra... ¹⁾
Słowa, mówione z trwogą potajemną,
Jak węże, skórą szeleściły suchą,
Dziwne — ogniste — zaszeptane w ucho.
On szeptał, jak czart... wzrok miał obłąkany —
Szeptał... te słowa, mówię ci, szatany!
Nikt o nich nie wie, gdzieś po trumnach siedzą.
On tylko jeden i szatany wiedzą,
Jakie to słowa... Skryte, ślepe krety...
Jakie to słowa? Mówię ci, sztylety —
Nie słowa ludzkie!...

¹⁾ Rodzaj infuły, oznaka godności biskupów prawosławnych i przełożonych prawosławnych klasztorów żeńskich.

Pan Bóg mię obronił.

A on też inny ton wziął ze mną zaraz:

»Będiesz, powiada, tu miała ambaras«. —

To rzekł i nisko kołpaka pokłonił

I wyszedł...

Ja też wnet zebrałam mniszki,

I przysięgłyśmy przed Panny obrazem:

Choćby nam przyszło umrzeć wszystkim razem,

To umrzeć — a te biskupy opryszki

Mocować, póki nam żywota stanie;

A nawet westchnąć i modlić się za nie,

Żeby przebaczył Bóg...

Tegoć, mój drogi,

Trudno ci będzie już dzisiaj opisać,

Jakie to były u mniszeczek trwogi.

Jedne radziły do Rzymu napisać,

Drugie — nasypać prochów do piwnicy,

Beczki postawić radzą pod ołtarze —

Straszne rycerki: chcą odprawiać straże

Przy beczkach z prochem, z ogniem na gromnicy...

Wszystkie, jak szpaczki, zbiegają się, radzą,

Wszystkie — najlepsze pokazują chęci;

Lecz, gdy mi z poczty papiery oddadzą,

A ja się tykam rządowych pieczęci,

To stoją blade — drżące — z dreszczem ciała,

Strwożone laku samego zapachem,

I mnie na palce patrzą z takim strachem,

Jak gdybym święty sakrament łamała.

Przyszedtł nareszcie rozkaz ostateczny:

Odmienić wiarę — lub się wybrać w drogę...

Gdzie? Co? — Nic więcej. — Uczułyśmy trwogę,
Jak gdybyśmy szły w ciemność na sąd wieczny,
Tak nic nie wiedząc, co się z nami stanie,
Czy gdzie w łańcuchy, czy gdzie na wygnanie,
Czy gdzie na nędzę, chłód i wichrów szturmy,
W Sybir? — Któżby się nas tam upominał!
Może, myślałam, posadzą do turmy
I tam oskarżą o jaki kryminał?
Dotąd mię jeszcze strach okropny bierze,
Gdy myślę, jaka to szatańska była
Ta ciemność wielka w rządowym papierze,
Która nie mogła, a śmiercią groziła.

Wszystko, co potem z nami nastąpiło,
Otwartą, groźną przedsięwzięte siłą,
Nie takim strachem nam na dusze spadło,
Jako to pierwsze zagrożeń widziadło.
Pomyśl: Którażby nie zmieniła cery,
Spojrzawszy w trupie te białe papiery —
Papiery, pełne i groźby i siły,
A tak milczące, głuche, jak mogiły?
Strach nas, powiadam, dolatywał wszędzie,
W nas był — i szeptał strachami wygnania;
Męka to była nie do opisanía!
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie.

Bóg upominał, lecz strzegł. — Wszystko potem
Było przynajmniej już jasne, widome.
Cierpieć? My cierpieć byliśmy łakome...
Z głodu umierać? — A cóż, gdy pod płótem
Niewinny żebrak na mrozie przypieka?
Czasami żołnierz — zgłodzony, kaleka,
A psi go tylko, sami głodni, strzegą...

Umierać?... Cóż my, jak żebrak, lepszego?
Męka, gdy ciało już kasać zaczyna,
To nic; duch wtenczas nabiera odwagi
I samby prawie poszedł na miecz nagi;
Ale ta pierwsza zagrożeń godzina,
Gdzie wsparcia znikąd, a ciemny strach wszędzie .
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie!«

Zadrżałem — tak się ta święta podniosła,
I z takim gestem, zapalona cała,
Polskim duchowym językiem śpiewała
I w słowach, niby rozognionych, rosła!
Lecz się spostrzegła poważna matrona,
Że duch zebrany być musi do łona,
A nie ulegać zapału pokusie —
Jasny, spokojny, jak był duch w Chrystusie.

Więc zaraz, wzięwszy z siebie takich tonów,
Którymi zawsze człowiek rządzić może,
Rzekła: »Chcesz słyszeć o moim klasztorze;
Powieм ci krótko kilka naszych zgonów,
Kilka męk... Już wiesz zapewne od braci,
Że byłam sama przełożoną, ksienią;
Widzisz, czem jestem — sądz z mojej postaci:
Nigdy mię ludzie podli nie odmienia,
Ani też choćby złotem mnie przykryto!
Zwyczajną jestem, jak widzisz, kobietą,
I taką byłam — to jednakże powiem,
Żem niegdyś była panną myśli trwożnej,
Bom się rodziła w rodzinie zamożnej,
Psuta — na szczęście obdarzona zdrowiem
I wytrwałością.
.

Przyszedł dzień ofiary.

Sam biskup zjechał, zwołał uroczyste.
Wszystkieśmy drżały, jak na drzewie liście,
Ja nawet jeszcze nie nabrałam wiary:
Trzęsłam się cała, zbiedzona, załękła,
Strudzona, głowy znękana zawrotem —
Serce mi biło ciężko, jakby młotem;
Myślałam, że gdzieś wielka żyła pękła
I kropliskami ciężko w pulsa sieje —
Krew kapie — a, jak dokapie — zaleje.
Słucham — a czuję, że już coraz bladnę...
Strach! — A cóż poczną biedne siostry moje,
Jeżeli, trwogą zabita, upadnę?...
Nie! Przed biskupem żywa już dostoję!

Ale Bóg dobry — o, tak, Pan Bóg dobry!...
Zaraz mi weszło coś do serca mocy:
»Ha! — pomyślałam — z Mieczysława Chrobry,
A z Mieczysławskiej głaz Dawida procy.
Niech czart próbuje. — Cóż — choćby i bito?
Stanę mu twarz w twarz — niech walczy z kobietą!«
I znów uczułam, że ten poryw ducha
Przydał Siemaszce odwagi i siły:
Więc znów zacięłam zęby — zimna, głucha,
Ducha do ciała, jak nogi stonoga
Zebrałam w sobie — jak na dno mogiły,
Zelękła poszłam do serca — po Boga!

A on, jak gdyby te straszne jaszczury,
Które złotemi jad oczami leją,
Spojrzał: my stały spokojne, jak mury,
A on, choć z małą, jak sędzę, nadzieją,

Zapytał: »A cóż, siostry moje drogie,
Chcecież przejść wszystkie na braterską wiarę?« —
My nic. — On westchnął — i znów oczy szare
Obrócił na nas, ale już złowrogie.
Siostry mi potem mówiły, że, w miarę
Jak się zapalał i rwał piersi wzdęte,
One już radość jakąś czuły, wiarę —
Różane moje, biedne siostry, święte...
Z umizgiem napół błagań i wyrzutów
Znowu zapytał jeszcze słodszy głosem:
»Któraż z was łaską pogardzi i losem —
A weźmie...?« — Tu nam rzucił pękiem knutów!...
My nic. —

Oddechu wciągnął w schryplę płuca,
Nareszcie nie mógł już więcej, wrzał skrycie;
Więc, jakby rynna, gdy błoto wyrzuca,
Wrzasnął i zawył: — »Cóż? Czy przechodzicie?!«
Nie skończył, targnął się, jak pies w łańcuchu;
My nic; milczałyśmy i rosły w duchu.
Wtenczas on uczył, że przed nami pada
I my się czuły mocniejsze od niego.
Widzę go teraz: skry mu z oczu biega,
Jak gdybyś widział gdzie żebraka dziada,
Który się na psy szczekające gniewa
I trzęsie, klaszcząc, jak kościotrup z drzewa.
»Ja was — zakrzyknął — w powrozy, w łańcuchy!
Wy buntownice, suki, polskie duchy!«
Wywierał na nas wszystko i wymiotął,
Zębami szczekał, kośćmi klekotał —
My nic. — On wtenczas porwał krzyż, zdruzgotał
I wybiegł — drzwiami trzasnął — ze krwią plunął

Rozkaz Moskalom, stojącym na dworze,
A echo od drzwi poszło po klasztorze,
Jak gdyby piorun za biskupem runął.

A my po sobie tylkośmy spojrzały,
Oczami mówiąc, że to wąż-lewiatan ¹⁾,
Żeśmy szatana zezorczyzmowały,
Że to nie pop był, ale wiatr i szatan.
A wtenczas tylko już nam bez oporu
Przed żołnierzami przyszło wyjść z klasztoru.

Nie wiesz boleści, gdy rzucać przychodzi
Dom, gdzie nas Chrystus matkom z rąk odbierze
I duchem swoim, jak matka, odrodzi,
A potem jako swe jagnięta strzeże;
Nie wiesz, jak w domu takim pachną ściany,
Kwiatki się błyszczą, śpiewają organy...

Zebrałyśmy się: naprzód jedna z krzyżem,
Z Chrystusem, za nią my wszystkie strapione,
A na ostatku, tknięta paraliżem,
Staruszka — dobra, prosta; ta zdziwione
Oczy na wszystkie strony obracała,
Sucha, niesiona prawie, jak trup, biała,
Błyszcząca tylko w oczach, święta w duchu,
Ale bez władzy rąk i nóg i słuchu.
Jam tylko siostry zaklinała wzrokiem:
»Na miłość Boga, twarzami do mura,
Ażeby tego nie zabić praszczura
Naszemi łzami i naszym widokiem!« —

¹⁾ Lewiatan, potwór mityczny w postaci węża lub olbrzymiej ryby, symbol walczącego z Kościołem szatana.

Siostry też były dobre i rozumne;
Jedna szepnęła: — »Gdzieś wstąpić po kweście
I zostawimy ją u ludzi w mieście,
Albo do bramy gdzie rzucim, jak w trumnę;
Przyjmą staruszkę — chleba wszędzie dają —
Przytulą biedną, złudzą, oszukają,
Rzekną, że po nią powrócimy — a ona
Tak gdzieś zagaśnie, jak lampa strawiona«.

.
. Ja też tak myślałam —
A jednak — nagle patrzę na tę starą —
Ona coś szepce i żrenicą szarą
Pyta mnie srogo. — Nie odpowiedziałam —
Spuściłam oczy. — Klękłyśmy; ostrożna,
Kazałam cicho śpiewać »Ave, stellae«...¹⁾
Buchnął płacz — wstrzymać łez było nie można —
Płacz tak szarpiący, jak piekło. W kościele
Jęków, łkania i modłów taka zawierucha,
Że usłyszała nawet ta biedna i głucha!
Wtenczas mniszeczki obie chwyciła za szyje,
Zgięła, nóg wydobyła z siebie, wzniosła kije
I, wywijając tymi kijami nad czołem,
Jakby rycerzem była, jakby archaniołem,
Chciała bronić. — Pobieglam — zćmiło mi się
[w oczach —
Upadłam przed nią — zda się — cięta po warkoczach
Niby w gradzie pocisków — przerażona, drżąca,
Te białe kije trupa w tym gradzie widząca.
Chcąc te paralityczne pohamować złości,

¹⁾ Właściwie: »ave stella«, witaj gwiazdo, początek znanej pieśni kościelnej.

Chwyciłam za kolana: nogi jej — dwie kości;
Spojrzałam w górę: trup był z papieru wybladły —
Rozkrzyżowała ręce, kije z rąk wypadły —
Już jej nie było — życia ani w jednym włosku...
Spuściła ręce — na mnie upadła, jak z wosku,
I głową się na głowie mojej biednej wsparła;
Wzięłam na ręce — trup był ledziutki — umarła!
Oddałam Bogu...«

— Rzekłem: »O matrono,
Która tak straszne opowiadasz zgony,
Jakie ty harfy, jakie ty masz tony?!
Kto cię Dantejską nakrywa koroną?
Odsłoń przede mną chociaż do połowy
Tajemnic twoich — niechaj je zobaczę!
Czy ty, duch jaki stary, czy duch nowy,
Przyszłaś, jak Mojżesz, prowadzić tułacze?«

A ona: »We mnie sama Matka płacze...
Nic ja nie jestem, o, nic ja nie jestem!...
Ale posłuchaj, co się dalej działo!
Wyszliśmy z wielką i spokojną chwałą,
Z tym trupem matki, jakby z manifestem,
Strach rozsiewając, podobny do mrozów,
Pomiędzy ludem zgromadzonym w tłumie.
A tu ci wyznam i każdy zrozumie,
Że spodziewałam się jakich powozów,
Bo przecież, zbrojną otoczona rzeszą,
Nie pójdę z siostry we zbójcejką jamę;
Pierwszy raz okiem rzuciwszy za bramę,
Postrzegłam, że nas będą pędzić pieszo.

Słuchaj! — Ty nie wiesz, co w niewieścich duszach
Strach wstydu rodzi — brzęk bagnetów w uszach;

Nie wiesz, jak drgają wszystkie żyłki ciała,
Gdy jakie brudne słowo w uszy wpadnie.
Słuchaj — gdym pierwszy raz ja w kark dostała,
To zabrzęczały zęby tak szkaradnie,
To piekłem zemsty zawrzałam — kobieta,
Ja, Polka — pierwszy raz na rynku bita!...

To, mój kochanku, mówię tylko tobie,
Abyś nie myślał, że ja cała święta;
Ja także byłam i gniewem wzdrygnięta,
Nawet myślałam o zemsty sposobie.
Potem dopiero tak podniosłam duszę,
Że smakowały mi prawie katusze;
A Pan Bóg bronił mnie wielką prostotą
Przed kulakami, tak, jak zbroję złotą.

A jakie piękne było wonczas lato
I jakie piękne były łąki nasze!
Pomnę — na promie, pomimo pałasze,
Bagnety, zgraję kozaków brodatą,
Uczułam wielką i piękną pogodę,
Patrząc na lasy, na błękitną wodę,
I, przypomniawszy sobie czasy w domu
Ciche, wpatrzyłam się głęboko z promu
W płynącą wodę — a wzrok, widać, chciwy,
Wydał się ludziom głęboko szczęśliwy,
Bo zaraz biskup, spojrzawszy w me oczy,
Krzyknął na dońca: — »Dzierży! ¹⁾ W wodę skoczy!«
A doniec się też dotknął mego włosa,
A biskup patrzył — kat w podłej postawie! —

¹⁾ Dzierży (ros.) = trzymaj.

Rzekłam do księdza już z litością prawie:
»W wodę? — Czy myślisz, że to są niebiosy?...«

To rzekłszy, oczy znów swoje zakryła.
A ja: — »O matko! Jak mi twoja miła
Powieść, gdy z trwogi do płaczu sprowadza,
O, jakie myśli z niej słodkie się rodzą!
Więc, gdyby niebo — to tybyś skoczyła?
Więc, gdyby jaka ci niebieska władza
Rzekła: »O matko — patrz, obłoki schodzą,
Wstępuj do światła poza ziemskie ciemnie...«
— Podjęła głowę, wzrok wraziła we mnie,
Usta uśmiechem rozkładając, rzekła:
»Widzisz — do nieba jeszcze nie uciekła,
A Witebsk blisko był tej strasznej bramy,
Przez którą wskoczyć mogą męczennice...
Tam nas Moskiewki, okropne czernice¹⁾,
Wtrąciły wszystkie do wilgotnej jamy,
A klasztor cały był ciemny, pijacki,
Głuchy i ciężki; wszędy smród żołdacki,
Łoju i skóry i prostej gorzalki
I wstrętu, który czynią zgniłe grochy —
A często kobiet bitych słyszeć szlochy
I świst węzowy smagającej pałki
I pocałunków na katowskiej ręce
Klask — i ćwiczonych skomlenie bydłące.
O, czarne, ruskie klasztory — straszliwe!
Piekło, powiadam tobie, piekło żywe!...

Teraz-że pomyśl, co my w takim brudzie
Musiały cierpieć — i westchnij do Boga!

¹⁾ Rosyjska nazwa zakonnic.

Westchnij — bo ileż to cierpią tu ludzie,
Nim na grób przyjdzie zmordowana noga!
Lecz to dziwniejsza, że takie są miedzie
W sercu tu ludzkim ludzkich męczycieli!
Wiesz, jak dawali nam bez wody śledzie —
Wiesz, jak pokarmu zwykłego ujęli,
Jak obrócono ręce do mularki,
A grzbiety nasze pod kamień i chłostę...¹⁾
To wszystko były męki bardzo proste,
Lekkie... Po ciele szły czasami ciarki,
A czasem głodem krzyczały aż brzuchy,
Lecz duch nie cierpiał — owszem, rosły duchy
I potężniały znoju i głodu żniwiarki.
I raz, gdy z lochu po miesięcznym głodzie
Wyszłyśmy nagle na słońce odkryte,
Tośmy krzyknęły; twarze były zmyte
Jakby w słonecznej i różanej wodzie;
Lubośmy żyły w lochu prawie gliną,
Rozpoił nas duch boży — tak, jak wino.

Wtenczas nie wiedział już biskup, co pocnie,
A chciał koniecznie przełamać kobiety;
W rękach miał dzidy, a w oczach sztylety,
A w serca patrzył; zmiany chciał niezwłocznie.
Gdyby choć pozór, że z nas mniszka która
Weszła do cerkwi — obrazom się kłania!...
Żadna! — Dwie, biedne, spadły z rusztowania,
A jedną kamień, urwany ze sznura,
Z oczu nam prawie, jak widmo promienne,
Zdjął... lecąc, jako młyn okropny, z góry —

¹⁾ Przy budowie pałacu dla Siemaszki.

I tylko krwawe, purpurowe sznury,
Plamiące długo białości wapienne,
Aż od samego, samego poddasza,
Aż do samego dołu ciekąc strugą,
Przypominały nam długo i długo,
Że tak zabita jedna siostra nasza!
A jednak mimo to, że tak szkaradna
Śmierć była, takie nagrobki straszliwe —
Wszystkieśmy były do końca cierpliwe;
Bóg dał, nie przeszła z nas żadna a żadna.

Wtenczas już biskup, nawet nieco trwożny,
(Bo się rozniosło, bo już Witebszczanie,
Już jakieś ruskie powiedziały panie,
Że to nie klasztor, ale dom katorżny) ¹⁾
Wtenczas już, mówię, biskupisko stare
Byłby dał krzyże już i gwiazdne znaki ²⁾,
Byleby tylko chwycić pozór jaki,
Żeśmy ugięły przed nim naszą wiarę.
Więc raz znienacka do cerkwi nas wiodą
Głodne, trzęsące się od zimna, trwożne;
Zaraz-em czoło biskupa bezbożne
Ujrzała — topór ujrzałam pod kłodą...
O, na Chrystusa, co nam winy zmazał! —
Sądzę, że topór mi Pan Bóg pokazał,
Bom nic nie rzekła — a nad rozkaz słowny
Mniszkom znak dałam w tak jasnym wyrazach,
Że żaden biskup, choćby jak duchowny,
Nie zrozumiałby. — W takich zwykle razach

¹⁾ = więzienie.

²⁾ = order.

Mniszeczki wszystkie czynią, co ja czynię,
Mówią, co mówię, wchodzą, gdzie ja wchodzę.
Teraz, jak gąski, stanęły na drodze —
Ja byłam woli całej monarchinią,
Pasterką owiec, a w chwili szkaradnej,
Kiedy uczułam w sobie taką władzę,
Rzekłam, jak Chrystus, że nie stracę żadnej,
A wszystkie razem w niebo zaprowadzę.
Rzekłam — i nagle, porwawszy siekiery,
Ku biskupowi poszłam: — »Weź, Herodzie,
Weź, popie — ścinaj łby i rzucaj w dwiery!« ¹⁾
A do mniszerek: — »Kładźcie się na kłodzie!«
Ledwie wyrzekła, wszystkie buch na ziemię,
Każda na belce głowę, ku mnie oczy...
Myślałam wtenczas, że piorun wyskoczy
Z oczu biskupa, lub jakie złe plemię
Czartów ognistych, krwawych nietoperzy
Z pod brwi wyleci i na mnie uderzy.
Porwał żelazo — rękę wznosił — skamienił —
I tak zacisnął, że złodowaciała,
Zielona, jak trup — a sam się zapienił
I tym toporem mi tu, koło kłęba,
Cisnął i nogi — patrz — skroił kawała,
A potem w twarz mi dał i wybił zęba.
Ja tylko na to, nie zmieniawszy cery,
Choć z dwóch ran już krwią purpurową ciekłam,
Ząb mu podałam wybity i rzekłam:
»Zawieś to między twe wszystkie ordery!«
Ty może myślisz, że to duma świecka,
Mnie nieprzystojna? — Na to niema zgody.

¹⁾ = drzwi.

Pomysł: ja, Polka, ja, córka szlachecka!
We mnie gadały dawne moje rody,
W usta mi dziwne odpowiedzi kładły.
Ciało z nich było — a i od nich siła;
Walczyły za mnie, ja za nich walczyła;
Gdybym upadła, byłyby upadły.
Widzisz — potrzebne było nasze męstwo!
Widzisz, że przy nas zostało zwycięstwo.
Co? —

Drżałem cały — i z dalszego wątku
Powieści, ledwo mogłem, pomieszany,
Spamiętać tylko jakieś straszne rany,
Które poniosły w brudzie niewiniątka...
We mgle rzucone duchy bez ojczyzny
Pomiędzy spite żołdactwo i diaki —
Wrzask, jęk i krwawe w powietrzu bielizny,
Jako sztandary i skrwawione ptaki;
A dół, nietknięty nawet już pamięcią,
Kędy świeciły, jak gwiazdy różane,
Te głowy, z których twarze pozrywane,
Wybite pięści biskupiej pieczęcią,
Butem żołnierskim przypieczętowane...

Co mówię? — Głowy te — listy otwarte —
Mózgiem mówiły przez pieczęci zdarte;
Oczy, gdzieś w błocie świecące i słomie,
Ze krwi wystają, niby niezabudki —
A ciała — ciała, jak bez kształtu kłódki,
Tarzały sobą jęczące po domie:
Na widowisko tak strasznie zwierzące
Wejrz, Chryste Panie, i rozkrzyżuj ręce!

A wy, o smętnych pamiątek anioły,
Mówcie wy ciągle nad ludzi łóżami
Sennych to słowo okropne: »Dziedzioly!«
Tę wioskę mroźną, osłoniętą mgłami,
Gdzieś pod sosnowym śnieżącą się borem,
Z jedyną cerkwią ruską, jak z upiorem,
Z troistą wieżą, ciągle owronioną,
W prochach zorzanych błyszczącą, czerwoną...
Ciągle to ludziom przed oczy przynosić,
Ciągle stawiajcie przed żrenice obie:
Niech czują w duchu te wieczne nudności,
Które ma człowiek niespokojny w sobie!

— »W Dziedziolach — rzekła Pańska męczennica —
Już nie byliśmy z sobą wszystkie razem;
Wiele nas padło pod biczem i płazem,
Dziesięć zostało bez ludzkiego lica —
A upiorami wszystkie tak strasznymi
Były i kości tak miały popsute,
Że biskup nawet już sam za pokutę
Nie byłby żadnej pokazał na ziemi.
Te zostawiono w Witebsku, a drugie
Dziesięć w Połocku — a z tego już miasta
Ja szłam z dwunastu siostrami, trzynasta,
Pod jesień, wichur, śniegi, nocy długie —
I stanęłyśmy w Dziedziolach¹⁾, w klasztorze,
Znowu u czernic, lecz obmurowane;
Gdyby nie zimne kopuły blaszane —
Turma, nie klasztor.

¹⁾ Miejscowość ta nazywa się właściwie: Miedzioly.

Przy ogromnym borze
Stał, lecz w dziczyźnie takiej zbudowany,
Przy takiej wiosce i na takim polu,
Że strach był może mocniejszy od bólu...
Noc w noc rozboje; żydy, markietany;
Czasem na jutrznię dzwonią — ciemno w szybach,
Zimno w celicach, ołów tylko brzęczy,
Jak wóz z szynami, gdy idzie po skibach;
Słuchasz — a tam gdzieś na polach ktoś jęczy,
I, nim umilkną rozżalone dzwony,
Staje ci w myśli, że tam trup czerwony.

Raz na tych smętnych dziedzińcach klasztoru
W poranek szary, pomnę, rąbię drzewo,
A tu na prawo jęk i brzęk na lewo,
Jakby dwa głosy, obadwa do wtóru.
Słucham i patrzę. Otwierają bramę —
Patrzę, kto wejdzie. O, polski mój Chryste! —
Mniszeczki wchodzą, jak my, takie same,
Mrozem i wiatrem prawie przeźroczyste.
Podarte na nich płaszcze i trzewiczki,
Nogi skrwawione przez mróz i przez grudę,
A twarze takie chude — takie chude...
A oczy — jakby na opłatkach świeczki.

I znów, ostatnich niby wołokitów ¹⁾,
Wpędzono drugą bramą pięć straszydeł;
Ci weszli, jako puszczyki bez skrzydeł,
W łachmanach. — Było to pięciu unitów,
Biedniejszych od nas. — Jeszcze jakaś święta
Jasność kosteczek naszych się trzymała;

¹⁾ = włóczęga.

Ale ci ludzie... Skóra im zczerniała,
A twarze mieli takie, jak zwierzęta,
Już jakby Pańskiej męczarni niegodne
I przemienione przez bezczestne męki;
Nos wkłęsł, a naprzód im wybiegły szczęki,
Jak gdyby kasać chciały, jakby głodne...
Każdy miał taką czaszeczkę łakomą,
Dziób taki na żer, w oczach takie skrzynie,
Żem pomyślała, jako po łacinie
Mój ojciec w czaszce ludzkiej czytał: *Homo...*« ¹⁾

Tu pokazała mi na nos i wzroki,
Jak człowiek, który gestem powieść krasi,
A ja spostrzegłem w oczach dół głęboki,
W złomach jej twarzy wyraz jakiś ptasi...
Wstrząsłem się cały, zadziwienia krzykiem
Świadcząc, że dobrym byłem łacinnikiem.
— »Te próby, rzekła, wściekłego biskupa,
I różne męki, przezeń wymyślone,
Zniósłszy, byliśmy nareszcie pławione...«
— »Matko! — krzyknąłem. — Jako czarownice?«
A ona: — »Dziw się katów wymyślowi!
Był staw, jezioro, puste okolice,
Jakby przystojne męczeństwa duchowi —
Nad brzegiem jego wierzby, jak upiory.
Tam nas, bywało, zaszywają w wory
I, tak zaszyte, obwiązują liną,
A potem diaczki w łodziach, wprzód posłani,
Płyną i płyną, daleko, daleko —
I na tych linach wleką nas i wleką,

¹⁾ = człowiek.

A popy krzyczą: »Pastoj!« albo: »Tiahni!« ¹⁾
Słyszę dziś jeszcze tę straszną komendę,
Słyszę, jak we mgłach smętnie się rozlega;
Lud się, bywało, ponad brzegi zbiega,
A my, jaskółki, pobrane na wędę,
W tej czarnej wodzie po pas, to po brodę...
Cóż robić? — Boską całujemy wodę
I milczym...

Dobrze to, kochanku, pływać,
Lecz strasznie, gdy cię w toń linami wloką.
Otóż tam, słuchaj, już mi się na oko
Anieli Pańscy jęli pokazywać —
A nie myśl, żeby widma jakie złote,
Albo zjawienia, lub gwiazdy i róże;
Nie — Pańscy jacyś posłańce i stróże,
Przysłani na tę okropną robotę —
Jacyś anieli, mówię, w ludzkich ciałach,
Co przez litosne patrzali się oczy.
Wśród tłumu zjawił się nam na uboczu
Szlachcic — ubrany w szarych samodziłach,
Ekonom niby; — ale ja ci ręczę,
Ja tobie ręczę, synu, że ten człowiek,
Kiedy chce, strzela piorunami z powiek,
A z ramion, kiedy chce, rozwija tęczę.
Stał zawsze cichy i patrzył na popy,
Na nas — a wszystko poważnie uważał,
A mnie cichością swoją tak przerażał,
Że dziś go widzę — słyszę jego stopy.
Na milczącego więc kiedy wzrok rzuć,

¹⁾ »Stój« albo: »ciągnij«.

To on w bok spojrzy, albo brwi podniesie,
Drogę mi niby pokazuje w lesie,
Oczyrna mówi: »Żyj, bo ja powrócę!«
O, ten to człowiek jeszcze dotąd widzi —
A to, co widział, pewnie Bogu powie!

Raz się już zbiegli z miasta nawet żydzi,
Żydówki, ludu wszelakiego mrowie,
Bo się rozniosło, że my, bardzo głodne,
Już od trzech godzin mokniemy w stawisku,
W gliniastych mułach i w traw węzowisku
Grzęznąć, zielone, jak grynszpany, chłodne.
A krzyki »Pastoj!« na tych, co na łodzi —
A krzyki na nas: »Która z was przechodzi?«
I znowu krzyki na łódkarzy: »Tiahni!« —
A sznur się prężył i naszemi głowy
Pluskał po wodzie... Do swego Jehowy
Wrzasnęli tedy wielkim głosem żydzi,
Mysłąc: usłyszysz, jeżeli nie widzi!
Dobre żydziska, dobre żydowice
Lamentowały: »Aj waj!« — bijąc w łono;
»Nu — one głodne, pomarzną, potoną —
Nu — a gdzie Pan Bóg — a gdzie błyskawice?
Czemu nie biją?...« Słuchaj! Gdy, bywało,
Te żydy lament okropny zawiodą,
To serce moje, ot, tak aż skakało,
O, tak skakało me serce pod wodą!
Bo ci powiadam, że są jakieś czary
Dziwne w modlitwach nawet obcej wiary;
Chwyta cię obca, jak matczyna, ręka —
Łzy w oczach stają i coś w sercu pęka...
Biedne żydziska!...

Raz taki był lament

I taka niby muzyka wspaniała —
Ja z wody, zda się, że święty sakrament
Widzę na niebie: takem rozjaśniała!
Wtem woda pluska nagle i zalała
Jednę mniszeczkę... Powiadam ci — smoki
Te, sznury czarta, biły wód zwierciadło,
I jedno moje dziecko o dwa kroki
Jedno maleńkie dziecko mi przepadło!
Krzyknęłam — i mróz przeszedł mi przez kości.
W takiej to wszystko stało się cichości —
Nikt nie obaczył; a choćby widziano,
Niktby nie skoczył z ratunkiem pod wodą;
Żywoć tam ludzki tyle szacowano,
Że my już nawet nie byliśmy trzodą;
Czy które pomrą, czy które utoną,
Nikt nie dbał — głów już naszych nie liczono.

Wyznam ci teraz, że mnie po tym zgonie
Strach wziął i zgroza dla ludzkich bezwstydów;
Wokoło czarne, ołowiane tonie,
Tam gdzieś pisk popów — a tam gdzieś wrzask ży-
[dów;

A tu pode mną trup — nie wyszła dusza!
Może się jeszcze gdzieś pod wodą rusza,
Może swe oczki we krwi jasnej kąpie —
A mnie tu ciągną dalej za obróżę...
Co krok, to może na biedną nastąpię,
Może nastąpię; oczy tylko zmrużę,
A ona gdzieś mnie, ach — za nogi trąca,
Zimna... jak z wosku, biała — i świecąca...
O, strach! A tutaj ciągle prężą sznury —

Ciągle nas wloką w głąb i krzyczą: »Tiahni!«
Już tylko nasze na wodzie kaptury,
Jak stado kaczek — już noc na otchłani,
Już jakieś dziwne, czerwone chmurzyska
Nadchodzą na tę mękę, tak okrutną —
A tak mi zimno, głodno — a tak smutno,
Że, ot, już chciałam pożreć te sznurzyska
Tam i, na poły niemi zadławiona,
Buchnąć w tę wodę — przepaść, jak zginiona...
W oczach już moich niebo nie świeciło,
Żadnego blasku, leż żadnych nie było;
Już ogłupiałam: myślę tylko o tem,
Jakby się zalać wodą, najeść błotem,
Bo taka głodna byłam, tak pożałał
Mój głód chociażby maleńkiej okrucy,
Że mi aż z oczu ognisty wyglądał;
Tak się łamały we wnętrzościach duchy,
Jak ci czartowie, węże z krwawą twarzą,
Które pod krzyżem z ciał ludzkich wylażą...
Wtenczas już widok okolicy dzikiej,
Naszej męczarni, błotnisk, pławby, popów,
Poruszył nawet i żydów i chłopów:
Powstały głośnie przekleństwa i krzyki,
I raz żydówka jakaś na brzeg bieży,
Obwarzankami złotemi świecąca,
Jak matka, wpada, rozrywa żołnierzy
I karabiny w koziołkach roztrąca —
Deszcz poszedł srebrny, pył, jak z kopca śniegu,
Z tych karabinów rozbitych — a ona
Już, już nad nami, już na samym brzegu,
Obwarzankami złota i czerwona,
Podniosła ręce — i tak, jak żniwiarka,

Tych obwarzanków nakryła mię snopem...
Ja wtenczas, jako Noe nad potopem,
Kiedy pod tęczę już wchodziła arka,
Podjęta szczerą tej kobiety troską
I zachwycona jej myślą matczyną,
Ujrzałam, mówię tobie, Matkę Boską,
Jakby nad całą już polską krainą!
I z wód podniosłam ku niej moje dłonie,
Krzycząc: »O, Polskę moję całą ratuj, złota!«
I do niej wzniosłam dłonie, jak sierota,
W tych obwarzankach, jak w złotej koronie.

Odtąd nie śmieli już więcej biskupy
Otwarcie czynić z nami takiej hecy,
Ale w klasztorze, jak na dnie fortecy,
Dręczyli żywe i chowali trupy.
Ku mnie zaś siła przystąpiła boża
I odpędzała ode mnie te katy;
Możem ześwięta tą koroną zboża,
Może przez moje bolesne stygmaty ¹⁾),
Nie wiem — lecz pop już uciekał przede mną,
A, uciekając, sztyletował wzrokiem.
Bywało, kiedy w korytarzach ciemno,
To mój krok bywa najgłośniejszym krokiem,
A chody popów, jak węzów szelesty —
Tu i tam ślepie migocą i chresty.

Nareszcie dolne nam oddano cele
I tam już, same, w głodzie zostawiono.
Dwa garnce grochu, bywało, ja dzielę —
Wawrzecka sagan stawia i groch warzy.

¹⁾ = znaki, pozostałe po ranach, blizny.

A, mój braciszku, nie tłusto i słono
Jadłyśmy... ale było nam do twarzy,
Bośmy utyli na suchej grochówce
I były silne, jak aniołów hufce...

I zaraz wszczęły się jakieś narady,
Co czynić — czego próbować?...

.
Na tem stanęło, że my trzy, najzdrowsze,
W poselstwo wielkie pójdziemy do świata:
Niektóre chciały czekać wiosny, lata,
Lecz my, na wiatry duchy najsurowsze,
Jak stare Polki, zaraz ruchu chciwe,
Pozapalane w ogniach, niecierpliwe,
Ciągle, bywało, kręcim z koszul sznury,
Ciągle gadamy: jak, co, gdzie i kiedy?
Wtem raz mnie jeszcze Bóg w popów pazury
Dał i wybawił, jak owieczkę z biedy.

Pod wieczór idę po wodę z saganem,
A, prawdę mówiąc, to wyszłam na zwiady.
Patrzę — przy pompie sam biskup z polanem,
Choć grozą jasny, lecz, jak papier, blady.
Przy nim popiska: krwią po rękach ciekną,
Kije czerwone — znać, że kogoś bili —
Kręcą się, szemrzą, czasem sobie szczekną,
Chodzą, jak gdyby głowy potracili.
Zbliżam się cicho — aż widzę unitów
Księży — pod pompą, z krwią jeszcze na brodzie.
Nadzy — już leżą, jak trupy, na lodzie,
Czarniejsi od tych lodowych błękitów!
Patrzę, co — a im woda na lby ciecze —

I marznie — że tak poranione głowy,
Jakby zamknięte w puhar kryształowy,
Skrzą się — a brody twardnieją, jak miecze...
A nie słyszałam jęku, ani krzyków,
Tylko te ruchy straszne spazmatyków...
A Bóg uczynił z nich okropną zjawę,
Że stali, jako wielkie trupy — złote —
I poplamione sińcami — i krwawe —
Niby przysłani na ciemne podwórze
Jacy okropni aniołowie-stróże...
Daruj — lecz, widząc te święte osoby,
Rzekłam: »Czy to wy, o biedacy głodni,
Coście w tak skrzące powchodzili groby,
Że mi jesteście tu nakształt pochodni?
Mówcie! Ja wasze poniosę żaloby
Na świat — jasności, złotych trumien godni!
Bóg też wspominał na pokorną cnotę
I oto wam dał takie trumny złote«.

Tak ich żegnałam — a postanowiłam
Mniszeczek moich nie jątrzyć boleścią,
Ale aż na świat pójść z taką powieścią,
Aby świat wiedział, skąd idę, gdzie byłam,
Jaka swawola w popach wyuzdana,
I jak katują wierne służki Pana.

Wreszcie nadeszła ta noc pożądana,
Że cała ciżba popów, czernic, pjana
Padła, snem ciężkim zdjęta, jak ołowiem.
Wszyscy morderce! Toż jednakże powiem,
Że jedna z czernic dobre serce miała:
Często ukradkiem do się zawołała,

A dała grochu, soli albo kłosów...
Patrzaj — mam jeszcze od niej krzyżyk włosów.
Ta jedna, sądzę, przeniknęła skrycie,
Że nam obmierzło już w niewoli życie,
Że już, ot, wolność nam w naradach wschodzi —
A nie wydała... — Niech jej Bóg nagrodził!

Otóż wylazłszy po drzewach na mury,
Prędko skoczyłyśmy aż na dół z góry.
Wiatry nosiły nas — i zwolna kładły,
Bośmy z trzeciego aż piętra upadły.
I zaraz, jako ptaki przestraszone,
Śnieg otrzepawszy z odzieży, jak pierze,
Każda-śmy poszły szybko w inną stronę,
Myśląc, że gonią popy i żołnierze.
Nic nie pamiętam, czy skrzypnęła brama,
Czy też duch jaki pędził strachu dłonią —
Ale sądziłam, że mię wiatry gonią,
I już dwie mile, jak wiatr, biegłam sama.
Tu się zaczęła nowa dla mnie męka.
Gdzie iść? — Nie znałam ni drogi, ni strony,
Przez trzy dni w lasach jadłam tylko szrony,
Dziwiąc się, biedna, że ptaszków piosenka
Tak tam wesoło w lesie dzionek wita,
Ja, mędrsza bardzo od ptaszków, kobieta,
A taka smętna...

Weszłam nareszcie raz do jednej chaty,
Gdzie nakarmiła mnie dobra niewiasta
I, obaczywszy na mnie siwe szaty,
Spytała: »Pewnie na odpust do miasta,
Matko?« — Ja skłamać nie śmiałam wyraźnie,

Bojąc się wtenczas bardzo Pana Boga;
Co tu rzecz? Smutek objął mnie i trwoga.
Ona mówiła do mnie tak przyjaźnie,
Pocałowała mnie, jak matkę, w ramię,
W imię przyjęła boże — a ja skłamię?
Wszakże już w myśli pełna tego dymu,
Który ćmi oczy, gdy duch w nocy wzrasta,
Wspomniałam sobie, że idę do Rzymu,
I rzekłam: »Idę na odpust do miasta« —
A Bóg mi zaraz wynagrodził trwogę,
Bo ta kobieta rzekła: »To nie blisko!«
I zaraz miasta dała mi nazwisko
I powiedziała jak najbliższą drogę.
Wszystko dar boży...

Potem o trzy mile
W lesie idącą spotykam kobietę.
Ta się tak do mnie uśmiechnęła mile,
Że w tym uśmiechu serce, jak odkryte,
Serce na dłoni. Z tą ja w rozmowę —
A ona: »Wiesz ty, co słyszać w Dziedziolach?
W strachu są wielkiem podleśne klasztory —
Popy biegają tu po wszystkich siołach
I rozsyłają po drogach opryszki
Łowić ubiegłe trzy Polaczki mniszki«.
To słysząc, z twarzą już bólem cierpliwą,
Rzekłam: »A czy już którą ułowiono?«
A ona: »Pędząc żołnierze tą stroną,
Znaleźli przy mnie jedną, lecz nieżywą.
Mówią, że sama najstarsza u ścieku
Jednej rzeczulki leżała wśród mostu,

Z twarzy do ciebie podobna i wzrostu.
Właśnie, gdy dońce stali przerażeni,
Nadbiegła w pogoń biskupa kolaska.
Wysiadł i krzyknął, że to sama ksieni,
Sama klasztoru ksieni, Mieczysławska,
I kazał ścierwo rzucić do strumieni.
Proszczaj!« ¹⁾ — I ścieżką poszła w głąb pustoży. —
Za odchodzącą patrząc w sosen cienie,
Rzekłam: »To boskie było ostrzeżenie!

To anioł boży!«

A ten trup zaraz mi zastąpił w głowie,
Bo pomyślałam, że się on nie rodził,
Lecz go rzucili z nieba aniołowie,
Że Bóg im drogę, goniącym, zagroził.
Odtąd już śmielsza szłam aż do granicy,
A jeszcze Bóg mnie raz tylko spróbował:
Taki mróz spuścił, że aż ze żrenicy
Krew szła. Gdzie spojrzę, lasy — drwa na pował,
Ale zapalić niema czem ogniska.
Skostniałam — chleba nie miałam okruchy...
Wtem patrzę — jakieś przy lesie pastuchy
I niespędzone owieczki z pastwiska.
Wolałam ludzi uniknąć tą razą,
A u tych owiec rozgrzać moje ciało.
Jakoż się mnóstwo matek nazbiegało,
I na me nogi, zimne, jak żelazo,
Kładły swe ciepłe łona, swe kożuchy,
Tak, że ja tymi niewinnymi duchy
Byłam ogrzana od nóg aż do twarzy
I uzdrowiona jakby przez lekarzy«.

¹⁾ Rosyjska formuła pożegnania = żegnaj.

I tu umilkła — w górę tak patrząca,
Żem ujrzał srebro białego miesiąca
I tę zalaną radosnemi łzami,
Wpatrzoną w miesiąc — między owieczkami.
O, cudnie polski otwiera nagrobek
Ten nowy Pańskiej męczennicy żłobek!

— »To wszystko... Teraz tu, biedaczki moje,
Oto widzicie, jestem z wami, stoję,
Gotowa, chociaż jeszcze trochę chora —
Gotowa, mówię, iść napowrót w drogę...
Tylko się spieszcie, dziatki — bo dziś pora,
Dziś... Więcej mówić wam teraz nie mogę!

To jest historia cała mojej męki
I całej mojej tej biednej podróży.
Widzisz: kto Panu swemu wiernie służy,
Ten się dobywa cały z katów ręki.
Tu jestem z wami — lecz ci wyznam szczerze,
Że chciałabym się już dostać do Rzymu;
Tu wszyscy dobrzy, mam kadzidel, dymu,
Ale nie dzwoni serce, gdzie uderzę.
Przychodzą jacyś — jakby dziś z puchówek
Powylazili — warzeni w dekokcie — ¹⁾
Patrzą, trefionych przekrzywiają główkę,
Wzdychają w niebo i czyszczą paznokcie.
Słuchaj — ja prosta jestem, poraniona...
O, gdyby tu też gdzie jaka serdeczna,
Z doktorem swoim poważna matrona,
Z dziećmi... Ja dzieci lubię, jestem grzeczna...

¹⁾ Wywar z ziół.

Nie; wczoraj jakaś słodka, jak patoka,
Z migreną w głowie, z bólem w każdym członku,
Hrabina tak tu spojrzała z wysoka,
Jak gdyby miała sakrament w pierścionku.
Ona tam może bardzo Bogu miła —
Lecz szczebiotała o świętych, jak sroka,
A oczki żółte, jak prążki, mrużyła.
Wstałam — choć jeszcze na tę nogę chora,
A ona mi co? — Po francusku gada
I prezentuje swego konfesora ¹⁾,
Młokosa, mówiąc, że dobrze spowiada...
Ot, drugi raz mnie weź, w łańcuchy okuj,
A z temi tutaj ludźmi daj mi pokój!
Ja chcę do Rzymu...«

Rzekłem: »O, mistrzyni
Bolesnych tonów, czarownego rymu!...«
— Zakryłem oczy... »Matko, jedź do Rzymu,
Jedź! Twoje słowo może Rzym uczyni...
Lecz teraz ujrzysz na świętej fortecy
Wyżej złożonych tyarą krużganków
Błyszczące widma — by świętych młodzianków —
Pozastrzelane nikczemnie... przez plecy.
Ujrzysz ohydną wszędy cześć bałwanów,
Ujrzysz męczeństwo straszne ducha światów...
Może się spotkasz z ojcem twoich katów
I dasz mu pierwszy krok — do Watykanów!...
A, jeśli krwawej nie ustrzeżesz duszy,
A dasz ją, jako воск, w tych ludzi ręce —
Królową ducha nam wyszłaś po męce,
Umarłą wyjdiesz po tamtej katuszy!...

¹⁾ = spowiednika.

Albo, jeżeli cię znowu gorąca
Dusza, jak matkę, porwie z tej mogiły —
To się uczujesz bez łez i bez siły!
Jeżeli święta — to już chyba klnąca...
Żegnaj!«

A ona, swe oblicze blade
Wyszkliwszy na mnie: »I gdzież ja pojedę?!«
A ten krzyk taką był wielką rozpaczą,
Że przy nim jednym — tamte tylko **placzą**.

BENIOWSKI.

PIEŚŃ I.

Za panowania króla Stanisława
Mieszkał ubogi szlachcic na Podolu;
Wysoko potem go wyniosła sława.
Szczęścia miał mało w życiu, więcej bólu,
Albowiem była to epoka krwawa,
I kraj był cały na rumaku, w polu —
Łany, ogrody leżały odłogiem,
Zaraza stała u domu za progiem.

Maurycy Kaźmierz Zbigniew miał z ochrzcenia
Imiona; rodne nazwisko: Beniowski ¹⁾.

¹⁾ Maurycy August Beniowski (1741—1786), szlachcic węgierski, wychowany w Wiedniu, gdzie też rozpoczął karierę wojskową; przebywał kolejno na Litwie, gdzie odziedziczył znaczny majątek, na Węgrzech, w Holandyi i w Anglii. Brał udział w walkach Konfederacji Barskiej w randze pułkownika; w r. 1769, ranny, dostał się do niewoli rosyjskiej i wysłany został na Kamczatkę. Po licznych przygo-

Tajemniczą miał gwiazdę przeznaczenia,

Co go broniła, jako częstochowski
Szkaplerz, od dzumy, głodu, od płomienia

I od wszystkich plag — prócz śmierci i troski —
Bo w życiu swoim namartwił się bardzo,
A umarł, choć był z tych, co śmiercią gardzą.

Młodość miał bardzo piękną, niespokojną.

Ach, taką tylko młodość nazwać piękną,
Która zaburzy pierś, jeszcze niezbrojną,

Od której nerwy w człowieku nie zmiękną,
Ale się staną niby harfą strojną

I, bite pieśnią zapалу, nie pękną.
Przez całą młodość pan Beniowski bujnie
Za trzech ludzi czuł — a więc żył potrójnie.

Wioseczkę małą miał — ale dziedziczną,

Dwadzieścia miał lat — był u siebie **panem**,
Spraszał do domu szlachtę okoliczną...

Fortunka jego ciągle ciekła dzbanem.
Miał nadto proces i sprawę graniczną —

A prędzej sprawę wygrałby z szatanem,
Niż z ową psiarnią wtenczas palestrantów¹⁾;
Słowem, że przyszło do długów i fantów²⁾.

dach, umknąwszy na zdobytym przez siebie okręcie, dostał się do Francji. Otrzymał dowództwo wyprawy na Madagaskar, zdobył tę wyspę i ogłosił się jej królem. Zginął w walce z wojskami francuskimi w r. 1786. Pozostały po nim »Pamiętniki«, przełożone później na wszystkie niemal języki europejskie; polskie ich wydanie ukazało się po raz pierwszy w r. 1797.

¹⁾ Palestrant = prawnik, adwokat.

²⁾ Fantów = fantowania, zagrabienia.

Pozbył się naprzód klinów i futorów,
Potem i konie wyprzedał z uprzężą —
(Nie znano wtenczas jeszcze w Polsce szorów,
O które żony dziś mężów ciemiężą)
Pozbył się potem swoich białozorów,
Regentowi dał charty — w rękę księżą
Ostatnie grosze dwa za ojca duszę
I na ornaty dwa ojca kontusze.

Z tych majątkowych ostatnich konwulsyi
Nie zyskał, jedno wyrok przeciw sobie,
Wyrok, w którym rzecz była o ekspulsyi ¹⁾.
Mało o to dbał. — Tracąc na chudobie,
Dzisiaj są ludzie młodzi stokroć czulsi,
Lecz pan Beniowski rzekł: »Ja sam zarobię
Na drugą wioskę, et, si non mi nocet,
Fortuna ²⁾ — z wioską nabędę i proces.

I znowu mój syn będzie miał przyjemność
Z palestrą jadać i być Akteonem ³⁾,
I na przyjaciół wzdychać niewzajemność,
I stać, tak, jak ja, pod ciemnym jesionem,
Który mój ojciec sadził... O, nikczemność!...«
Tu pan Kazimierz jęknął harfy tonem
I na szumiący jesion łzawo spojrzał.
W tej chwili zyskał trochę — trochę dojrzał,

Trochę skorzystał w sobie, jako prawnik,
Trochę skorzystał, jak człowiek odarty,

¹⁾ Ekspulsya (łac.) = wygnanie.

²⁾ = jeżeli, losie, nie będziesz mi szkodził.

³⁾ Akteon, postać mitologiczna grecka, sławny myśliwy, którego bogini łowów, Artemis, zamieniła w jelenia.

Na którego sam pan sędzia, zastawnik

I regent — niby trzy godne lamparty
Lub jako muły, puszczone na trawnik,

Lub jak na duszę rozsierdzone czarty,
Wpadli, ogryźli — i na pocieszenie
Rzecz zostawili słodką: doświadczenie.

O doświadczenie! — Ty jesteś pancerzem

Dla piersi, w której serce nie uderza —
Jesteś latarnią nad morskiem wybrzeżem,

Do której człowiek w dzień pochmurny zmierza...

O doświadczenie! — Jesteś ciepłem pierzem

Dla samolubów; tyś gwiazdą rycerza,
Bawełną w uszach od ludzkiego jęku —
Dla mnie, wśród ciemnej nocy — świecą w ręku!

Lecz pan Beniowski liczył lat dwadzieścia,

O doświadczenie, jak o grosz złamany,
Nie dbał — wołałby mieć wioskę i teścia,
To jest, ślubem być dozgonnym związany

Z panną Anielą. — Tej sztuka niewieścia

Sprawiała, że był srodze zakochany:
Na gitarze grał i rym śpiewał włoski...
I wszystko dobrze szło — dopóki wioski

Nie stracił... Wtenczas, po włosku: addio!¹⁾

Po polsku: pisuj do mnie na Berdyczów.
Okropne słowa! Jeśli nie zabiją,

To serce schłoszczą tysiącami biczów!
Panna Aniela, dziewczę z białą szyją,
Była z rodziny dostatniej A...wiczów;

¹⁾ = do widzenia.

Kochała wiernie — wierność była w modzie —
Lecz ojciec — ten stał, jak mur, na przeszkodzie.

Mimo to jednak Aniela, jak róże,
Co nad wysoki mur liściem wybiegną
Patrzeć na słońce — (oczy miała duże,
Czarne) — jak róże, co się nad mur przegną,
I, mimo czujne ogrodowe stróże,
Zerwaniu chłopiąt i dziewcząt ulegną,
A potem gorzki los tych niewinności
Więdnać na włosach i sercach dziewczątek...

Aniela — mimo ojcowskie czuwanie
Widywała się ze swoim Zbigniewem.
Kronika milczy, czy to widywanie
Odbywało się pod jaworu drzewem ¹⁾,
W godzinę, kiedy słychać psów szczekanie,
Kiedy słowiki wywołują śpiewem
Księżyc z pod ziemi... — lecz pozwól asindziej,
Że się nie mogli widywać gdzieindziej,

Zwłaszcza o innej porze. Ojciec srogi,
Do tego wielki oryginał, splennik ²⁾,
Dyabeł wie, jakiej wiary: w rzymskie bogi
Wierzył — i wierzył w prorocтва i w sennik,
Chrystusa także krwią oblane nogi
Całował — zwał się cesarzów plemiennik...
Słowem — była to dziwna meskolancya ³⁾
Świętości, złota, folgi — jak monstrancya.

¹⁾ T. j. tak, jak w sławnej sielance Karpińskiego »Laura i Filon«.

²⁾ = człowiek znudzony życiem.

³⁾ = mieszanina.

To porównanie pojąłbyś od razu,
Gdybyś go widział w złocistym szlafroku,
Z łbem łysym, gdzie, jak z Rembrandta ¹⁾ obrazu,
Odstrzeliwało słońce, kiedy w mroku
Adamaszkowych purpur stał, jak z głazu,
Kłaniającym się ludziom na widoku,
I stał, jak martwy, niczem się nie wzruszył;
Lecz widać było, że żył — bo się puszył.

Zamek jego stał nad rzeczką Ladawą
Na skale — a pod skałą staw był wielki,
W tym stawie widać było twarz jaskrawą
Słońca i białe łabędzie Anielki —
Grobelka z młyńską u końca zastawą,
Za groblą kościół Panny Zbawicielki
Z trzema wieżami baniastemi w złocie —
I chat okienka, niby oczy kocie.

Beniowski wraz z wiernym sługą opuszcza dom rodzinny; stara Dłwa prowadzi go do swej chaty, w której oczekuje go panna Aniela. Po czulem pożegnaniu Beniowski odjeżdża na Ukrainę. (Pieśń I.). Tymczasem zamek ładawski zajmują konfederaci z ks. Markiem i Sawą na czele, przy czem ks. Marek wymierza okrutną karę zdrajcy Dzieduszyckiemu, który przybył do Ładawy w celu pozyskania ręki i majątku panny Anieli. (Pieśń II.).

Z PIEŚNI III.

Atakowano więc Bar, gdy nad Barem
Beniowski się zatrzymał na wyżyni.

¹⁾ Obrazy najslawniejszego malarza holenderskiego, Rembrandta van Rijn (1606—1669) odznaczają się często silnymi kontrastami światła i cieni.

Na koniu stał, jak posąg, nad wiszarem
I patrzył i rozmyślał, co uczyni?
Bar, jak na dłoni, widział, lecz oparem
Wpół przesłonięty, blady — wojska w linii,
Jak małe nitki mrówek, a na murze
Rozwijał się dym z harmat w białe róże.

I w tej girlandzie niby z róż śmiertelnych
Stało miasteczko w powietrznych błękitach,
Wyrzucające błysk, do żądeł pszczelnych
Podobny... Kule szumiały po żytach,
Gwizdały, do jędz podobne piekielnych,
Lub, po moskiewskich trącając jelitach,
Przebiegłszy całe plutony po szarfie,
Na ludziach grały jękiem, jak na harfie.

I wystaw sobie, mości czytelniku,
Że na swój ganek wychodzisz spokojny
I widzisz pszczoły, w słonecznym promyku
Lecące do łąk — dalej grodek zbrojny —
O miłę, na równinie, działa w szyku —
Ataki, słowem: krotochwilę wojny;
Wszystko się zwija, wre, kole i sieka,
A ty z krążganku patrzysz — i z daleka...

Tam jakiś starzec stanął na okopach,
Wzniósł ręce, czapkę przekreślił na ucho —
I działa, jak psy, legły mu przy stopach;
On je pogładził — i szczerknęły głucho,
Kule gruchnęły po moskiewskich chłopach...
Szczęsny, któremu to uszło na sucho,

Że pan Pułaski jurysta ma ferye
I, zamiast pisać akt, stawia baterye ¹⁾.

Tam widać laski brzozowe i klony
Blade, z gałązek kulami owiane:
Jednym girlandy czarne robią wrony,
Z drugich unoszą się z wrzaskiem, wygnane.
Dalekie miejskie słyszać gwary, dzwony,
Wszystko wkoło wre — tylko zadumane
Na szarym polu dwie maćkowe grusze,
Jak wróżki, pod swój liść chowają dusze.

Tu długim, czarnym, mrówczanym łańcuchem
Zbliża się Moskal pieszy ku mieścinie —
Tu kawalerya się węzowym ruchem
Z jaru wywija, zbiera, szczeka, płynie,
Kłania się, kiedy kula ponad uchem
Gwiźnie, i znów się prostuje, gdy minie —
Tu garść kozaków, jakby oczeretów
Kępa — tu błyski szabel, tam bagnetów.

Na to pan Zbigniew patrzył z ponad wzgórza.
Wzdryga się pod nim koń i uchem strzyże.
Beniowski spłonął na twarzy, jak róża,
Chciałby iść w ogień — ale, mówiąc szczerze,
Trochę go piękna ta dziwiła burza,
Nad którą barskie się łyskały krzyże —
I tak, co miałby wystąpić, jak aktor,
Stał, jak tchórz albo gazety redaktor.

¹⁾ Józef Pułaski, starosta warecki, twórca Konfederacji Barskiej.

Lecz już nareszcie zbierał się do lotu:

Chciał biedz, gdzie burza błyskała czerwona,
Gdy oto nagle, prawie bez łoskotu

Jakby mu jaka nimfa na ramiona
Złożyła ręce... Wrzasnął głośno: »Kto tu?«

I mocniej w nim pierś zadrżała wzburzona.
Spojrzał — na ramion mu siedziało brzegu
Dwoje gołębi, jaśniejszych od śniegu.

»Czy jastrząb je tu jaki — myślał — goni?

Czy się wydają w stepach gołębnikiem?«
Tak myślał, zdjął je i, trzymając w dłoni,
Rzucił w powietrze. Lecz, jak z baletnikiem
Związana duszą Elsner lub Taglioni ¹⁾,

Gdy udaruje ją car naszyjnikiem,
Taniec w gołębia lot przemienia dziwnie —
Tak owe białe gołębie, przeciwnie,

Z lotu zrobiły taniec — i, nad głową

Pana Zbigniewa, na skrzydłach trzymane,
Jakby miłośne dając sobie słowo,

Miłośnie dziobki złączyły różane

I rozleciały się w błękit na nowo,

Ważąc się długo smętne, zadumane,

Jakby straciły i szukały siebie,

Podobne zmarłym duszom ludzkim w niebie,

I, obaczywszy się nagle, jak strzały,

Znów szły ku sobie lotem błyskawicy

I, znów złączone, jako płatek biały

Śniegu, gołąbek przy swej gołębiczy

¹⁾ Dwie siostry Elsner, sławne baletnice; Filip Taglioni, baletmistrz.

Kręcił się, skrzydłem ją trącał, nieśmiały,

Aż, zmordowani, obaj tanecznicy

Najmilsze z siebie dali malowidło:

Senną kochankę gołąb wziął na skrzydło,

Przyniósł na ziemię, położył na trawie

I, wkoło chodząc, budził garłowaniem.

Na szyję wyszły mu kolory pawie —

Miłość go takim darzy malowaniem,

Miłość ubrała mu piersi jaskrawie

W ogień tęczowy. Z takim się kochaniem

Zapatrzył gołąb w swoją senną panią,

Że tęcza blasków z niego — przeszła na nią.

I obudziła się. I znów oboje

Leciały prosto na Zbigniewa barki.

On je pogłaskał, i wnet wszystko dwoje,

Tęczowe piersi zgasiwszy i karki,

Z ramion mu poszły, i w kręgi i w słoje

Tnące powietrze. Zrazu był nieszparki

Lot; póki rycerz nie ruszył wędzidłem,

Póki nie gonił — wabiły go skrzydłem,

Lecz, gdy bezmowne owe dwie istoty

Przelały swoją myśl w serce człowieka —

Coraz prędzemi udały się loty,

I wnet zrozumiał rycerz, że go czeka

Awantur nowych, dziwnych łańcuch złotych,

Zaczarowany zamek, albo rzeka,

Pełna rusałek. — O, domysły trafne! —

Może w pokrzywy przemieniona Dafne¹⁾,

¹⁾ Nimfa Dafne miała się, ścigana przez Apollina, przemienić w drzewo laurowe.

Może Minotaur¹⁾ i zakłète skarby,
Z których, jak z dobrej wioski, będzie przychód...
Tak młodość wszystko stroi w lśniące farby,
Nigdy się małych nie spodziewa lichot.
O, gdyby nie to — to nigdy Ikar-by
Nie latał — nigdyby nie żył Don-Kichot,
Nigdyby w Trzecim Maju nie urosły
Iluzye — na co dziś tak wrzeszczą posły. —

Beniowski, goniąc gołębie i mary,
Obaczył, że na dąb samotny siadły.
Był to ów sławny dąb, gaduła stary,
Jak czarownica, krzywy i wybladły;
Ogniste zeschła kora miała szpary,
Z konarów liście napół opadły,
Liść, co pozostał zwiędły i zwalany,
Szumiał po drzewie, jak krwawe łachmany.

Bez kształtu, spiekły, podarty, nieżywy,
Zimę i lato wisiał na konarze;
Kruk się go lękał, a jelen pierzchliwy
Nigdy nie zasnął w tym krzemiennym jarze,
Bo z wiatrów ów liść łopotał straszliwy,
Jako szatańskie skrzydło, całe w żarze.
Nocą z pod owych skrwawionych warkoczy,
Próchno świeciło się w dębie — jak oczy.

Na drzewo spadły dwa ptaszki Wenery²⁾.
Beniowski w galop szedł za lotem ptaków,

¹⁾ Minotaur, mityczny potwór grecki.

²⁾ Gołębie były w starożytności poświęcone Wenerze, bogini miłości.

Albowiem ujrzał dwa ruskie giwery,
I sześć pod dębem kozackich kołpaków,
Którzy tam pewnie, jako marodery,
Szukali w drzewie skarbów lub Polaków —
I, nie znalazłszy w nim nic, dla igraszki
Chcieli zapalić dąb i upiec ptaszki.

Znieśli już bowiem wkoło suchych liści
I oczeretów, jałowców i cierni —
Już jeden krzesał ognia, który czyści
W czyścucu, a na tym świecie wszystko czerni —
I byliby dąb pewnie ci ogniści
Spalili (wiatr dał taki, jak w hamerni) —
Szczęściem, bohater mój napadł na wrogi
I jął ich rąbać tak, że poszli w nogi,

Oprócz kozaków dwóch. — Z tych jeden stary,
Zrąbany z konia, Bogu oddał duszę
I poszedł, mówi Homer, między mary.
Co się z nim stało? — Nie chcę i nie muszę
Mówić, bo ta rzecz należy do wiary
Greko-rosyjskiej, lecz, co do mnie, tuszę
I powiem, strofy nie chcąc robić wściekłą,
Że w tej religii, gdzie car — jest i piekło.

Pocieszająca myśl — lecz nie dla cara,
Który wolalby może z tego względu
Większą bezpieczeńność. Jedna więc ofiara
Polskiego miecza, młodego zapędu,
Poszła ad umbras¹⁾ — i tam niech się stara
Szczęśliwsza być, niż tu, gdzie tyle błędu,

¹⁾ = w krainę cieni.

Zawodów, głupstwa, nieszczęścia, przesyków,
Bankructw, poezji głupich, Jezuitów,

Hegłów¹⁾ poznańskich, krakowskich purystów,
Paryskich kronikarzy, historyków,
Prezydentów gmin, franko-romansistów,
Kozako-powieściarzy i krytyków,
Którzy poklaski im zamiast poświstów
Dają — od czego ja aż do równików
Biegłem, unosząc zadziwione słuchy,
I byłbym został tam — gdyby nie muchy,

Nie krokodyle, nie hipopotamy,
Nie muł, tworzący na Nilu oftalmie²⁾,
Nie dzuma, nie tęsknota, nie te bramy,
Na które patrząc, że zamknięte, żal mię
Brał, że tak naszych żon nie zamykamy
W jednym haremie, jak w Armidy palmie³⁾.
Ta strofa poszła krzywo, bo ze Wschodu
Wygonił mię brak awantur i lodu;

Zato w ojczyźnie Danta to oboje
Znalazłem. Lecz to rzecz jest tajemnicza.
O to bynajmniej nie dbam i nie stoję,
Aby wiadano, czy moja dziewicza
Muza kochała się realnie. Roję,
Śnię, tworzę, harfy używam lub bicia,
I to jest moja poetyczna droga;
Lecz z mego życia poemat — dla Boga.

¹⁾ T. j. filozofów tak wielkich, jak Hegel.

²⁾ = choroby oczu.

³⁾ Armida, jedna z bohaterek »Jerozolimy Wyzwolonej« T. Tassa.

On wie, On widział, nad jakimi chmury
Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
Aniołów, w przepaść lecących; te chóry

On słyszał, gdyśmy byli z Bogiem sami.
Nie zwiodły Go te królewskie purpury,
W które ja się tu, jak przed sztyletami
Cezar, obwijam, gdy mię w serce rażą,
Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć —
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć,
Co dnia, krainę mar rzuciwszy cudną,
Powracać między gady i nie syknąć —
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
Tą myślą modlić się — i nie przeklinać!

On — i pustyni gwiazdy lazuruowe —
I zachodzące nad morzami słońce —
I jedno serce ludzkie. — Lecz to nowe
Głosy dla mojej lutni, te, cierpiące...
Milcz, serce, albo się strzaskaj, echowe
Narzędzie pieśni, bólu, wiecznie drżące
I obłąkane, niezaspokojone!
Uderzam ciebie w złości. — Milcz, szalone! —

O czymże ja mówiłem?... Ha... W tym jarze
Dwóch zarąbanych leżało Moskali,
Którym pan Zbigniew patrzył w blade twarze;
Wtem ujrzał, że się cierń zajęty pali,
Że się już ogień wiesza na konarze
Suchego dębu; a więc cięciem stali

Odrąbał gałąź, ta zaś odrąbana,
Jak płomień, zdjęty przez burzę z wulkanu,

Leciała, hucząc głucho i czerwona
Kolysała się nad trupami dwoma,
Jak szatan, co chce duszę brać w ramiona,
Albo orlica z płomieni, łakoma
Ciała ludzkiego — więc (o! myśl szalona!)
Beniowski, święcie wychowany doma,
Przeżegnał pełną robaczliwych strupów
Gałąź — i wiatr ją pochwycił z nad trupów,

Roziskrzył, stargał, skreślił i, zwinąwszy
W jeden kłęb, rzucił w ciemną jaru szyję.
Tu nawet zimny rozsądek najzdrowszy,
Słyszając, jak gałąź ta jęczy i wyje,
Zrobiłby utwór i poemat nowszy,
W którym gadają puhacze i żmije ¹⁾;
Co do mnie, prawda mię epiczna więzi —
Więc, nic nie tworząc z ognistej gałęzi,

Prosto ją gaszę w jarze, jak rzecz suchą,
A sam do mego wracam wojownika,
Który z dwóch ludzi rzecz uczynił głuchą
A z dębu nie chciał uczynić świecznika
Owej dolinie strasznej, gdzie z ropuchą
Wąż między głazy kredowymi syka,
I pachnie gorzki piołun. — Więc mój rycerz
Stał, jakby z głazu go wyrąbał snycerz,

¹⁾ Aluzya do »Zamku Kaniowskiego« Goszczyńskiego, w którym jest przedstawiona rozmowa dwu puhaczy.

I patrzył — owych zaś gołębi para,
Która go tańcem cudownym przywiodła,
Skoro dąb zagasł i ognista mara
Przed znakiem krzyża uleciała podła,
Owe gołębie, które ja z Antara
Pieśni pożyczam i biorę za godła
Miłości — (nigdy za małżeński związek!) —
Skoro dąb zagasł, zleciały z gałązek

I, okrążywszy go potrójnym lotem,
Skrzyły się w jego wnętrze wypróchniałe;
Tak był szeroki, że mógł być namiotem
I zmieścić — nie wiem, czy mógł wojsko całe —
Lecz mógł pomieścić haftowany złotem
Ów sztab, co dzieli naszych wodzów chwałę,
I dzieli się tak cudownie i sztucznie,
Jak ową siedmią ryb Chrystusa ucnie —

Tak, że zostanie, i zbiorą z ostatka
Siedem dla wojska koszów, napełnionych
Okruszynami sławy. Rzecz to rzadka
Tak zły apetyt w ludziach tak czerwonych!
Ale, że to jest cudowna zagadka,
O sławie onej i o rybach onych
Nie mówię więcej... Na gryzącym zębie
Wolałbym, niż tę sławę, te gołębie,

Które, dąb cały okrążywszy pilnie,
Do spróchniałego wleciały ośrodką,
Skrzydłami siekąc powietrze tak silnie,
Jak piskorz kraje wodę, albo płotka.
Pomyślał wtenczas rycerz, że niemylnie
Awantura go jakaś w dębie spotka

I, nie czekając, skoczywszy z rumaka.
Szedł ku dębowi temu z czasów Kraka.

*(W wypróchniałem wnętrzu dębu zobaczył Beniowski
młodą dziewczynę, Swentynę, siostrę Sawy, pieśczącą śle-
dzącą jej na rękę gołębie).*

Bohater w dębie zamknięty z młodziutką
Panną, a jednak stoi o pięć kroków;
Jeśli co mówi — mówi bardzo krótko.
Nie spuszcza żadnych na scenę obłoków,
Bo ani z wód kokietką, z niezabudką,
Rozmawia czyściej lilia, pani stoków,
Gdy je wiatr zdrajca ku sobie pokłoni —
Jako tych dwoje — których ja mam w dłoni

I mógłbym... mógłbym, lecz nie chcę... A może
Nie mogę, nie mam dosyć serca, żaru.
Próchno, świecące księżycowo w korze,
Zda mi się pełne widm, pokus i gwaru...
Pełne... zatrzymaj mię, potężny Boże,
Bo gotów jestem dla lepszego czaru
Rzucić na serce mego czytelnika
Trochę awantur własnych z pod równika.

Lecz nie!... Sybirski będę, lodowaty,
Dlatego wchodzę w styl nowych poetów. —
Słyszycie, jak się krzą odludne kwiaty?
Słyszycie głuchy łomot oczeretów?
Ktoś jedzie — spieszenie mu pewno za katy!
Odtętnia głucho echo jarych grzbietów...
Wiele być musi jadących rycerzy,
Kiedy przed niemi takie echo bieży.

Na pozłoconym kurzawy tumanie,
Która do dębu ze słońcem się wkradła,
Naprzód ksiądz jakiś wleciał niespodzianie,
Za księdzem jakaś złota mara wpadła.
Ksiądz był w habicie, a mara w żupanie,
W szerokich bardzo szarawarach z radła,
Na których złota leżała kurzawa —
Słowem: ksiądz Marek to był i pan Sawa ¹⁾).

Ku nim więc moja nimfa srebrnej cery
Pobiegła skocznie i, całując w ręce,
Oddała księdzu Markowi papiery,
Schowane bardzo tajemnie w sukience,
Potem zaczęła śpiew o sobie szczerzy;
Słów jej nie kładnę wszystkich, bo przekręcę,
Alboby musiał kłaść po kropkach kropki,
Bowiem ta nimfa mówiła, jak chłopki.

Z płaczem mówiła, jak w dębową szafę
Wlaza przed wrogów okrutnych pogonią,
Jakie tam miało być z niej auto-da-fe ²⁾),
Jak nie pamiętał nikt i nie dbał o nią...
(O honor! Trzeci rym jest na »żyrafę!«
Muzy żałośnie łyzy nade mną ronią,

¹⁾ Ks. Marek Jandulowicz, Karmelita bosy z Berdyczowa, pobożny, wymowny i pełen odwagi pleban obozowy Konfederacyi Barskiej, przedmiot wielu legend i podań. Przy zdobyciu Baru w r. 1768 wzięty do niewoli rosyjskiej, wysłany na Sybir, powrócił do kraju dopiero po upadku Konfederacyi. — Józef Sawa-Caliński, jeden z najdzielniejszych partyzantów Konfederacyi Barskiej, poległy pod Szreniawem w r. 1771.

²⁾ = całopalenie.

Bo muzy wiedzą, jakie do łez prawo
Ma wieszcz, piszący poemat oktawą).

Mówiła, jak dwa gołębie siostrzane
Przyprowadziły ze stepów obrońcę...
Mówiąc, płakała. Na usta różane,
Kapiąc, padało kropelkami słońce...
Pan Zbigniew patrzył zaś w stronę, na ścianę.
Ksiądz w ziemię, Sawa łamał ostróg końce.
Widząc, że sądzić są gotowi krzywo,
Rycerz do księdza rzekł dumnie i żywo:

»Jestem Beniowski, jechałem do Baru,
Abym ojczyźnie mojej służył szablą
I całą duszą. Z blizkiego mię jaru
Te dwa gołębie, sztuką prawie dyabłą,
Przywiodły tutaj. Znajdziesz wśród czaharu
Dwa trupy, które Pluton swoją grabłą ¹⁾
Weźmie i w ogień piekielny zagrabi.
Więcej mu takich dam, na honor hrabi!

»Z Węgier albowiem moje rodowody
Prowadzę i mam hrabiowskie tytuły.
Ale, że jestem bez grosza i młody,
Nie wiele sobie ważę te bibuły
I pargaminy, lecz chcę iść w zawody
Z przodkami, jako człek, na sławę czuły
I mocno hańbę ojczyzny czujący,
Niedoświadczony jeszcze — lecz gorący«. —

Gdy tak przemówił, ksiądz Marek otworzył
Ramiona i jął ścisnąć postać giętką:

¹⁾ Pluton, rzymski bóg podziemia; tu tyle, co »szatan«.

»Ja znałem twego ojca; gdyby dożył,
Pewnieby twoją chęć pochwalił prędką.
Bogdajbyś późno się w grobie położył
Jasnym, jak człowiek wielki — ani wędką
Sprośnych rozkoszy tu był ułowiony.
Zlituj się, Matko niebieskiej korony!

»Oto dziecko to oddaję w opiekę
Tobie, Dziewico czysta, Matko Boża!
Broń rzuconego w tę nieszczęścia rzekę,
Która z nas płynie do wieczności morza;
Pozwól, że z niego tę cielesność zwlekę,
Która tu krwawi ducha, jak obroża,
A zaś mu w duszę ognistą przeleję
Rozpacz, co wszystko łamie, i nadzieję.

»Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa!
Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy,
I padnie kiedyś w popiół taka głowa!
Żadną łzą taki Boga nie poruszy,
W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,
Któreby kiedyś jego Bóg rozumiał —
I będzie, jak ten dąb umarły, szumiał,

»Będzie miał w sercu władzę odpychania
Ludzi — a węże się doń zbiegać będą;
Utyje kiedyś na chlebie wygnania,
I nieszczęśliwe dzieci go obsiedą,
Krzycząc: »Ojczyznę nam daj lub do spania
Grobowiec sławny!« — ale nie posiedą
Grobu ni sławy. — I to jest przekleństwo,
Które ja rzucam na nich — ich rodzeństwo!

»I niechaj będzie, jakoby stoletnie...

Lecz nie... O Boże! Nie słuchaj Jehowa!«
Tu zamilkł; oczy mu błyszczały świetnie
I pięknem srebrem uwieńczona głowa
Pośród głów młodych błyszczała szlachetnie,
Jak księżyc, kiedy się nad rankiem chowa
Za morze, albo za egejskie skały —
Nadzwyczaj wtenczas smutny, wielki, biały...

I mój rym także po tej parafrazie ¹⁾

Kazania, także za skały zachodzi:
Porozciągawszy tęczę na obrazie,
Pokołysawszy nakształt dobrej łodzi,
Idzie spać. — Wyraz został przy wyrazie;
Nie wiem, czego chce i czego dowodzi...
Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy
Chciałem, aby się spalił — i nic więcej.

PIEŚŃ IV.

Dąb utrudzone opuścił konary,
Świerszcze sykały, upał był ognisty.
W dębie na ziemi siedział Marek stary
I na kolanach rozpisywał listy,
A włożył na nos krzywy okulary.
A taki był list jeden: — »Mój strzelisty
Afekt ²⁾ i łaska Pana Zbawiciela
Z wami«... W nawiasie: — »niech was powystrzela
»Moskal i dyabeł, że się tak kłócicie
I zostawiacie Bar Moskali pastwą;

¹⁾ Parafraza (gr.) = przeróbka.

²⁾ »Strzelisty afekt« — wyrażenia częste w polszczyźnie XVII. w., = serdeczna miłość.

A choć szlachetne imiona nosicie,
Jest z was ohyda boska i plugastwo.
Pan regimentarz zaś sam mianowicie,
Który obiecał karmić nas, jak ptastwo
Indyjskie, imbier przysyłać, muszkatel —
Cierpi, że buty dziś je obywatel!

„Venit iudicium ¹⁾). Nie ode mnie, sługi,
Usłyszysz wtenczas sąd — lecz przed Chrystusem
Zapłaci swoje zaciągnięte długi:
Toż samo pan Rożański, co Fabiusem
Jest w naszej partyi ²⁾), także i ten drugi
Niech wie, że sądu dzień nadchodzi klusem
I weźmie wszystkich was, jak tuman śmieci.
Piszę to z głębi żalu do waszeci».

Takie ksiądz pisał listy, pełne zgrozy,
A przy nim moja młoda posłannica,
Przelatująca moskiewskie obozy,
Jak głos od harfy, albo blask księżyca,
Lub Afrodyta, której ciche wozy
Przez błękit gołąb niósł i gołębica —
Ze świeczką w ręku stała zapaloną,
Od blasku złotą mając twarz i łono.

Ktoby tam zajrzał, myślałby, że który
Z Ojców Kościoła siedzi z gołą głową

¹⁾ = nadchodzi czas sądu.

²⁾ Q. Fabius Cunctator, wódz rzymski, zapewnił Rzymianom zwycięstwo nad Hannibalem przez ustawiczne odwlekane ostatecznej rozprawy z przeciwnikiem. Stąd: być Fabiusem (lub: Kunktatorem) znaczy: być zwolennikiem odwlekania decydującego czynu.

I po natchnieniu patrzy w ciemne chmury
A zaś aniołek, rączką rubinową
Dotknąwszy białej, jak kamień, tonzury,
Wyciąga z głowy tęczę brylantową,
Podobną róży z gwiazd, lub pełnej malwie,
Gdy starzec siedzi na orle lub na lwie.

I w ciemnym dębie było tylko dwoje:
Ksiądz z piórem w ręku, ze świeczką dziewczyna—
I tylko świerszcze między drzewne słoje
Wrzały piosenką. Była to godzina,
W której tak miło pójść nad jasne zdroje,
Gdzie słońcu broni przystępu leszczyna,
I na murawie legnąć aksamitnej,
W brzęku motyli, przy wodzie błękitnej...

Lecz w owe czasy któż jedną godzinę
Marzył, spokojnie przedumał nad wodą?
Któż miał czas marzyć, że tak wszystko minie,
Jak kwiat, będący motylom gospodą —
Jak niezabudka, drżąca przy leszczynie —
Jak łaża?... jak wszystko, co się zowie modą?...
Choć dobra moda była w owych czasach:
Konfederować się i kryć po lasach!

A jednak i to minęło!... Ojczyzna
Minęła także! I ów wierszyk złoty ¹⁾,

¹⁾ Mowa o głośnej w XVIII. w. strofie z »Myszeidy«
Krasickiego, zaczynającej się od słów:

Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czują cię tylko umysły pocziwe,
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny i t. d.

Że dla niej każda smakuje trucizna,
Ów wiersz, co niegdyś zachęcał do cnoty,
Jest dzisiaj... Każdy mi to pewnie przyzna,
Kto w oblężeniu jadł szczury i koty —
Że ten wiersz bez psów, bez liszek, bez czajek
Jest dziś najlepszą z Krasickiego bajek...

A więc niech wszystko mija! — Wstańcie, burze,
I zwieście mój ślad z tej mętnej pustyni
I moje myśli, jak łez pełne kruże,
Przechylcie, niech je próżnemi uczyni
Czas! — Wszak stawałem na niejednej górze
Bliżej piorunów, niż gadu, co ślini
Pocałunkami nawet twarz człowieka —
Bliżej chmur, co grzmia — niż ludu, co szczeka.

I dziś, od ogniów boskich w dół zepchnięty,
Z piramid czoła, z wulkanicznych szczytów
Cierpię — lecz jeszcze gardzę. I ten ścięty
Rym nieraz kąsa was aż do jelitów
I płynie, jako szalone okręty,
Z fal odrzucany do niebios błękitów,
Gdzie mu początek był i koniec będzie,
Gdy śmierć na żaglach okrętu usiedzie.

Tymczasem z szumów żaglowych i waru
Myśli zhukanych jest harmonia dzika,
Którą ja lubię, że tak pełna gwaru,
Że czasem, jak wąż, pośród ruin syka,
Czasem podobna do aniołów swaru,
Gdy błyskawicą letnią się odmyka
Niebo, i znów się zasuną płomienie
Na dziwny duchów świat, skąd szło westchnienie.

A jednak, gdyby twoja, o młodości,
Żelazna niegdyś wola, dumna, twarda —
Gdybym nad sobą miał więcej litości,
Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzgarda
Tego, co teraz jest i co w przyszłości
Być może — lutnię szalonego barda
Skruszyłbym, wzięwszy pod zgięte kolano,
I nową harfę wziął niepokalaną.

Lecz późno, późno już! Gdzie są słuchacze?
Czy w grobach klaszczą w ręce zadziwione?
Czy urągają? Nie wiem — i nie raczę
Gonić myślami te smętne, stracone
Mary; lecz nieraz, kiedy mi zakracze
Orzeł, lecący na słońce czerwone —
Zda mi się, że to jakaś dusza bratnia
Znów odlatuje ode mnie — ostatnia!

Lubiłem takie dusze, dzikie, smętne,
Rozokolone na niebie szeroko,
Błyskawicowe trochę, trochę mętne,
Nawet, gdy w ciało się straszne obloką
I w pioruny się rzucają namiętne,
Lub nad Safony chwieją się opoką;
Lubiłem takie dusze — nie bezkarny —
Wybrednie marząc w różach kolor czarny.

Dziś, uleczony napół, lubię róże
Takie, jakimi je Bóg stworzył: ładne
I wiotkie. — Teraz wam powieścią służyć
I w żadne więcej ustępy nie wpadnę,
Żadną gawędą pieśni nie przedłużę —
Ale też z faktów wam nic nie ukradnę,

Bo wszystko godne jest pamięci wiecznej
I wszystko może ująć w kompanii grzecznej.

(Pomiędzy Beniowskim a Sawą przychodzi do sprzeczki i do pojedynku, który zgrabnym podstępem udaremnia Swentyna; ks. Marek oddaje Beniowskiemu list od panny Anieli, poczem wysyła go w ważnej misji do Krymu).

»Piszą mi, że tron odzyskał khan Giraj ¹⁾ —

Przyjazny zawsze Polsce był khanisko;
Masz listy, których, proszę, nie otwieraj,

Aż staniesz w Krymie. Wprawdzie to nie blisko;
Jaskółki wiedzą tam drogę na wyraj,

I bocian także, z małą, szarą pliską
Do tej krainy lecą z wielkim krzykiem;
Bocian okrętem jest — pliska sternikiem.

»Ona ptakowi na ogonie siedzi,

I prostą drogę w chmurach rozpowiada.

Tak, jeśli cię duch Chrystusa nawiedzi,

Będziesz, jak bocian, co nigdy nie siada,
Lecz wyciągnąwszy dziób, jak włócznie z miedzi,

Prosto wędruje i w gniazdo upada
Gdzieś na wieśniaczej chacie, zmordowany,
Przebywszy morskie burze i bałwany.

»Ufaj mi, synu: jeśli wytkniesz sobie

Drogę, a prostą — to choćby do słońca

Zalecisz, często na krzyżu lub grobie

Odpoczywając. — Lećże więc bez końca,

A będziesz chodził w anielskiej ozdobie,

Jako ojczyzny i wiary obrońca —

¹⁾ Kierim Giraj, chan tatarski, odzyskał utracony tron w r. 1764. Zmarł otruty za sprawą Rosyi, w r. 1770.

A nim zasługi twoje w niebie zgina,
Ziemia przeminie i gwiazdy przeminą!

»Patrz na mnie! — Jestem także zmordowany,

A kto wie, co tam w mojem sercu płacze?
A jednak wziąłem w rękę krzyż drewniany

I chodzę, tuląc do głębi rozpacze.

Wołałbym może już w grób... jak złamany

Dąb i bez liści — lecz mi serce skacze,

Kiedy na działo wstąpi moja noga,

A działo ogniem śpiewa imię Boga.

»Więc, że i starość jeszcze jowiszowe

Ma brwi, na hańbę ojczyzny zmarszczone,

Więc jeszcze wstrząsa te pola stepowe,

I wulkany z nich rozrzuca czerwone,

I tej ojczyzny martwej wznosi głowę,

I kładzie na nią zbawienia koronę...

Tak-że więc krwawym was obmywam chrzestem!

A pomyśl tylko ty — czemu ja jestem?

»Garsteczką prochu, co jutro w dolinie

Będzie rodziła chwasty i lilije,

Dzbaneni, z którego strumień wiary płynie,

A który jutro Bóg nogą rozbije.

Noś-że ty ducha w twej cielesnej glinie,

A nie lękaj się, gdy wiatr w oczy bije

Z błyskawicami! Na końcu żywota

Czyny człowiecze waży szala złota.

»Tam wszystkie nasze łzy i krew rozlana

Są policzone — i nie ginie jedna

Kropelka, ani biała, ni różana,

Lecz każda waży i, ważąc, wyjedna

Światło wieczyste. Idź więc w imię Pana!

A byłaby też ta ojczyzna biedna,
Gdyby dla ciebie, zginionego młodo,
Łez nie znalazła. — Bądźże więc tą wodą

»Ochrzczony — teraz i w grobowcu późnym!«

To mówiąc, ręce wyciągnął — i drżały.

Słuchał go rycerz z czołem, smutnie groźnem,

I był na twarzy przerażeniem biały,

I skry mu z oczów szły — i dreszczem mroźnym,

Miłością wielką dla nieszczęsnej chwały

Czuł się przejęty. Będąc tak ognisty,

Z ręku księdzowskich wziął do khana listy

I wraz obrócił konia na południe

Ku wschodzącemu wtenczas miesiącowi...

Jechał i marzył o przyszłości cudnie —

A któż sny takie młodości wypowie?

Choć aniołami te srofy zaludnię,

Choć z ziemi stworzę kraj, podobny snowi,

Nie dosyć będzie, przez gościniec z ostów,

Kwiatów z różanych gwiazd i z tęczy mostów.

Austerye ¹⁾ chyba z szkła i z dyamentu

Zbuduję — w karczmach posadzę Dyanny ²⁾.

Łódź życia jest, jak złota łódź Sorrentu ³⁾,

Co, siekąc kryształ przeźroczysty, szklanny,

Ogień dobywa błękitny z odmętu

I z wioseł ogień leje nieustanny

¹⁾ =gospody.

²⁾ Diana, dziewicza bogini łowów.

³⁾ Sorrento, słynne z pięknego położenia miasteczko włoskie nad zatoką Neapolitańską.

I tak, jak łabędź ognisty, przelata,
Pierś mając w ogniu i ogniem skrzydlata.

Młodości! Każ się tej łabędziej marze
Z ognia i złota unosić po świecie!
Niech szumi wino w twojej platońskiej czarze,
Na głowie niechaj będzie wonne kwiecie,
A blisko ślubów wysokich ołtarze,
Gdzie saturnowy wąż się z ogniów plecie.
Tam ślubuj przyszłość... Muza mdleć zaczyna —
Dajcie mi bursztyn i róże i wina!

Kłębam dymu niechaj się otoczę,
Niech o młodości pomarzę, półsenny!
Czuję, jak pachną kochanki warkocze,
Widzę, jaki ma w oczach blask promienny,
Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
Wteruje mi znów, szumiąc, liść jesienny...
Napróżno serce truciznami poim!...
Kochanko pierwszych dni ¹⁾ — znów jestem twoim!

Patrzaj! Powracam bez serca i sławy,
Jak obłąkany ptak, i u nóg leżę...
O, nie lękaj się ty, że łabędź krwawy
I ma na piersiach rubinowe pierze!
Jam czysty! — Głos mój wśród wichru i wrzawy
Słyszałaś, w równej zawsze strojny mierze...
U ciebie jednej on się leż spodziewał:
Ty wiesz, jak muszę cierpieć — abym śpiewał.
Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
Na twoje włosy kładła jarzębina —

¹⁾ Ludwika Śniadecka.

Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
Które daleka odnosi kraina,
I w pieśń się patrzaj tę, co jest z opalów¹⁾,
A więcej kocha ludzi, niż przeklina,
I pomyśl, czy ja duszę mam powszednią,
Ja, co, przebiegłszy świat, kochałem jedną?!

Twój czar nade mną trwa. — O, ileż razy
Na skałach i nad morzami bez końca
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
A miłość twoję miałem, nakształt słońca,
W pamięci mojej! — Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał — a łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła.
Twa dusza знаła to — i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blado, jak słońce sumienia,
Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne:
Jedna z marmuru, a druga z promienia;
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne
I nie ruszały włosów i odzienia.
Między kolumny na niebie się kreśląc,
Staliśmy, jak dwa sny, oboje, myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy kiedyś w elizejskie bory,
My, cośmy ziemię tę widzieli nagą,
Przez piękne niegdyś widzianą kolory,
Cośmy poznali, że nie jest odwaga
Rozpaczonym czynem skończyć żywot chory,

¹⁾ T. j. mieni się ciągle, jak opał.

Lecz, uleczeni przez trucizn użycie,
Sercu zadawszy śmierć — znaleźli życie...

Pierwszy to i raz ostatni, o miła,
Mówię do ciebie. Jest to błyskawica,
Która ci chmurę posępną odkryła,
I boleść wyszła z niej, jak nawałnica,
W twoim ogrodzie pustym będzie wyla,
Gdy księżyc pełny, jak srebrna różycą
Gmachów gotyckich, biały blask rozleje
W te, gdzieśmy niegdyś chodzili, aleje.

Bądź zdrowa! — Odejść nie mogę, choć słyszę
Wołające mnie duchy w inną stronę...
Wiatr mną, jak ciemnym cyprysem, kołysze
I z czoła mego podnosi zasłonę,
Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze
Wyrok, łamiący mnie między stracone...
Ja czekam, krusząc wyroki okrutne...
Twe oczy patrzą na mnie — takie smutne!

Bądź zdrowa! Drugi raz cud się powtórzy:
Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdiesz, do zbielelej róży
Podobna, zasnąć. — Dosyć! Pieśń skończona!
Oko się moje senne łzami mruży —
Róże uwiędły — czara wychylona —
I pieśń gdzieś leci odemnie echowa...
Już pożegnałem cię... Jeszcze: bądź zdrowa!

PIEŚŃ V.

Przez ciemne, smutne gościńce kurhanów
Niesie go czarny koń dniami i nocą.

Pod ziemią tętna zakopanych dzbanów
Z prochem rycerzy — na niebie łopocą
Kruki, jak stada posępne szatanów —
W czaharach zbroje rycerzy migocą
I dzidy błyszczą krwawemi płomyki.
Tam, na kurhanach, posępne lirniki

Siedzą i grają dumy dawnych czasów.
Dumy wychodzą na rozległe pola,
Wpadają smutne w szum dębowych lasów
I stamtąd znowu, jak harfy Eola,
Zmieszane z szumem liścianych hałasów,
Wychodzą na step — a ludzka niedola
Leci, wichrami płaczącemi wiana,
Jakby nie ludzi ustami śpiewana.

Tu siedzą wianki na polu czumaków
I ogień palą wielki, jasny, chmurny —
Tam dalej wieńce podróżników ptaków,
A drop na straży — albo sęp bezpieczny,
Podobni zdala do rzymskich orszaków
Koło chorągwi albo koło urny,
Gdzie smętne wodza popioły złożone,
Odprawujące straż i zamyśłone.

Beniowski przebył Dniepr — gdy raz, wieczorem,
Kiedy już księżyc wstawał zamyślony,
Obaczył ogień, pod dębowym borem
W ziemi palący się, wielki, czerwony.
Przy ogniu siedział człek, okryty worem,
Dzikiej i strasznej twarzy, jak Hurony ¹⁾;

¹⁾ Huroni, szczep dawnych Indyan w Ameryce Północnej.

Gotował strawę i, pazury czarne
Krwawiąc, odzierał ze skór całą sarnę.

Ta, wywrócona, oczyma szklannemi

Zdała się żebrać u ognia litości.

Dalej siedziało dwóch panów na ziemi:

Na jednym żupan był, skóra i kości —

Drugi, otyły i z rubinowemi

Policzki, pełen w sobie wielmożności,

Przepijał głośno do drugiego zdrowiem

Z butla, co miał brzuch obszyty sitowiem.

Ów pan wspaniałej tuszy — trochę baba

Na twarzy, dziwnej miał zbroję struktury.

Od kołnierza mu szła żelazna sztaba,

Malowanemi natykana pióry —

Rzekłbyś, że rodzi go królowa Saba ¹⁾,

Że z dawnych czasów spadł, jak żaba z chmury.

Chociaż się zbroja nam wydaje dzika,

Beniowski poznał zaraz pancernika.

Gdzieniegdzie jeszcze snuli się po kraju

Starzy, minionych czasów kochankowie,

Którzy nie pili kawy ani czaju,

Żelaza kawał nosili na głowie,

Jak starej kawał arki na Synaju,

A Bóg im dawał rumianość i zdrowie,

Zwłaszcza, że słomę wkładali do butów.

Litwin pancernik, jeden z tych mamutów,

Siedział, jak mówię, i z oplecionego

Butla pił. Litwin to był starej daty,

¹⁾ Saba — na pół mityczna królowa arabska z czasów Salomona.

Z chudym się na czas połączył kolegą,

A jego sługa, czerwono-kudłaty
Perkunas, który pana znał małego,

I z miłości mu, a nie dla zapłaty
Służył — choć nosił imię dawnych bogów,
Kucharzem teraz był — i u trójnogów

Wieszał — ach, nie już dla Znicza ¹⁾ kadzidło,

Lecz kawał sarny; już nie dawne runy ²⁾
Śpiewał, lecz dyabła żmujdzkiego straszidło

Krzyżem odpędzał, gdy były pioruny.
Wybornie umiał wędzić gęsie skrzydło

I po tatarsku zawijać kołduny...³⁾
Król perski, który płacił złota minę
Za każdą nową rzecz — to za boćwinę

Dałby dwie. — O boćwino! Hipokreno ⁴⁾

Litewska! Ty, co utworzyłaś szkołę!
Waza twa zawsze wytryska Kameną ⁵⁾,
Która ma oczki gazeli wesołe,
A w ręku białym swym — ni piu ni meno ⁶⁾,

W rączkach, które są zakasane, gołe,
Wieniec z barszczowych uszów... O nagrodo!
Że mi ją kiedyś dasz — marzyłem młodo...

¹⁾ Znicz, mityczny święty ogień litewski.

²⁾ Runy — pismo obrazkowe starożytnych Skandy-
nawców; tutaj: starożytne pieśni.

³⁾ Ulubiona potrawa litewska: rodzaj pierogów, na-
dziewanych tłustem mięsem baraniem.

⁴⁾ Boćwina — liście buraczane. »Hipokrene«, w mito-
logii greckiej źródło na Helikonie, poświęcone Muzom —
więc przenośnie: źródło natchnienia.

⁵⁾ Kameny, boginie staroitalskie, tyle, co Muzy.

⁶⁾ Ni piu, ni meno (wł.) = ani mniej, ani więcej.

Lecz teraz tracę nadzieję. — Niestety!
Nie lża, jak mówi Kochanowski, próżno!
Próżno deptałem parnasowe grzbiety
I miałem nieraz Dyannę usłużną...
Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety¹⁾,
Muza została mi rymami dłużną:
Z tego więc poszło, że pisałem prozą,
»Odjemną« mówi Tygodnik²⁾)... O zgrozo!

Odjemną! — Czy od Tygodnika? Boże!
Kto tam odejmie co, ten będzie mądry!
Tybyś nie odjął sam nic, Pitagorze,
Z twoją tabliczką w ręku.

.
.
.
.

Po kropkach piszę dalej. — Wiatr był chłodny,
I ogień palił się wesoło z trzaskiem.
Beniowski nie był to bohater modny,
Co się księżycy tylko karci blaskiem;
Przypomnił sobie właśnie, że był głodny,
Więc, jak astronom, gwiazdy wynalazkiem,
Albo poeta, ucieszony nowym
Rymem, nieznanym i błyskawicowym,
Albo dewotka, gdy grzech jaki stary
Przypomni sobie przed samą spowiedzią,

¹⁾ Słowacki chciał początkowo napisać »Anhellego«
w tercynach, które tu, dla rymu, nazywa niewłaściwie »tryo-
letami«. Por. fragmenty »Posielenia«.

²⁾ »Tygodnik« — poznański »Tygodnik literacki«.

Albo, jak trafne litewskie ogary,

Gdy wpadną razem na łapę niedźwiedzią,

Albo — lecz sposób ten porównań stary

Krasickim trąci i złoconą miedzią¹⁾,

Więc prosto bez gawędy i odwleczeń:

Beniowski, ludzi ujrzawszy i pieczeń,

Zsiadł z konia... Teraz, kiedy go prowadzą

Tak materyalne gusta — moja Muza

Opuszcza z całą swą harfiarki władzą.

Chociaż tam złota leży kukuruza,

Choć kapuściane tam kociołki kadzą,

Choć nerka, nakształt czerwienego tuza,

Leży i w maśle na patelni warczy,

Jak serce wroga na Odyna tarczy — ²⁾

Choć piękny ten las, gdzie o piersi dębów

Ogień czerwony swoje skrzydła łamie,

Chociaż Perkunas ma nakształt trójzębów

Widelec w ręku i Neptuna ramię³⁾,

Które do czarnych dymu wchodzi kłębów,

Jak ów wąż, co chce Danta chwycić w bramie

Dytejskiej i w żar łeb żelazny kładzie —

Choć uczytą prostszej nie było w Helladzie —

Wolę porzucić dym, płomień, pieczywo,

Rycerza, moją szlachtę — a sam w stepy,

¹⁾ »Złoconą miedzią« — słowami temi określa zapewne poeta epokę *empir'u*, obejmującą początek XIX. w.

²⁾ Odyn, najwyższy z bogów w mitologii skandynawskiej; między innymi nosi przydomek »ojca bitew«.

³⁾ Neptun, rzymski bóg morza; znamieniem jego władzy jest potężny trójząb.

Jako ognisty koń z rozwianą grzywą,
Jak Aryost, nie jak Homer idę ślepy ¹⁾.
Ta rozmaitość może być pokrzywą —
I, pieśń na różne podzieliwszy szczepy,
Może do końca nie trafię i ładu;
Lecz rozmaitym będę — dla przykładu.

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
A czasem był, jak piorun, jasny, prędki,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa,
A czasem, jako skarga nimfy, miętki,
A czasem piękny, jak aniołów mowa —
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem...
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć: zamglić ją tęsknotą,
Potem z niej łyśkać błyskawicą cichą,
Potem w promieniach ją pokazać złotą,
Potem — nadętą dawnych przodków pychą,
Potem ją utkać Arachny ²⁾ robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze, przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa...

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał — toby zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,

¹⁾ T. zn.: wolę iść śladami pełnego dziwnych, cudownych przygód poematu Aryosta »Orland szalony«, niż prostych poematów Homera

²⁾ Arachne — por. wyżej obj. do »Grobu Agamemnona«

Słyszysz, ubrany w dawny rym królewski,
Mową, którą sam przed wiekami umiał;
Potemby, cicho mżąc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiej — w grobie.

Więc nie mieszajcie mi się tu, harfiarze,
Którym dziś klaska tłum! — Precz, mowo smętna,
Co myślom własne odejmujesz twarze ¹⁾,
Dając im ciągłą lżę lub ciągle tętna;
Wolałbym słuchać morza na wiszarze
Jakiej opoki, co, wieków pamiętna,
W szumie, jakoby nie w skończonym rymie,
Odrzuca falom jedno wielkie imie ²⁾,

Niż... Moja Muzo, stój!... Od imion własnych
Wara! Z tej strony zrobiłabyś cmentarz,
Coś nakształt Danta tercetów niejasnych,
Do których trzeba dodawać komentarz.
Krytykę dońców i Sławian prekrasnych
Zostawmy drugim! Lepiej ją spamiętasz,
Gdy ich, jak złota strzała Meleagra ³⁾,
Przeszyje pióro Pana Michała Gra... ⁴⁾

„Ej, ty na szybkim koniu!...» (dalej wiecie)
Wieszcz wielki sobie zapytanie czyni —
A drugi mu wieszcz w przyległym powiecie
Odparł: »Skąd, powiedz, wracają Litwini?«

¹⁾ Rozumie się: ich własne twarze, ich właściwe, pełne różności wyrazy.

²⁾ Imię Mickiewicza.

³⁾ Mityczny bohater grecki, uczestnik wyprawy Argonautów po złote runo.

⁴⁾ Sławny krytyk, Michał Grabowski (1805—1863), podpisywał swe dzieła skróconem nazwiskiem: »Michał Gra...«

That ist the question! ¹⁾ Tu pytanie trzecie:

Komu ty jedziesz? (jak mówią Żmudzi),
Które ja czynię, naśladować metra
Galop w połowie pierwszej heksametra.

Komu ty jedziesz? Jadę księżycowi,

Aby się w konia przeglądał kopytach,
Wonnemu jadę na stepach kwiatów,

Dziewannom, które w złotych stoją kitach;
Anioł mię srebrny, jasny w skrzydła łowi

I leci ze mną, jak sen, po błękitach,
Na koniu stojąc rycerskim, jak sława,
I goni mię w kurhany — mówi Sawa.

(Sawa prowadzi siostrę do swej chaty podziemnej i czyni jej gorzkie wymówki; Swentyna broni się, opowiadając swą przeszłość, lata, spędzone w budzie cyrkowej jakiegoś Włocha, i wybucha namiętными skargami na swe losy).

Czasem chorągiew wybiegła nad morze,

Jak maszt łaciński u rybackiej łodzi —
Czasem ujrzałeś, że koń piersią porze

Trawy — i z trawy, jak delfin, wychodzi,
Lecz cały na wiatr wyskoczyć nie może,

Jak posąg, co się u snycerza rodzi
I, cały w głazie osadzony zadem,
Po piersi koniem jest — a po pas gadem.

I tak się wojsko przez burzany prulo,

Jak prąd ogromny sumów lub łososi —

¹⁾ = to jest pytanie; słowa, wyjęte z pierwszego wiersza sławnego monologu Hamleta.

I tak się, jako wąż żelazny, snuło,

Co czasem ogon, czasem łeb podnosi. —

Ale się pieśni narzędzie popsuło,

O wypoczynek moja Muza prosi;

Ambrozji słodkiej już zabrakło w krużu...

A więc — żegnajcie na stepowem wzgórzu

Moje posągi dwa, od słońca złote ¹⁾,

Me szyki, w trawach tonące i ziołach!

Tu Malczewskiego trzeba mieć tęsknotę,

Tęsknotę, co jest w ludziach pół-aniółach —

Tu trzeba śpiewać, a ja baśni plotę,

Bo, kiedy grzebię w ojczyzny popiołach,

A potem ręce znów na harfie kładnę,

Wstają mi z grobu mary takie ładne,

Takie przejrzyste, świeże, żywe, młode,

Że po nich płakać nie umiałbym szczerze,

Lecz z niemi taniec po dolinach wiodę,

A każda, co chce, z mego serca bierze:

Sonet, tragedję, legendę lub odę,

To wszystko, co mam, co kocham, w co wierzę.

W co wierzę... Tu mię spytasz, czytelniku:

W co?... Jeśli powiem — będzie wiele krzyku.

A naprzód ten rym, co drwi lub przeklina,

Ma polityczne *credo*; jest to sfera

Dantejska. Wierzę sercem poganina

W rym szekspirowski, w Danta i w Homera.

¹⁾ Postacie Sawy i jego siostry Swentyny, o których mowa w poprzednich strofach.

Wierzę w republik jedynaka syna —

Mochnacki¹⁾ nim był u nas, ten kosterą,
Co, wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez dyktatora dał się ukrzyżować.

Wierzę, że powstał w człowieczej postaci

I szedł na wielki sąd, co kraj rozwidni;
Po drodze wstąpił do arystokracji

I w tem bez ognia piekle bawił trzy dni —
Potem w książeczce sądził swoich braci,

Tych, co są prawi, i tych, co bezwstydni.
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych²⁾,
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych,

I w obcowanie ich ducha z narodem,

I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym³⁾,
I w zmartwychwstanie sejmu, pod Herodem

Obieranego, co jest bardzo śmiesznem
Ciałem i będzie najlepszym dowodem

Ciał zmartwychwstania, fenomenem wskrzesz-
[nym —

Na końcu dodam, o przyszłość bezpieczny,
Że w tego sejmu wierzę żywot wieczny —

Amen... To »Amen« krztusi mię i dławi

Jak Makbetowe »Amen«. — Jednak wierzę

¹⁾ Maurycy Mochnacki, głośny krytyk literacki i pisarz polityczny.

²⁾ Mowa o dziele Mochnackiego »Historya Powstania Listopadowego«, którego dwa tylko tomy pierwsze ukazały się (w Paryżu w r. 1834).

³⁾ T. j. wodzom z czasów powstania Listopadowego.

Że ludy płyną, jak łańcuch żórawi,
W postęp... że z kości rodzą się rycerze,
Że nie śpi tyran, gdy łoże okrwawi
I z gniazd najmłodsze orlęta wybierze,
Że ogień z nim śpi i węże i trwoga...
Wierzę w to wszystko... Ha — a jeszcze w Boga!

Boże! Kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch, zakrwawionej przez Tatarów, gliny,
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawemi oczyma —

Kto cię nie widział nigdy, wielki Boże,
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywym,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym,
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze,
Mogily głosem wołają straszliwym,
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie i ginie —

Kto ciebie nie czuł w natury przestrachu,
Na wielkim stepie, albo na Gulgocie —
Ani wśród kolumn, które zamiast dachu
Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu
Uczuł, że jesteś, ani, rwąc stokrotnie,
Znalazł w stokrociach i niezapominkach,
A szuka w modłach i w dobrych uczynkach —

Znajdzie — ja sędzę, że znajdzie, i życzę
Ludziom małego serca, kornej wiary,
Spokojnej śmierci. — Jehowy oblicze
Błyskawicowe jest ogromnej miary!
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę koście, co, jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnemi grzbiety
Leżą — i świadczą o Bogu, szkielety — ¹⁾

Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem i tego stworzenia, co pęłza;
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhlukanych koni On nie kielża —
On piórem z ognia jest dumnych szyszaków —
Wielki czyn często Go ubłaga, nie łąa,
Próżno stracona przed kościoła progiem...
Przed Nim upadam na twarz: On jest Bogiem!

Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem
Pokory, co się Bogiem ze mną mierzył? ²⁾
Ja go chcę jeszcze... w głowę tnę piorunem,
Tak, jakem wczora go w piersi uderzył.

¹⁾ T. j. kości rycerstwa, poległego na polach Ukrainy w obronie ojczyzny, są jakby sztandarami, wskazującymi, jak należy pojmować wielkość Boga.

²⁾ »Zwiastun pokory« — bo Mickiewicz w »III. części Dziadów« pokorze tylko przyznaje łaski u Boga (»Pan maluczkiem objawia, czego wielkim odmawia«); »ze mną mierzył« — aluzyja do improwizacji Mickiewicza i Słowackiego na uczcie dn. 25 grudnia 1840 r. w Paryżu. — Słowacki przedstawia tu nie prawdziwy przebieg uczty tej, lecz kłamliwy jej obraz, podany w artykule »Improwizatorowie« w »Tygodniku literackim« z 22 lutego 1841 r., którym uczuł się dotkniętym.

Czy widzieliście? I on ma piołunem

Zaprawne usta... Lud, co w niego wierzył,
Radość udaje — ale głowy zwiesił,
Bo wie, że skinał ja — i wieszczą wskrzesił.

Jam zwolna serca mego rwał kawały,

Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał;

A wszystkie tak grzmiały jeszcze, jako skały,

Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał

Boga, a teraz kawałki spadały...

Jam zbił — lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?

Za błękitami był bój i zwycięstwo —

Ludzie nie widzą we mnie, tylko męstwo!

Zaprawdę... Gdybyś mię widział, narodzie,

Jak ja samotny byłem i ponury,

Wiedząc, że, jeśli mój grom nie przebodzie,

Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury...

Już, przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,

Wołałem ręką krzemienieckiej góry ¹⁾),

Ażeby weszła rozpędzić tę ciemną

Zgraję — i stanąć za mną — lub pode mną...

Bo się kruszyło we mnie serce smętne,

Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych

I próżno słowa wyrzucam namiętne,

Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,

Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —

Ja, co mam także kraj, łąk pełen kwiatnych,

Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,

A która także mnie kochać powinna!

¹⁾ Góra Królowej Bony w Krzemieńcu, miejsce zabaw Słowackiego w czasach dzieciństwa.

Jeśli wy bez serc, wy — to moje serce
Za was czuć będzie, przebaczać bez miary.
Ikwo ¹⁾, płyn przez łąk zielonych kobierce!
Ty także sławna, że fal twoich gwary
Jakoby z Niemnem w olbrzymiej rozterce
Gadają. — Tyś zmusiła Niemen stary ²⁾
Wyznać, że wielki, że w sławę płyniemy...
Lecz rzekł: »Niech idzie tam, gdzie my idziemy« ³⁾.

Ha — ha! Mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?
Jaka wam świeci, gdzie portowa wieża?
Lub w sławiańszczyźnie bez echa toniecie ¹⁾,
Lub na koronę potrójną papieża,
Piorunem myśli podniesione, śmiecie
Gnacie. Znam wasze porty i wybrzeża!
Nie pójdę z wami waszą drogą kłamną —
Pójdę gdzieindziej — i lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał;
Kiedy kląć zechce — przeze mnie kląć będzie;
Gdy zechce płonąć — ja będę rozgrzewał;
Ja go powiodę, gdzie Bóg: w bezmiar — wszędzie —
W me imię będzie krew i łzy wylewał...
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień, jako słońce, w noc, jak żar, prowadzi.

¹⁾ Krzemieniec leży nad rzeką Ikwą.

²⁾ »Niemen stary« = Mickiewicza.

³⁾ Tak miał powiedzieć do Słowackiego Mickiewicz wedle przedstawienia »Tyg. literackiego«.

⁴⁾ Aluzya do pierwszej części wykładów Mickiewicza w *Collège de France*, przeważnie zajmującej się literaturą serbską i czeską.

Ha, ha! Odkryłeś mi się, mój rycerzu?

Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam!
Naprzód ci słońce pokażę w puklerzu —

Przed słońcem ciebie z trwogi wypowiadam,
Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu

I pokazanym fałszem śmierć ci zadam,
Patrząc na twoją twarz, zieloną w nocy,
Jak księżyc. — Słońca wyrzekłeś się mocy?

Jam ci powiedział, że, jak bóg litewski,
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska,
A w ręku twem krzyż, jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co, jak piorun, błyska...
Tak mówiąc — ja, syn pieśni, syn królewski,
Padłem — a tyś już następował z blizka
I nogą twoją, jak na trupie, stawał...
Wstałem. Jam tylko strach i śmierć — udawał!

Znajdziesz mnie zawsze przed twoim obliczem,
Niepowalonym, hardym i straszliwym...
Nie jestem tobą — ty nie jesteś Zniczem.
Lecz, choćbyś Bogiem był — ja jestem żywym,
Gotów wężowym bałwan smagać biczem,
Dopóki świat ten pędzisz biegiem krzywym...
Kocham lud więcej, niż umarłych kości.
Kocham... lecz jestem bez łez, bez litości

Dla zwyciężonych. — Taka moja zbroja
I takie moich myśli czarnoksiężstwo.
Choć mi się oprzesz dzisiaj — przyszłość moja
I moje będzie za grobem zwycięstwo!...
Legnie przede mną twych poetów Troja,
Twe Hektorowe jej nie zbawi męstwo.

Bóg mi obronę przyszłości poruczył:
Zabiję — trupa twego będę włóczył¹⁾,
A sąd zostawię wiekom. — Bądź zdrow, wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny boże.
Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu
I pokazałem, że na twojej korze
Pęknięcie serca znać — a w liści dreszczu
Widać, że ci coś próchno duszy porze.
Bądź zdrow! — A tak się żegnają nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi.

Z PIEŚNI VI.

Dawna ojczyzna moja! O, jak trudno
Zakochanemu w twej śmiertelnej twarzy
Zapomnieć wdzięku, co młodość odludną
Wabił na dawnych opłotki cmentarzy!
Inni już pieją twoją przyszłość cudną —²⁾
Ja, zostawiony gdzieś na mogił straży,
Jak żóraw, abym nie spał śród omamień,
Trzymam me serce w ręku... serce-kamień —
Biedne, uwiedłe serce! — Inni mogą
Płomieniem twojej przyszłości oddychać —
Ja, twoje biedne dziecko, stoję z trwogą,
Bo mi płacz twoich dawnych mogił słyhać.
Proszę cię w moją duszę, jak w ubogą
Chatę, co już się zaczęła rozsychać,
Rozpadać, tylą wichry rozerwana,
Biedna... tak dawno stojąca... gliniana.

¹⁾ Tak, jak Achilles włóczył trupa Hektora.

²⁾ Zapewne aluzja do »Przedświt« Krasieńskiego, który wyszedł w Paryżu w r. 1843.

Dawniej — o, dawniej mogłem ja cię darzyć
Różami, listki, maczanemi w złocie;
Teraz ja muszę chować się i marzyć
I, w coraz większej schroniony prostocie,
Podług natury sądnej szale ważyć
I dbać o ciebie — gdy jesteś w polocie,
Ku siedmiu gwiazdom strzałą wyprawiona,
Choć masz na krzyżu ciało i ramiona...

Najbielsza moja, najsmutniejsza! W tobie
Śpiewają jakieś pieśni — i nad tobą;
Otóż ja złączyć chciałbym pieśni obie
I uczcić grób twój dawny tą ozdobą,
Którą widziałem na rycerzy grobie:
Kamienną, dużą, rycerską osobą,
Dla której kilka lamp grobowych spalisz,
A potem, z grobu wstająca — rozwalisz.

I nie pamiętaj o mnie w tej godzinie,
Gdy cię Bóg wielkim darem uweseli...
Lecz, póki Ikwa ma rodzinna płynie,
Wezbrana łzami po tych, którzy mieli
Serce i ducha — póki w Ukrainie
Dziad chodzi z pieśnią, a z Dniepru topieli
Ciągłe niby gwar smętnych duchów mgli się
I Pułaskiego spieszny rumak śni się —

Dopóki ludzie w nowych ducha siłach
Nie znajdą w sobie rycerstwa i śpiewu —
Dopóty ja mam prawo na mogiłach
Stać i śpiewać — srogi, lecz bez gniewu,
Bo wiem, jak trudno ruch obudzić w bryłach
I kazać w niebo iść ściętemu drzewu

I z tęczami się połączyć na niebie —
Ja, co nie mogłem wskrzesić nawet siebie...

Z PIEŚNI IX.

Tej samej nocy, gdy w Borejszy głowie
Krecił dyabelski haszysz bardzo mocno,
Tej samej nocy jedni pastuszkowie
W poleskiej puszczy swą wigilię nocną
Odprawowali; noc była w połowie,
Godzina, w której bardzo jest pomocną
»Zdrowaś Maryja«, śpiewana żałośnie
Za duszę w czyścju — i ogień przy sośnie.

Mieli więc ogień i głośno śpiewali
Pacierz — a blisko strumień mruczał srebrny,
Właśnie, jak dusza, co się w czyścju żali,
Ze tych pastuszków pacierz jest potrzebny —
I wierzba srebrna kąpała na fali
Złote listeczki. — O tem ksiądz wielebny
Mówiąc z ambony, płakał; wierzba biała
Także, choć mówić nie mogła — płakała.

Konwalie białe, cicha mgła i rosa,
Trawy zapachem dyszały od kwiecia —
Gdy oto z wierzby trefionego włosa
Wybiegły — jedna, potem druga, trzecia,
Gwiazdy błękitne, i nie szły w niebiosą
Po niebie latać i trwać przez stulecia,
Ale nad wierzbą stanęły w lazurze,
Dwie obok siebie stojąc — trzecia w górze.

I tak, w zórawi klucz uszykowane,
Jaśniały, aż las zajaśniał w promyki.

I przyszły panie dwie, w błękit ubrane,
I pod wierzbami ucichły strumyki,
Jak ja — gdy nagle, brzmiać na lutni, stanę
Słuchać, czy okłask przyjdzie albo krzyki,
A potem znowu zaczynam, nierychły —
Tak właśnie owe strumienie ucichły.

A one smutne przez ów strumień złoty
Podwały sobie ręce, mówiąc: »Ave!«
A obie były tak pełne tęsknoty,
Jak strumień i las — a miały postawę
Lekką, jak gdyby mogły iść w poloty;
Lecz oswojone były i łaskawe —
Jedna twarz miała czarną, druga bladszą.
Pastuszkom zdało się, że we śnie patrzą.

I wszystko zdało się snem w cichym lesie
Na mchach i białej konwalii, pod drzewem,
Płonącym w światła cudownym okresie,
Gdy się witały ze łzami i śpiewem.
Jedna pytała drugiej — co ją niesie?
A każda rzekła: »Jestem krwi wylewem
I ogniem grodów owiana gorących,
I drzę, królową będąc konających«. —

»Królestwo moje — rzekła matka czarna — ¹⁾
Wyniszczone jest mieczem i płomieniem;
Ptaszęta małe, gdy lecą po ziarna,
Znajdują pola, siane kul nasieniem.
Ja jestem matka ludzi gospodarna:
Zbieram, co sieję — i nad pokoleniem

¹⁾ Matka Boska Poczajowska.

Umarłych — moje wysłałam anioły,
Męczennikami napęłniać stodoły.

»Przyjdzie godzina, że ich dzieci dzieci

Nad plonem tego czasu wzniosą lament,
Lecz teraz wszystko, jak liść z drzewa, leci:

Kościółów krew nie broni i sakrament —
Kagańcem swoim śmierć kościana świeci,

A przed nią czarne dusze lecą w zamęt —
I nad tem wszystkim stoję — ja, królowa,
I patrzę ze skał moich z Poczajowa.

»We mgłach srebrzystych, gdy stepem przechodzę,

Spotykam jakieś jęczące gromady;
Ludzie okropni bez rąk są, jak wodze

Tym, co na rękach pełzają, jak gady —
Inni umarli zostają na drodze

I są zabójcom strasznym jako ślady —
Inni, bez twarzy, wdychając z rozpaczą,
Bez ust się modlą i bez oczu płaczą.

»O siostro moja — morem ja owiana

I czarna dymem smętnego jałowcu,
Do mego Dziecka krwawego i Pana

Każę się często nieść i, na grobowcu
Siedząc, mam dzieci umarłych kolana

Pełne; nie mówię, na jakim manowcu
Zbierałam kwiaty ludzkie nieszczęśliwe,
Lecz On je widzi u nóg — te nieżywe,

»I taką ma twarz, jaką w Nazarecie,

Kiedy się żegnał ze mną, mówiąc: »Matko,
Idę już umrzeć!...« — a mnie zorze trzecie
Pod oliwami zastały i chatką,

A jego już nie było... i na świecie

Stał krzyż, nad uczniów płaczących gromadką,
I słońca ani księżycy nie było,
I grób był krwawą, lecz pustą mogiłą...»

Tak się skarżyła siostrze, a, zadana

Turecką szablą, na twarzy obraza,
Po której uśmiech pozostał i rana,

Stała się teraz widną, jako skaza,
Nowo boląca. Druga, zadumana,

I w sercu niosąc mieczów trzy żelaza ¹⁾,
Oczu z mlecznego nie spuszczała pasa —
Wtem ciche, krągłe światło wyszło z lasa.

Pastuszki, patrząc niby w jasnowidzie,

Rzekli do siebie, tuląc swe kożuchy:
»Czy widzisz? Do nich z lasu słońce idzie...«

Potem zamilkli — bo przytomne duchy
Głos odebrały. Więc, jak na egidzie

Minerwy, widać jakąś twarz i ruchy
Oczu i włosa, co w stalnym błękiecie
Świadczą, że środek tej tarczy ma życie —

Tak w słońcu owem był środek i plama,

Światu owemu czyniona z człowieka.
Był to ksiądz Marek; twarz jego ta sama,

Jak zawsze, wielka otwarta powieka —
Ale szedł we śnie — i straszliwa szrama

Od dyscypliny krwią gorącą ścieka,
Otwartej piersi tworząc straszny przerys
W krople pół zaschłe... długie, jak berberys.

¹⁾ Matka Boska Częstochowska.

Widać, że, będąc na nocnej modlitwie,
Wpół obnażony, może napół senny,
Po jakiej rzezi widzianej lub bitwie
Zasnął — a jego duch tylko promienny
Wyszedł i w słońcu złotem szedł po Litwie
Przez czarne, smutne lasy, do Gehenny
Wędrując może — lecz to, co go niosło,
Słońce, stanęło przy wierzbie i rosło.

A ksiądz, znalazłszy pod nogami ziemię,
Na kolana się rzucił na konwalii,
Tak, że pokazał już nie twarz, lecz ciemię,
I krzyknął: — »Idę z rzezi i z batalii!
Zważyłem, pierwszy raz poczuwszy brzemię
Mogił na sobie... O, wołajcie z Galii,
Z Rzymu i z Azyi... i tych, co za morzem,
Bo nas mordują, rzną mieczem i nożem!

»Królowy niebios! Wy nad strumieniami
Cicho w lilije białe rozkwitnięte,
A miecz nad nami i pożar nad nami!
Dzieło upada, choć mądrze poczęte;
Duma rozerwie wszystko, wszystko splami!
Panięta nasze, jak pawie, nadęte!
Ja do pacierzy nastroilem wargę,
Lecz, będąc u stóp waszych, niosę skargę.

»Potocki bruździ — nic więcej nie powiem;
Ale Potocki bruździ, w czarty wierzy,
Regimentarzem chce być — nad pustkowieciem!
Będzie, bo pustka się na wszędy szerzy.
Niechże upadnie przed księżycą nowiem,
Na którym wasza srebrna stopa leży!

Niechże się schyli duszą cichą, szczerą
Przed Bogiem — nie przed szatanem i lirą!

»Ta lira... w trumien znaleziona rdzeniach!
Już jej głos serce narodu osłabił,
A na niej szatan czarny gra w płomieniach
I luda już pół z Baru mi wywabił!
Jak waż, co błyszczy swą koroną w cieniach
I blaskiem ściąga słowika, by zabił —
Tak ów kozacki pół-duch na złe radzi
I swoją smętną pieśnią gdzieś prowadzi

»Na zaginienie! Brońcie od pożarów
I od powietrza nas, ach! — i od głodu —
I brońcie jeszcze nas, Panny, od czarów
I od tej dumy, co z Barskiego grodu
Już oberwała wichrem las sztandarów,
A sama chce być zbawczynią narodu.
Nadłamcie dumie miecza, skruszcie rogów,
Zostawcie Boga nad nami — nie bogów!

»Dajcie mi jedną przynajmniej szablę
Świątą, a ja z niej wielką tęczę zrobię —
Tęczę — i wiecznie trwałą błyskawicę,
Świecącą teraz i później na grobie,
Gdy położymy w proch zmęczone lice,
Nie zostawiwszy nic, jak proch, po sobie
I duszę w boże oddawszy ramiona,
A nasze, długo słyszane, imiona

»Oddawszy dzieciom. — Posel mój szwankował
W Krymie — i musi.. ciężkie więzy dźwiga;
I tego brońcie, bom go umiłował!...«
Na tem zakończył mój ksiądz pacierz wiga

Papisty — potem w księżyc pocałował,
Co pod nogami Matek Boskich miga,
I był od swojej złoto-jasnej ściany
Wzięty, weselszy już, bo wysłuchany.

KRÓL-DUCH.

RAPSOD PIERWSZY.

PIEŚŃ I.

I.

Cierpienia moje i męki serdeczne
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy, węzową napelnione zdradą,
Powiem — wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminiełe
I wielkie duchów świętych wojny święte.

II.

Ja, Her Armeńczyk, leżałem na stosie ¹⁾
Trupem przy niebios jasnej błyskawicy.
Kaukaz w piorunów się ciągłym rozgłosie
Odzywał do ech ciemnej okolicy —

¹⁾ Przy końcu dzieła swego p. t. »Politeia« (»Państwo«) podaje Plato opowiadanie o pewnym Greku, który, padłszy na polu bitwy, dostał się jako umarły do podziemia, przysglądał się pośmiertnej wędrówce dusz, a wtedy, kiedy ciało jego miano już spalić na stosie, obudził się i odzyskał zdrowie. Miał się on nazywać Ἡρ Ἀρμενίου, t. j. Er, syn Armeniosa; Słowacki przez pomyłkę nazwał go »Herem Armeńczykiem«, nazwa zaś Armenii przywołała zapewne pocie na myśl Kaukaz, który służy jako tło obrazu.

Niebo zczerniało — ale świeciło się
Grzmotami, jak wid szatańskiej stolicy —
A ja, świecący od ciągłego grzmota,
Leżałem. — Zbroja była na mnie złota,

III.

I duch, niewyszły z umarłego ciała,
Czuł jakąś dumę, że spokojnie leży —
A nad nim ziemia poruszona grzmiała
I unosiły się duchy rycerzy.
Trójca widm mój stos ogniem zapalała —
A ja czekałem, aż piorun uderzy:
Tak byłem pewny, że w owe rumiane
Grzmotem powietrze, jak duch, zmartwychwstanę.

IV.

Już przybliżały straszne czarownice
Chwast zapalony i suche piołuny —
I, moje blade oświeciwszy lice,
Wrzeszcząc, posępne swe śpiewały runy —
Kiedy je trzasły aż trzy błyskawice
I trzy siarczane, ogniste pioruny —
I tak strzaskały płomienie czerwone,
Żem je nie martwe sądził, lecz zniknione.

V.

Wtenczas to dusza wystąpiła ze mnie
I — o swe ciało już nie utroskana,
Ani za ciałem płacząca daremnie,
Cała poddana pod wyroki Pana,

W Styksie, w Letejskiej wodzie, albo w Niemnie¹⁾
Gotowa tracić rzeczy ludzkich miana, —
Poszła; a wiedzą tylko wniebowzięci,
Czem jest moc czucia — a strata pamięci!

VI.

Tam, kędy dusze jasne, jak brylanty,
Swe dobrowolne czyniły wybory —
Moc, utrudzona biegiem Atalanty²⁾,
Szukała tylko szczęścia i pokory...
Orfeusz między ptaki muzykanty³⁾
Szedł umęczony i na sercu chory —
A jam pomyślał, że mu śpiewem będzie
Sklądać i skrzydła rozszerzać łabędzie.

VII.

Ulises poszedł w prostego oracza⁴⁾,
Aby odpoczął po swych wędrowaniach: —
Tak ludziom Pan Bóg zmęczonym wybacza
I odpoczywać daje w zmartwychwstaniach!
Niech wyniszczony pracą nie rozpacza,
Że mu na ogniach braknie i błyskaniach —

¹⁾ Styks, rzeka w podziemiu, przez którą cienie zmarłych przeprawiały się do Hadesu. — Lete, rzeka w podziemiu; napicie się jej wody przynosiło niepamięć ziemskiego życia (»tracić rzeczy ludzkich miana«).

²⁾ Atalanta, w mitologii greckiej sławna łowczyni, uczestniczka wyprawy Argonautów po złote runo, odznaczająca się wielką siłą.

³⁾ Orfeusz, mityczny śpiewak tracki, potęgą swego głosu poruszał drzewa i skały i ułaskawiał dzikie zwierzęta.

⁴⁾ Ulisses lub Odyseus, król Itaki, głośny bohater grecki z czasów wojny trojańskiej.

Ani też myśli, że jest upominek
Dla ducha większy jaki, nad spoczynek...

VIII.

Ja sam — z harmonią obeznany młodą
Własnego ciała — nie chciałem odmiany
I siadłem smutny nad Letejską wodą,
Nie usta moje myjąc — ale rany.
Odtąd już nigdy nad cielesną szkodą
Nie płakał mój Duch, z ciała rozebrany —
Ani za wielką sobie brał wymowę
Otwierać tych ran usta purpurowe ¹⁾).

IX.

Wszakże, Letejską przykładając wodę
Do ran — by pamięć boleści straciły —
Nie jedną poniósł na pamięci szkodę,
Nie jeden obraz stracił senny, miły.
Jutrzenek greckich różaną pogodę
Duchy mu nagle ręką zasłoniły,
A pokazały — jako świt daleki —
Umiłowaną odtąd — i na wieki!

X.

Ani gwiazdzice, co się w morzach palą,
A mają w świetle tęczowe kolory,
I są gwiazdami w ciemnicy pod łałą
Tak błyszczącemi, że mórz dziwotwory,

¹⁾ T. j. cierpień cielesnych nie uważał za rzecz ważną, bo wskutek obmycia ran w wodzie letejskiej utracił pamięć cierpienia i bólu fizycznego.

Delfiny, w morzu swoje łuski skalą
I obchodzą je cicho jak upiory,
A płynąć wierzchem nad niemi nie śmieją —
Tak mocno w morzu te gwiazdy jaśniejają —

XI.

Ani tych gwiazdzic jasność tajemnicza
Tak nie przeraża owe pierwopłody —
Jak piękność, którą-m ja poznał z oblicza,
We mgłach Letejskiej zapomnienia wody.
Nad nią dźwięk, duchów girlanda słowicza —
Pod nią jakoby złote zejścia schody
Na świat daleki i zamglony wiodły —
Na kwiatki jasne pod ciemnymi jodłami.

XII.

Z tych łąk i z tych puszczy jakby wiatr poranny
Pieśnią zapraszał na ziemię szczęśliwą:
Szedłem — choć strzały numidzkimi ranny —
Niepewny, czy śmierć, czy żywota dziwo,
Czy Irys¹⁾, którą na świat znosi szklanny
Obłok — a tęcze, świecące nad niwą,
Tyle kolorów i słońce tyle mają,
Że ją nad ziemią na światłach trzymają?

XIII.

Ona przede mną do lesistych zacisz
Weszła — a harfy śpiewały wiatrzane:
»Dobrze ją poznaj, bo wkrótce utracisz,
»Jak sny, przez dobre duchy malowane;

¹⁾ Irys, w mitologii greckiej uosobienie tęczy.

»Żywot tysiącem żywotów zapłacisz —

»A zawsze jedną tę serdeczną ranę

»Przyciśniesz w piersi rękami obiema,

»Tę jedną smutną ranę: że Jej niemal

XIV.

»Sławę ci damy — lecz tobie obrzydnie;

»Serce ci damy — ale spustoszeje.

»Przyjdzie do tego, że będziesz bezwstydnie

»Urągał — w Bogu mającym nadzieję«.

Na to ja: »Niechaj me oczy rozwidnię

Rubinem, który z jej ust światło leje —

A nie dbam o to, co mię dalej czeka:

Żywoty ducha — czy męki człowieka!

XV.

»W jedną girlandę męki nie uwiążę,

Jak człowiek, który za tysiące czuje —

I tą girlandą, jako świata księżę,

Czoło uwieńczę i ukoronuję;

Niechajże na mnie idą duchy, węże,

Niech mię świat walczy otwarcie i truje,

Niech mię ognistą otoczy otchłanią —

Choćby aż w piekło wiodła — pójdę za nią!»

XVI.

Pamiętam ten głos — i straszne zaklęcie,

Na które odwrzasł mi duch: »To królowa!«

I całe mego ducha wniebowzięcie

Upadło... A wtem jasność przyszła nowa,

I w tem powietrzu, jako w dyamencie,

Ukazał się wid: Piękność, córka Słowa,

Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką judejscy widzieli prorocy.

XVII.

Słońce lecące trzymała nad czołem,
A miesiąc srebrny pod nogami gniotła:
Szła nad lasami i leciała dołem,
Nad chaty, jako komeciana miotła;
Tęcze ją ciąglem oskrzydlały kołem —
W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła
I na powietrze rzucała niedbale
Perły-jaśminy i maki-korale.

XVIII.

Błękit się cały zdawał uśmiechniony,
Pełny języków złotych, niby fala;
Jak atlas, który bierze różne tony
I, drżąc, swe harfy gwiazdziste zapala —
Tak niebo za nią, od północnej strony
Gwiazdy swoimi łyskające zdala,
Różnym się dało gwiazdom pozłacanym
Ukazać w ogniu, od zorzy rumianym.

XIX.

Więc, czego woda Letejska nie mogła,
To ona swoim zrobiła zjawieniem,
Że moja dusza na nowe się wzmogła
Loty i nowym buchnęła płomieniem.
A, jako pierwszy raz ciało przemogła
I uczyniła swoim wiernym cieniem —
Opowiem: Ja, Her, powalony grzmotem,
Nagle... gdzieś w puszczy... pod wieśniaczym płotem

XX.

Budzę się. — Straszna nade mną kobieta ¹⁾
Śpiewała swoje czarodziejskie runy:
»Ojczyzna twoja — wrzeszczała — zabita...
»Ja jedna żywa — a ty, zamiast truny,
»Miałeś mój żywot: popiołem nakryta
»I zapłodniona przez proch i popioły,
»Wydalam ciebie, abys był mścicielem,
»Synu popiołów — nazwany *Popielem*.

XXI.

»Sam jeden jesteś — ale cię przymioty
»Ojców napełnią, a ja dam dwa duchy:
»Na prawo stanieć jeden anioł złoty,
»Na lewo jeden z krwi i zawieruchy;
»Ci dwaj — ty trzeci... i mój głos, jak grzmioty,
»Pędzący w zemstę«. — To mówiąc, pieluchy
Moje chwytala i, trzęsąc nad głową,
Rzucała dzieckiem, jak skrą piorunową.

XXII.

Jeszcze nie dorósł — a już karmem duszy
Zemsta mi była, a nauką — zdrada.
Często — bywało — że ktoś włos mi ruszy
I we śnie do mnie, jak anioł zagada;
Gdy spojrzę — liść się tylko zawieruszy
I w kształt złotego widma wstaje — pada —
Czasem na moją pierś tumanem runie;
Ręka mi zadrży — nóż się sam wysunie.

¹⁾ Roza Weneda. Por. zakończenie prologu »Lilli Wenedy«.

XXIII.

O, pierwsze mego ducha nawałnice!
Jakże wy straszne wstajecie w pamięci!
Widzę tę straszną krew, jak błyskawicę,
W której się mój duch, niby gołąb, kręci;
Dziś, nieraz, kiedy w czarną okolicę
I w puszcze wejde — to mię coś tak smęci,
Że radbym własne wyrywał wnętrzności,
Albo u bólów swych prosił litości!

XXIV.

Do gwiazdzic morskich tajemniczej jaśni
Porównywałem to ludu zjawienie,
Który żył w chatach próżen wszelkiej waśni,
A miał z jabłoni swój napój i cienie.
Królowie jemu panowali własni,
Cudowne jakieś Lecha pokolenie,
Mające w sobie całe Polski Słowo,
I moc, i różgę cudów Mojżeszową.

XXV.

Teraz wiem, jako duch pod ziemią widzi —
A w ślepych często ten cud ujrzysz dziadu,
Którego wiejski ci pies nienawidzi,
Żórawianemu gdy podobne stadu
Za nim się wloką duchy; świat zeń szydzi —
Ale go chłopiek czuje królem gadu
I wie, że na żrenicy blachmany
Bije świat duchów, tęczę malowany.

XXVI.

Te oczy, ręką zasłonięte bożą,
Czasem pod ziemią idą złotą żyłą,

Aż im się ciemne kurhany otworzą,
Jak gdyby słońce pod ziemią świeciło.
Blachy się złote na wzrok ludzki srożą,
Proch ludzki wstaje pod wziętą mogiłą
I w kształt człowieka znowu się układa —
Na nogi wstaje — i w proch się rozpada.

XXVII.

Oni to widzą — właśnie, gdy gromada
Urąga, śledząc zamyślane czoło.
Ta mądrość, która cały świat spowiada,
Dawniej perłową wieńczona jemiółą,
Z królem na tronie lub przy królu siada
I w płomieniste się upiorów koło
Zamyka: nie czar — nie próżna guślarka,
Lecz mądrość, chorób duchowych lekarka.

XXVIII.

Więc wkoło — wioski, w wieńce kaliniane
Strojne — i roki, poświęcone duchom —
Mogily, kozom i pasterzom znane, —
Trzody, dziwiące się ptaków rozruchom —
Mogily dawne, dawno zapomniane,
Dawno oddane mgłom i zawieruchom,
Z darni odarte...

XXIX.

Czasami tylko jaki zwyczaj dawny
Indyjski, nakształt złotego upiora,
W lasach powstanie. Kiedy rycerz sławny
Umrze — to lud go grzebie, jak Hektora:
Dwanaście koni bije i krwią spławny
Stos gdzieś pod lasem, pod mgłami wieczora,

Ubrany w rogi jelenie i w głowy —
Zamienia w ogień i w słup purpurowy.

XXX.

Wieszcz się jawią w ogniu — i guślarze
Przepowiadają przyszły świat nieznany:
Co w pieśni stworzą, to się wraz pokaże,
Przyprowadzone na świat przez szatany.
Każdy wiek wielkie miał prawdy ołtarze,
Cześć ducha, ducha namiętne kapłany,
Którzy — wyroki uprzedzając boże —
Dla ciał, nie krzyże mieli... ale noże.

XXXI.

Wzgarda je wielka ku ciału paliła,
A duch upajał, jak sok bachusowy.
Niejedna teraz druidów mogiła,
Którą oplata wkoło krzew różowy,
Kiedy ją słońca strzała wskrós przeszyla,
I przeszył ogień zorzy brylantowy —
Gdy wejdiesz w ciemne granitowe bramy,
Pokaże ci swe słońca: krwawe plamy —

XXXII.

A jednak ty się nie cofasz przed niemi
A — choćby miesiąc był, nie czujesz trwogi,
Ale, jak żoraw skrzydłami ciężkimi,
Próbujesz nowej po błękitach drogi.
Między głazami, dawniej czerwonemi,
Między miesiącem i polnemi głogi
Srebrne się ciągle jakieś wstęgi snują,
Po których myśli, jak sny, przelatują.

XXXIII.

W takich kościołach, duch z wysokiem czołem,
Sądząc, że nigdy świat się nie odmieni —
Obecność, wtenczas mię dręczącą, kłamię,
Nogą trącałem czoła tych kamieni:
»Padajcie, głowy, przed ducha aniołem! —
Krzyczałem. — Jako gromada jeleni,
Przed mą niszczącą myślą uciekajcie!
Trupy grobowców tych, gińcie lub wstajcie!«

XXXIV.

I nie! Urągał mi ten świat cichością
I biegiem, co, jak żółw, za słońcem chodzi.
Nad południowych gdzieś łąk zielonością —
(Bom przewędrował kraj, który mię rodzi)
Inaczej z trupów postępował kością
Lud, który palił umarłego w łodzi
I w mgieł krainę posyłał gościnną
Z umiłowaną kochanką niewinną...

XXXV.

Ja, syn wyrzniętych ludów, ja, istota,
Nieznana wtenczas na ziemi nikomu,
Gdy obaczyłem, jako ta łódź złota
Lepszą się zdaje od ziemskiego domu —
Jak płomień pod nią huczy i druzgota
Garście suchego liścia, pęki łomu,
A na te śpiące, we śnie rozkochane,
Rzuca swe straszne jutrzeńki różane —

XXXVI.

Gdym to obaczył, a wysłuchał śpiewu
Dziewicy (grobow smętnego słowika),

Która złotemu się tej łodzi drzewu
Tak wydawała, jak kwiat słonecznika,
A już od krain zaświatnych powiewu
Brała głos nowy i światłość promyka —
Już tchem — już ogniem była — już bez ciała —
Już mgłą — a jeszcze za światłem śpiewała —

XXXVII.

Gdym to obaczył... tom kupcowi temu
(Bo kupiec jakiś to był, który gorzał)
Zazdrościł drogi, sam nie wiedząc, czemu...
Drżąc, abym kiedyś duchem nie zubożał,
Skrzydeł nie stracił, które ku złotemu
Światowi niosą — jak lew, nie zesrożał,
Nie szedł na tamten świat z szatana trwogą,
Jak duch... na czarnej łodzi... bez nikogo.

XXXVIII.

Przerażon, w lasy wróciłem rodzinne,
A wkrótce wziął mię Lech król za pachółka.
Jam oczy groźne miał i ręce czynne
I uwiązany cel do wież wierzchołka.
Trucizny wlano w to serce niewinne —
A zemsta, jako pierwsza apostołka,
Ciągle klóciła mię z ludźmi i z losem,
A głos jej — czasem nie był ludzkim głosem.

XXXIX.

Więc ile razy posłucham jej rady
(A rada była dla ducha fatalna),
To widzę, że mi na świecie zawady
Usuwa jakaś ręka niewidzialna.

Na działającą moc patrzałem blady,
Sądząc, że biała mi orlica skalna
Zlatuje na hełm... usiada na czele...
I drogę moją piorunami ściele.

XL.

Żądałem wodzem być — i wraz dwa wodze
Krwi rozszalałej piorun w mózg uderzył.
Ja, co, bywało, za stadami chodzę —
Kiedym się z duchy ciemnymi sprzymierzył,
Teraz tak straszny — że, komu ja szkodzę,
Choćbym się tylko nań myślą zamierzył...
Choćbym oczyma uderzył po stali...
W pancerz... i w serce ruszył — wnet się wali.

XLI.

I zczerniał cały świat — a ja, syn borów,
Patrzałem, jako na las do wycięcia.
Z pod przyłbic wielkich bladość mię upiorów
Trwożyła. Byłem pierwszą ręką księcia —
Przed sobą dalszych nie widziałem torów,
Ani dalszego już celu do wzięcia.
W zamku cedrowym nad Gopłową wodą
Byłem najpierwszym złotym wojewodą...

XLII.

Tu, patrz, jak straszne są duchowe sprawy,
Jakie okropne zastawiają sidła!
Raz, gdy z dalekiej wracałem wyprawy,
A piorunów się różne malowidła
Przez długi deszczu włos świeciły krwawy —
Ja i rycerze ujrzelśmy skrzydła

Orłów pobitych, w tak wielkiej ilości,
Jak na cmentarzach gdzieś Germanów kości.

XLIII.

Pierze leżało zmokłe — lecz niektóre
Skrzydła sterczały w piasku takiej miary,
Że, gdy na dzidę wziął i podniósł w górę
Jedno — to, jako wielki upiór szary,
Wierzchem o ciemną kity mej purpurę
Dostało — stając, leniwe, z moczary,
Niby wezwany czarodziejstwem runów ¹⁾
Duch, śpiący w błocie przy blasku piorunów.

XLIV.

Taka w tem skrzydle była tajemnica
I ludzkość, żem się spytał: »Powiedz, sępie,
Czy was, na wiatrach paląc, błyskawica
Rzuciła w takie nic — i w takie strzępie?
Czyście się bili o państwo księżycy,
Idąc na siebie zastęp przy zastępie?...
Czyście tu jaki bój toczyli krwawy
O ścierw — czy tylko gryźli się dla sławy?!

XLV.

»Powiedz — jak nazwać to pamiętne pole,
Dziś od błyskawic czerwone rumianych,
Gdzie tyle górnych duchów — dziś na dole!
I tyle skrzydeł leży połamanych?«
Tom rzekł, w nieszczęścia nauczony szkole
Litować się leż i mógł nieznanym —

¹⁾ Runy = starożytne pieśni obrzędowe guślarzy.

A wtem ujrzałem, że rycerstwo bierze
Skrzydła i wtyka sobie za pancerze.

XLVI.

Widok ten nowy, wspaniały!... Czas późny —
Błyskawic blaski wszędy — wojsko w dali,
Gdzie każdy człowiek był, jak upiór, groźny,
Skrzydlaty, w czarnej rozświeconej stali —
Wszystko tak straszne, żem dreszcz uczuł mroźny
I krzyknął: »Sława Bohu — świat się wali!
Ja pierwszy moją pierśią go roztrącę!
Ja, duch — a za mną — wojsko latające«.

XLVII.

To mówiąc, skrzydło zmoczone i krwawe
Przypiąłem sobie tak, że hełm nakryło.
Ja, biorąc skrzydła, za cel brałem sławę —
A oni chcieli sobie lotu siłą
Pomódz do domów... O, jakże ciekawe
Powody, które rządzą ciała bryłą!
O, jak są różne przed prawdy mistrzynią
Orły — choć wszystkie jeden hałas czynią!

XLVIII.

I lecieliśmy do domu weseli,
Mijając drzewa i sady i chaty.
Rycerze moi przed zamkiem stanęli —
Jam wszedł, jak anioł czarny i skrzydlaty.
Karmazyn, który świat od króla dzieli,
Cały się w gwiazdy rozleciał i w kwiaty:
Pokazał się król w odblaskach rubinu —
Spojrzał — i berło upuścił z bursztynu.

XLIX.

Widziałem, jako łaskawość pogodna,
Jaskółka siwych włosów, dobroć cicha
Znikła — a nagle twarz trupia i chłodna
Zmroziła mię tak, żem stał nakształt mnicha,
Spuściwszy oczy, patrząc w siebie do dna:
Zali zwycięstwa mego nagła pycha
Jakich tajemnych myśli nie wywiodła
Na jaw — i króla w źrenicę nie bodła?...

L.

A on — na moje skrzydła, na te pióra,
Patrząc (które blask wieczorny zapalił
I okrwawiła tronowa purpura)
Pobladł i, berłem mię wskazawszy — zwalił.
Wzięto mię. — Dusza ma czarna, ponura,
Już mi radziła, abym się ocalił,
Wtenczas, gdy tłumy stały przerażone,
Z mieczem na króla wpadłszy i koronę.

LI.

Alem się w jednej błyskawicy gniewu
Na taki wielki czyn nie śmiał posunąć.
Wolałem, że mi, jak wielkiemu drzewu,
Przyjdzie tu głową zachwiać się i runąć,
Niż z domowego ciemnej krwi rozlewu
Korzystać, mój miecz w łono starca wsunąć,
I wyjść z wyjętym na słońce orężem,
Coby się zdawał nie bronią, lecz wężem...

LII.

Wzięto mię... a ja, w podziemnej ciemnicy
Sam, do filarów przykuty kamiennych,

Jako pający, ciemni robotnicy,
Zacząłem z myśli gryzących, bezsenych
Snuć długie pasma. — Widmo mi przyłbicy,
Nakryte orłów skrzydłami płomiennych,
Pokazywało się — naramiennice
Osiadły blade, ścięte Medużnice.

LIII.

Dusza tak była silna i bogata,
I taką wielką rządzielką kości,
Że ciągle echem duchowego świata
Gadała — ciągle z jego okropności,
Z tych głębin, gdzie ćma niewidzialnych lata
Jasnoczerwonych słów, sztyletowości
Szepczących — brała straszną siłę sztychu
I tę, jak piorun, ciskała po cichu.

LIV.

Kto myślał, że mnie więzieniem uciszał
I goił burze ducha — ten się mylił:
Z ducha mi ciągle szedł grzmot — a Lech słyszał
I czuł, żem ja go gryzł, do ziemi chylił,
Chociażem wtenczas tylko w sobie dyszał,
A żadnej mocy ducha nie wysilił.
Gromadą duchów zarządzałem ciemną,
I te — jak sługi moje — były ze mną.

LV.

O wy, którzy się nigdy nie spotkacie
Z prawdziwą twarzą waszego tu stróża,
Dla których żywot widzialny jest w chacie,
A Bóg w błękitach próżnych się zanurza —

Dla was są próżne tych czynów postacie —
Dla innych ducha ton i straszna burza,
Owiewająca moją pieśń żalobną,
Z twarzy do innych rapsodów podobną.

LVI.

Raz o północy, kiedym dyszał gniewny
I sądził, że tu — jakaś mara biała...
A tam — kształt jakiś czarny i niepewny...
Ówdzie zaś gwiazda biegła i spojrzała —
Ujrzałem lice przecudne królowy¹⁾,
Której z rąk blasku różanego strzała
Przez proch więzienia i przez pajęczyny
Szła — zamieniwszy jej ręce w rubiny.

LVII.

Splecione do nóg, złociste jej włosy
Wlokły się prawie po głazów zieleni,
Gdzie zakończone, jak dwa złote kłosy,
Kwiatkami z drogich, błyszczących kamieni:
Te kwiatki — rzekłbyś — że dwa żywe losy
Twarzą aniołów ze światłych pierścieni
Patrzą się w górę, uczepione skrycie
Do nóg, idącej falą, Amfitrycie²⁾.

LVIII.

Te kwiaty z żywych klejnotów się jawią
W pamięci mojej przed rysy innemi;
Reszta mgłą. A mgły moje tak ją krwawią,
Żem nie spróbował o niej śnić na ziemi;

¹⁾ Wanda. Wbrew podania czyni ją poeta córką Lecha.

²⁾ Amfitryta, córka Nereusza i Dorydy, królowa morza.

Lecz szaty jeden fałd wiecznie mi stawia
W oczach pamięci, duchy... i z białemi
Nóżkami do mnie te kwiaty idące,
Jak dwa tęczowe na ziemi miesiące.

LIX.

A ja, gdzieś w głębi... do granitnej nory
Schowany, niby kłęb piekielnych duchów,
Wyzwany światłem w ohydne kolory,
Jak zbiorowisko członków i łańcuchów,
Skrzydły zjeżony, jak piekielne twory —
Które my znamy na ziemi z posłuchów,
Słyszac, że niegdyś rodziła natura
Smoki, w płomienie ubrane i w pióra —

LX.

Ja — pomny na to, żem tronowi służył,
A doznał zdrady, choć nie miałem winy —
Sądząc, że mi się Lech aż krwią zadłużył —
Dotknięty okiem królewskiej dziewczyny,
Aż skrzydłam na nią moje brudne wzburzył
I z piór pokazał oczy, cały siny,
Z takim sił moich gniewnych nateżeniem,
Żem ją mógł wzrokiem spalić, jak płomieniem.

LXI.

Biedne my duchy! Zawsze z jednej schedy
Brać musim nasze co piękniejsze szaty.
Oto błyszczący kłęb smok Andromedy! ¹⁾
Oto ów drugi straszny wąż skrzydlaty,

¹⁾ Andromeda, bajeczna córka króla Etiopów; przyku-

Który na słońce idzie w księgach Eddy¹⁾
I gwiazdy, niebios lazurowych kwiaty,
Ogonem zbiera w swe czerwone płuca —
Wchłania... i z ogniem serdecznym wyrzuca.

LXII.

Na nią ja, straszny, piekielny i mocny —
A tem straszniejszy, że był nieszczęśliwy —
Wyiskrzył cały oczu blask północny,
Więcej wtenczas jej, niż wolności, chciwy. —
Jak mi ów czysty duch wtenczas pomocny
Otworzył wrota, cichością oliwy
Do zamilczenia jęków przymuszone —
Nie wiem... to wszystko poszło w mgły czerwone...

LXIII.

On jednak, ten duch, nie wiedząc, co czyni,
Jednem niebaczmem słowem pchnął mię w górę.
Ona, ta dziwna na harfach mistrzyni,
Mająca duchów niebieskich naturę,
Czytała w jakiejś sybilijskiej skrzyni²⁾
(Może przed wieki będąca za córę
Rzymianom³⁾), że jej koronę na głowie
Zerwą na koniach lecący orłowie.

tej do skały strzegł straszliwy smok, którego zabił wreszcie
Perseusz.

1) »Edda«, starożytne księgi mitologii germańskiej.

2) Księgi sybilijskie, bajeczne księgi, w których przyszłość Rzymu była opisana.

3) Mocą metempsychozy, tak, jak Her przybrał postać Popiela.

LXIV.

A ten sen dawny tak jasno wyrzucił
Z drugiego ciała swoje dawne twarze,
Że ojcu rzekła — a ojciec zasmucił
Czoła i miał już przywołać guślarze,
Sny tłumaczące — gdym ja nagle wrócił,
Skrzydlaty orzeł, i moje husarze
Przed zamkiem rzędy długimi ustawił —
I sen, jak w jasnej błyskawicy, zjawił.

LXV.

To mi nieszczęsna powiedziała pani,
Jakoby sama siebie winująca,
Że wtenczas śniła, gdy, w skrzydła ubrani,
Spełnialiśmy sen przy blasku miesiąca,
W ogniu piorunów. Lecz ciemni szatani,
Których moc jedną mocą ludzi trąca,
Sprawili, że snu na nią malowidła —
Na orły spadła rzeź — a na mnie skrzydła.

JAN KAZIMIERZ.

(Szczątek dramatu).

SCENA II.

Kwaterna pana Harmidera — w Warszawie.

Pan HARMIDER, Luzak SKÓRKA, SZEWCZYCHA.

HARMIDER. Skórka!

SKÓRKA. Co, wielmożny panie?

HARMIDER. Idź, wykup moję szablę batorówkę od żyda Jankiela; masz dwa tyńfy. Do kroćset furdamentów! Wykup szablę i obetnij żydowi uszy — w procencie!

SKÓRKA. Dobrze panie. (*Wychodzi*).

HARMIDER. Do kroćset furdamentów! Świat cały będzie czerwonego koloru, jak jajko wielkanocne!... Brr, brr... wojna! Pani Szewczycha!

Wchodzi Szewczycha.

Pani Szewczycha, cóż waćpani, jak kometa, nieumyta? Do kroćset furdamentów! Wyjeżdżam na wojnę! Pani Szewczycha! Zróbmy rachunek, pani Szewczycha!

SZEWCZYCHA. Niechaj się jegomość policzy, co winien.

HARMIDER. Do kroćset furdamentów! Policzywszy się z sumieniem, to ja nic nie winien, pani Szewczycha!

SZEW CZYCHA. Nic jegomość nie winien? Mocny Boże!

HARMIDER. Acani mi winna felicitas...¹⁾ bff... do kroćset furdamentów, jakem Litwin! Policz się waćpani z sumieniem, czy waćpani mi nic nie winna?

SZEW CZYCHA. Mocny Boże!

HARMIDER. Wacpani jesteś wdową, a ja mam serce... Sunt consequentiae²⁾. — A wiele ja winien wacpani?

SZEW CZYCHA. Dwa tyńfy i pół na Zielone Świątki; a potem trzy tyńfy dałam jegomości w Kwietnią niedzielę; a przez luzaka Skórkę posłałam, kiedy jegomość siedział in fundo³⁾ za obcięcie nosa burmistrzowi w Klecku...

HARMIDER. Do kroćset furdamentów! Wacpani rachujesz się, jak żydówka. Gdybym był wiedział, nie przyjmowałbym żadnych łask — timeo Danaos⁴⁾ — od wacpani. Ja to wszystko oddam, bo honor czuję w obrażeniu, ale jak oddam, to, pani Szewczycho, zakwitowanie in aeternum... do kroćset! Nie obaczysz mnie więcej. — Nieboszczyk acani mąż miał czerwone oczy, jak królik, a ciało, jak szczypce — i był szewcem; — ja mam w Litwie dobra i wotuję na sejmikach w Nowogródku, a siostra moja jest za panem Kalibajło ze Żmudzi.

¹⁾ = szczęście.

²⁾ = są następstwa, skutki.

³⁾ = w więzieniu.

⁴⁾ Głośne zdanie z II. ks. »Eneidy« Wergilego: »timeo Danaos et dona ferentes« = boję się Greków nawet wtedy, gdy przynoszą dary.

Ale że się wacpani upominasz, to oddam jej co do szeląga. Dzięki Bogu mam w pasie sto czerwonych złotych w gotówce, tylko mi się nie chce wypuszczać brzucha na wolność; ale, jak się będę rozbierał, to oddam wacpani, do kroćset furdamentów, spleśniałe tyńfy, a kwitem wacpani utrę sobie nosa — i basta! Ale kiedy na Rusi obetnę uszy Chmielnickiemu, to zauszniaki daruję Najświętszej Pannie Częstochowskiej, a uszy przyślę wacpani na bigos. Do kroćset furdamentów! Nie spodziewaj się więcej o mnie słyszeć — aż na ostatecznym sądzie, stojąc na lewicy za nieczule serce twoje, pani Szewczycho!...

SZEW CZYCHA. Dlaczego mnie wacpan smucisz, panie Harmider? Dlaczego mnie wacpan smucisz? — Ja się o moję należność nie upominała.

HARMIDER. Ale sumienie moje, mościa Szewczycho, upomina się, a wacpani temu winna jesteś. Cóż? Dlatego, że wacpani miałaś pieniądze, to ja miałem nie jeść i nie pić?!

SZEW CZYCHA. I dobrze jegomość robił..

HARMIDER. Addio, pani Szewczycho! Chowaj moje skrypty, a jeśli ja zginę, to dyabeł sam przyśle swego plenipotentą z pieniędzmi i zapłaci wacpani z mego majątku, bom człowiek honorowy — duszę przedam, a zapłacę com winien, albo pojmem acanią za małżonkę przed świętym ołtarzem. Do kroćset furdamentów! Honor — to nie woda! Pani Szewczycho, znasz mię?

SZEW CZYCHA. Ja?

HARMIDER. Znasz mię, czy nie? — Znasz mię?

SZEW CZYCHA. Znam, jak złego szeląga.

HARMIDER. I ja wacpanią znam, żeś kobieta stateczna: ufaj acani memu sercu, że cię nie opuszczę.

Wchodzi Skórka.

SKÓRKA. Oto jest szabla, wielmożny panie!

HARMIDER. A tyńfy?

SKÓRKA. Oddałem żydowi.

HARMIDER. Bogdajbyś dyabła zjadł! Trzeba było znów od niego pożyczyć, zyskawszy kredyt. Goły jestem, jak święty turecki — poratuj mnie, pani Szewczycho, bo jestem goły!

SZEW CZYCHA. A mówiłeś jegomość, że masz w pa sie dukaty.

HARMIDER. Musiałem szablę wykupić, pani Szewczycho; niech powie Skórka — dałem pięćdziesiąt czątych ¹⁾, żeby szablę wykupić...

Stychać strzały działowe.

Co to? Strzelają z dział?

Wpada otyła rzeźniczka.

RZEŹNICZKA. Gwałtu! Harmider na ulicach! Pali się! Uf, uf, uf... Koniec świata!...

HARMIDER. Skórka, przypasz mi szablę, bo pod brzuchem nie widzę. Cóż to za hałas, pani Otylska, co za hałas?

RZEŹNICZKA. Biją się, wielmożny panie, na ulicach. — Pani podkanclerzyna z bratem swoim, panem Służką, napada na dom pana podkanclerzego, swojego małżonka!

HARMIDER. Widzisz, pani Szewczycho, co to jest

¹⁾ =czerwonych złotych, dukatów.

żenić się z kobietą? Napada dom swojego małżonka! Do kroćset furdamentów! Gdybym miał z sobą sto takich, jak ja, w kawalerskim stanie będących! Trzeba dopomódz panu podkanle-rzemu! Skórka, weź berdysz i za mną!

SZEWczyCHA. Nie laźlbyś jegomość w ogień niepotrzebnie.

HARMIDER. Ja zawsze w ogniu, mościa Szewczycho. Ogień to mój żywioł serdeczny! Skórka, za mną!

SZEWczyCHA. A wyjdźmy i my, pani Otylska, zobaczyć, co się dzieje...

Wychodzą.

SCENA V.

Ulica.

Pan HARMIDER, SKÓRKA.

HARMIDER. Skórka!

SKÓRKA. Słucham, panie!

HARMIDER. Skórka! Dowiedz się u przekupki, którą się to bramą wyjeżdża na Ukrainę, bo ja nie wiem.

SKÓRKA. Oto jakiś szlachcic otyły, który także, jak widać, wyjeżdża na wojnę, jak my! Ten powie panu, gdzie Ukraina.

Nadchodzi pan Bulski.

HARMIDER. Mości wojaku! Jak honor?

BULSKI. Pan Bulski, do usług.

HARMIDER. Pan Harmider, wzajemnie.

BULSKI. Uniżam się do nóg.

HARMIDER. Całuję stopy pana dobrodzieja... Do
stu furdamentów, jaki brzuch!

BULSKI. Czy szkodzi?

HARMIDER. Raduje, mości dobrodzieju! Dobra tu-
sza, to grunt.

BULSKI. A jednak jabym się opasał acana wąsami,
widzi mi się.

HARMIDER. Utnij, panie Bulski!

BULSKI. Wacpan szukasz zaczepki, widzi mi się.

HARMIDER. Jak się podoba, panie Bulski.

BULSKI. Nie od tego...

Biją się.

HARMIDER. Zasapałeś się, panie Bulski! Pocałujmy
się!

BULSKI. Proszę o przyjaźń, panie Harmider!

Ściskają się.

HARMIDER. Do kroćset furdamentów! Aż do ciem-
nego grobu, panie Bulski! — Kto wacpana rodzi?

BULSKI. Stolnikówna rawska, widzi mi się.

HARMIDER. Bardzom rad. — Skórka!

SKÓRKA. Słucham, panie!

HARMIDER. Pobież do kwatery! Niech pani Szew-
czycha przygotuje wieczerzę — zyskałem przyja-
ciela! Wróćmy się, panie Bulski; po pojedynku
trzeba odpocząć!

BULSKI. Regiment w marszu, panie Harmider!

HARMIDER. Dopędzimy go, panie Bulski! — Po-
czeka!

Wychodzą.

SCENA VI.

W Zbarażu.

FIRLEJ, KONIECPOLSKI.

FIRLEJ. Cóż dumasz, panie Koniecpolski? — Pono
Zegar co bije w zbaraskim kościółku,
Wkrótce zadzwoni ostatnią godzinę
Dla nas, przez króla tutaj zapomnianych.

KONIECPOLSKI. Czegóż czekamy, mości kasztelanie
Bełski, Firleju, za tymi okopy?
Aż głód wyniszczy, aż trupów fetory,
Które tu strasznym swędem zalatują,
Wyniszczą wojsko, poddać się przymuszają?
Już dwa miesiące trzymamy się tego;
Dwadzieścia szturmów odparliśmy raźnie!
Nie jest to obóz, ale zarażona
Mogila, która zastępuje drogę
Krwawym Kozakom. Konie ich nie śmieją
Przeskoczyć przez wał trupi i na Polskę
Lecieć galopem. — Biada narodowi,
Który pozwala tak rycerzom ginać!

Wchodzi księżę Wiśniowiecki.

KS. WIŚNIEWIECKI. Cóż, jak wam zdrowie służy,
[moje pany?

Cóż, czy podoba się wam Ukraina?
Firlej — to człowiek, lecz ty, mości panie
Regimentarzu, w bakaliach chowany,
Musisz za matką tęsknić? — Coś mi smutny!
Czy zachorował wam kucharz francuski?
Czy dał w pasztecie wam kozackie uszy
Frykasowane, czy łopatkę końską
Niedopieczoną? — Zamknąłem się z wami,

Chociaż nie hetman, ani regimentarz —

Zrobiono ze mnie ciurę, lecz myślałem,

Że się na waszym stole odjem suto,

Dlatego się tu zamknąłem w Zbarażu.

Pfu! Ani jadła — ni konsyderacyi!

KONIECPOLSKI. Jestże to zbawca nasz, Jeremiasz

Który nas ręką żelazną obrania, [książę,

A potem szydzi — i tak sobie płaci

Za pomoc swoją, jakby nigdy nie znał,

Na czym zależy rycerza szlachetność?

KS. WIŚNIOWIECKI. Ja nie szlachetny jestem, ale

[głupi,

Żem się tak zamknął z wami, jak szczur stary;

Mogliście sobie wszyscy i bezemnie

Odwiedzić Stambuł. — Hej, który z kozaków!

KOZAK. Co książę każe? Szczę batuszka każe?

KS. WIŚNIOWIECKI. Zapalić ten dom żyda, bo mi
ciemno!

FIRLEJ. Żartujesz, książę — w tym domu są prochy.

KS. WIŚNIOWIECKI. Staruszk, słuchaj, powąchaj

[się tylko!

Już pachniesz trupem — i ja — i ten młokos...

Jak ci nazwisko? — Bo pamiętam tylko,

Żeś regimentarz jest — z mlekiem pod brodą.

A gdzieś ty podział twoich towarzyszy,

Pierzynę i Łacinę? Co się tyczy

Prochów — wysadźmy się w drogę, panowie,

Aż do Najświętszej gdzieś Maryi Panny

W gości! Bo niech mię dyabli, jeśli jutro

Kozacy z nas nie zrobią jajecznicy!

KOZAK. Od Chmielnickiego przybył trębacz i chłop.

KS. WIŚNIEWIECKI. Do nich się udaj, do regimenu-
[tarzy —

Ja się tu liczę między proste ciury.

FIRLEJ. Wprowadzić tutaj kozackiego posła!

Wchodzi Posel.

POSEŁ. Zdrowie, panowie szlachta!

FIRLEJ. Z czym przybywasz?

POSEŁ. Pany hetmany! Chmielnicki przysła,

Ażebyście się wnet poddali wszyscy

Na łaskę jego. Wolność wam przyrzeka,

Cało wypuści was z obozem waszym;

Jednego tylko księcia Jeremiasza

Wiśniowieckiego zatrzyma w niewoli,

Aby za naszą krew kozacką, gwałty,

Tortury, pastwy — odpowiadał głową.

FIRLEJ. Na taką mowę niema odpowiedzi...

KONIECPOLSKI. Owszem, odpowiedź jest! Weźcie

[Kozaka

I głową jego nabijcie harmatę!

POSEŁ. Za moją głowę Chmielnicki odeśle

Wam tysiąc szlachty czerepów wąsatych,

Tak, że wasza artyleria skropi

Deszczem z krwi waszych bratów i obryzga!

FIRLEJ. Powiedz tam panu Chmielnickiemu od nas,

Że propozycja jego Firlejowi

Włos poczerniła siwy — krew zażęgła

Ogniem młodości! — Niech posyła więcej

Odmładniających takich kosmetyków,

A nawet trupy nasze wstaną z grobów

I, oburzone, za broń chwycą rdzawą!

Jeremiasza chcecie? Co? — Dlaczegoż

Nie żądaliście z każdego serca

Po funcie mięsa? Z każdej naszej żyły
Po kwarcie żywej krwi? Z każdego oka...

.
.
.

ZŁOTA CZASZKA.

(Fragment dramatu).

OSOBY:

PAN KONIECPOLSKI, alias GWINT.
ZŁOTA CZASZKA, strażnik krzemieniecki.
PANI STRAŻNIKOWA, jego żona.
PANNA AGNIESZKA, jego córka.
PAN GĄSKA, regent.
PAN MIŁOWICZ, szlachcic.
KSIĄDZ PROWINCYAŁ franciszkański.
INNY KSIĄDZ.
ZAKRYSTYAN.
JANKIEL, żyd, arendarz.
STANISŁAW, skrybent.
JAN KLEOFAS studenci od Jezuitów.
SZAWEL
MAGDA, dziewczka.
SKOPEK, kaleka.

Rzecz dzieje się w Krzemieńcu — za panowania
Jana Kazimierza.

AKT I.

SCENA I.

Stancijka Stanisława.

STANISŁAW — JAN — *później* GĄSKA.

STANISŁAW. Cóż tam, panie Janie? Żle słyhać!
Podobno, że pan strażnik krzemieniecki, Złota

Czaszka, wydaje córkę swoją, pannę Agnieszkę, za pana regenta Gąskę... A cóż będzie z wacpanem?

JAN. Będzie, co Bóg zechce.

STANISŁAW. Zdaje mi się, że trzebaby złemu zapobiedz.

JAN. A jakim sposobem?

STANISŁAW. Pana Gąskę od małżeństwa odstraszyć! Słuchaj, ja ćwik! Znasz mnie; jeżeli chcesz, to służę. Oto naprzód, patrz — wykleiłem sobie wertep ¹⁾ z papieru i będę chodził po domach, pokazując dyabła i anioła. To mi przyniesie kilka groszy i będzie czem Boże Narodzenie pokropić. A wacpana podobno z domu strażnika wypędzono? — Otóż pomaluj sobie korkiem brwi, naucz się kolędy, a ja wacpanu wejście do domu pana Strażnika ułatwię. Pomówisz z panną Agnieszką w ciemnym kącie, a ja dziatwie i starym będę pokazywał dyabła w wertepie.

JAN. Cóż ja jej powiem? — Ja jestem ubogi...

Pan regent jasnych atłasów naniesie,
Przyjedzie końmi karemi w kolesie,
Opowie, jakie ma pod domem stogi,
Jakie baranów, owiec pełne góry,
Jak te barany jutro w Berdyczowie
Przemieni w pereł kałakuckich sznury
I ją ubierze — że, jak aniołowie,
Będzie świeciła między siostry swemi,
Okryta blaskiem i gwiazdy złotemi!
A ja — co powiem? Ja, student, żak szkolny,

¹⁾ = szopkę.

Co ja przyniosę?... Czy bławatek polny?
Czy narcyz biały? — Tu cały fundament:
Urząd, podkówki srebrne, aksamity;
Potrzeba czasem wyprawić traktament,
Potrzeba miejskie plotkarki, kobiety
Przynęcić i mieć wszystkie poza sobą —
A wiesz, że moja biedna matka wdowa...
Jedna jest tylko u nas w domu krowa —
I ta nie daje mleka — a ozdobą
Domu naszego jest bocian na dachu
Zamiast blaszanej z herbem chorągiewki;
U matki mojej przędą biedne dziewczki —
Ona sprzedaje płótno... Tak, mój Stachu!...
Być mi żołnierzem, nie Strażnika zięciem!
STANISŁAW. Wiem, że nie jesteś hrabią, ani księ-
[ciem —

Ale pan Strażnik także nie majestat.
Wacpan się tylko strój, niech panna kocha...
Lecz ot — ktoś wchodzi.

Wchodzi Gaska.

Co widzę? Pan Gaska!

GĄSKA. Czy tu mieszka pan Stanisław, skrybent?

STANISŁAW. Ja jestem, do usług w. pana.

GĄSKA. Hum... czy wacpan komponujesz wiersze?

STANISŁAW. Komponuję. Co w. pan rozkaże?

GĄSKA. Radbym mieć wierszem ułożoną kolędę...
amoroso... w sposobie miłosnym... dla jednej
panny, dla której man afekt i postanowienie.

JAN. Dla Agnieszki!...

GĄSKA. Skomponuj mi wacpan i napisz na welino-
wym papierze; rozumiesz? Na wierzchu mają być
kaligraficznie wydane dwa serca, jednemu uległe

postrzałowi; strzała srebrna, mocium panie, prze-
szywająca na wylot; pod spodem miejsce na pod-
pis... i jakie łacińskie symptoma ¹⁾).

STANISŁAW. Rozumiem, w. panie.

GĄSKA. Co za to będzie należało, zapłacę. A proszę,
aby dobrze było rezonowane — i asumpt z wy-
soka. Masz zadatek!

Wychodzi.

STANISŁAW. Dukata rzucił! Niech go dyabli! Du-
kata rzucił! Wiesz ty co?... Że.. panna Agnieszka...
e... e... e... Dukata rzucił!... Idź na żołnierza... Idź
na żołnierza! Tu niema co robić gołemu człowie-
kowi, gołemu, jak bizunus. Niech go dyabli, jak
płaci!

Póki nie obrośniesz pierzem,
Póki masz pchły za kołnierzem,
Requiescas! ²⁾)

Uf! To jakiś studukatowy szlachcic! — Chodź na
wino do Jankiela!

Póki nie ustrzyże Parka ³⁾),
Żydóweczka nam, szynkarka,
Lej, lej, lej!
Adonisie,
Z miłości się
Śmieję, śmieję, śmieję!

Chodź do Jankiela na wino!

JAN. Lecz co będzie z moją miłością!

¹⁾ = znak, odpowiednie zdanie łacińskie.

²⁾ = spoczywaj, siedź cicho.

³⁾ T. j. póki mityczna Parka nie przetnie nici twojego
życia, póki nie umrzesz.

STANISŁAW. Co? — Czy ja wiem, co będzie z twoją miłością? Zatknij kwiat do czapki, ubierz się fantastycznie — i złap sobie jaką ciepłą wdowę, co ma pieniądze...

Wychodzą.

SCENA II.

Szynk w zajezdnym domu.

PAN KONIECPOLSKI — JANKIEL, SZYNKARZ.

JANKIEL. Nu, a co tam słyhać w Krakowie?

KONIECPOLSKI. Żle, żydzie, słyhać! Szwedy w Krakowie, a kozaki na Podolu — a jeszcze i Rakocy ciągnie. Król Jan Kazimierz nie ma piędzi ziemi w Polsce.

JANKIEL. Nu, tak cóż on zrobi? A gdzie on?

KONIECPOLSKI. W górach karpackich siedzi.

JANKIEL. A co będzie, jak z gór wypędzą?

KONIECPOLSKI. To pójdzie za góry.

JANKIEL. A co będzie, jak za góry za nim pójdą?

KONIECPOLSKI. Gałganie żydzie, co ty mi pędzasz króla, jak Hamana? Zrobimy tu konfederacyą i wypędzimy Szwedów!

JANKIEL. Ja nie przeczę...

KONIECPOLSKI. Kto tu ma największe między szlachtą znaczenie?

JANKIEL. Tak tu różnych jest panów, ale najbojowszy pan, to pan Strażnik, co dostał złotej czaszki.

KONIECPOLSKI. Wytlómacz się, żydzie!

JANKIEL. Tak to niewielki pan, ale kochany bardzo i między swemi i między nas, żydków. Tak to pan, co miał stłuczony łeb, a sprawił sobie złotą

głowę, jak moja Siora, co nosi perły na głowie i brylanty. On ma złoty łeb — i dobry łeb — i stary łeb! Pani Strażnikowa to dobra kobieta; jest i panienka w domu, cymes panienka, a idzie za mąż za bogatego szlachcica...

KONIECPOLSKI. Gdzie mieszkają ci państwo?

JANKIEL. A pan idź na prawo; tam jest nad potokiem nad górą dworek biały i dwie lipy; tam państwo wielmożni Strażnikowie mieszkają ¹⁾).

KONIECPOLSKI. Trzeba mi do nich zapukać.

Wychodzi.

JANKIEL. To jakiś haraburda! Przyszedł robić szablisko... A czego on tu? Handel upadnie przez niego; przyszedł robić zabij — wytnij — morduj! Ja nie widzę, żeby ten król był potrzebny, kiedy się bez niego obeszło... Trzeba mi zobaczyć, gdzie on idzie.

Wychodzi.

SCENA III.

Piekarnia w domu Strażnikowstwa.

PAN STRAŻNIK I PANI STRAŻNIKOWA.

P. STRAŻNIK. A cóż? Każ, serce, niech się dziewczki zejda na kolędę! Czy rozdałaś im wstążki?

P. STRAŻNIKOWA. Dałam każdej po wstążce i po tynfie ²⁾). Kontente... Ambrożemu nie dałam nic gotówką, boby się upił, ale kupiłam czapkę z barankiem...

¹⁾ Tak wyglądał dworek w Krzemieńcu, w którym poeta spędził część swego dzieciństwa.

²⁾ Drobną monetą polską.

P. STRAŻNIK. A Gnusi coś dała?

P. STRAŻNIKOWA. Kornecik ¹⁾ z czarnej koronki z różami.

P. STRAŻNIK. A ja tobie co dam?

P. STRAŻNIKOWA. Nie szalej, dziadu! Czy ja jeszcze głodna na twoje fatałachy?... Ot wiesz, co? Spraw Gnusi złotem szyte trzewiczki na korkach.

PAN STRAŻNIK. A weź, serce, na to z biurka pieniądze i daj odemnie.

Schodzą się dziewczki.

No, dziewczęta, poprawcie kagańca i zaśpiewajmy o Bożem Narodzeniu. Serce, każ Gnusi, niech przyjdzie.

Śpiewają.

Chrystus Pan się narodził,

Świat się cały odmłodził

Et mentes ²⁾);

Nad sianem, nad żłóbeczkiem

Aniołek z aniołeczkiem

Ridentes ³⁾).

Przyleciały wróbelki

Do Panny Zbawicielki

Cantantes ⁴⁾);

Przyleciały łańcuchy

Łabędzi, srebrne puchy

Mutantes ⁵⁾).

¹⁾ Rodzaj kobiecego okrycia głowy.

²⁾ I umysły.

³⁾ Śmiejąc się.

⁴⁾ Śpiewając.

⁵⁾ Zmieniając.

Puchu wzięła troszeczkę,
Zrobiła poduszeczkę
Dzieciątku;
Potem je położyła
I sianem je nakryła
W żłobiątku.

AGNIESZKA *wchodzi*. Tatku, jakiś pan chce z tatkiem mówić.

P. STRAŻNIK. Proś go tu, do piekarni.

Agnieszka wychodzi.

P. KONIECPOLSKI (*wchodzi*). Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

P. STRAŻNIK. Na wieki wieków! — Kto wacpan jesteś?

P. KONIECPOLSKI. Jestem wojak, mości dobrodzieju!

P. STRAŻNIK. A z jakich stron?

P. KONIECPOLSKI. Z Ukrainy.

P. STRAŻNIK. A jak godność?

P. KONIECPOLSKI. Nazywam się Gwint.

P. STRAŻNIK. Familia acana dobrodzieja mi nieznajoma.

P. KONIECPOLSKI. Wierzę; jestem z małej szlachty.

P. STRAŻNIK. Ja także z małej...

P. KONIECPOLSKI. Ale, jak słyszałem, z tęgiej?

P. STRAŻNIK. Tak sobie! — Czemże mogę służyć acanu dobrodziejowi? Dziś dzień święty; zastałeś mię, że z ludźmi śpiewałem kolędę. Siadaj wacpan! — Magdo, przynieś sztofik z szafki i pierniczki... Proszę, siadaj wać!...

P. KONIECPOLSKI. Prosto wacpanu dobrodziejowi powiem, że przyjechałem tu robić konfederacyą.

P. STRAŻNIK. U nas?

P. KONIECPOLSKI. Czy to wacpana dziwi?

P. STRAŻNIK. Miasteczko żydowskie, mościdgeju!...

P. KONIECPOLSKI. Ale przecież tu mieszka i szlachta?

P. STRAŻNIK. Są, są, ale nie tędy!

P. KONIECPOLSKI. Uważasz wacpan, że tu nie tak chodzi o rzecz, któraby miała szczęśliwy sukces, jak o danie pierwsze hasła narodowi, niszczoneму przez Szwedów i Kozaków. Wszak wacpan służyłeś w wojsku?

P. STRAŻNIK. Dotknij wać palcem; czy czujesz?... Twardy mam łeb! Z kruszcu, mości dobrodzieju! Widać, że byłem cięty.

P. KONIECPOLSKI. Słyszałem.

P. STRAŻNIK. Więc wacpan jesteś przysłany dla zrobienia konfederacyi?... A kto przysyła? Czy wolno spytać, kto przysyła?

P. KONIECPOLSKI. Oto jest list.

P. STRAŻNIK. Gnusiu!

Wchodzi panna Agnieszka.

P. AGNIESZKA. Co, tatku?

P. STRAŻNIK. Daj mi okulary... Widzisz, jaką mam tęgą dziewczkę! Słabe, to, sucherlawe, ale nieszpette, co?

P. KONIECPOLSKI. Przystojna panna!

P. STRAŻNIK. I dobra... *Bierze okulary.* Idź precz, bo tu my mamy z sobą do pomówienia. *Czyta.* Więc wacpana sam król upoważnił? Ha! *Wstaje.* Zrobimy, co się da... zrobimy... Jutro, wysłuchawszy trzech mszy u Franciszkanów, sproszę tu pa-

nów braci szlachtę — i wypróbuję... A gdzie wacpan mieszkasz?

P. KONIECPOLSKI. U żyda Jankiela.

P. STRAŻNIK. Przenieś się do mnie, tu będzie wygodniej.

P. KONIECPOLSKI. Nie długo tu bawię, więc nie chciałbym wacpanu dobrodziejowi domu przewracać do góry nogami.

P. STRAŻNIK. Jak wola; szczerem sercem proszę.
Konieczpolski wychodzi.

Gnusiu, zawołaj mi matki!

Wchodzi Strażnikowa.

P. STRAŻNIKOWA. A co, serce?

P. STRAŻNIK. Jutro, serce, będziemy mieli wiele gości; przygotuj się na to, serduniu.

P. STRAŻNIKOWA. Z jakimże to deszczem spadną ci goście?

P. STRAŻNIK. Spadną, bo zaproszę; więcej babom wiedzieć nie trzeba. A słuchajno, serce! Trzebaby, żeby już ten pan Gaska, były marszałek, z naszą córką skończył, bo my nie długowieczni, a spadek niewielki. Cóż, czy ona się przychyła?

P. STRAŻNIKOWA. Nie męcz dziecka!

P. STRAŻNIK. Wacpani jesteś nadto powolna.
W tych czasach trzeba trochę musu.

P. STRAŻNIKOWA. Ale daj czas!

P. STRAŻNIK. Bhu! Bhu!

P. STRAŻNIKOWA. Cóż to tak parskasz, dziadu?

P. STRAŻNIK. Przygotuj wacpani córkę, bo się lękam, że pierwszej mi zadzwonią na pogrzeb, niż na córki wesele.

P. STRAŻNIKOWA. Idź spać, idź spać, zrzedo, pro-
roku czarny!

P. STRAŻNIK. Dobrej nocy, moja babo!

Wychodzi.

P. STRAŻNIKOWA. Biedna moja Gnusia! Iść za ta-
kiego drewnianego człowieka w aksamicie!... Gnu-
siu, a chodź tu!

AGNIESZKA. Co, mamó?

P. STRAŻNIKOWA. Staremu się coś ubrzydało, chce
koniecznie przyspieszyć twoje wesele.

AGNIESZKA. O nie! O nie! Niech mnie mama broni,
póki można!

P. STRAŻNIKOWA. Cóż ja będę zawsze ciebie bro-
nić?... Trzeba, żebyś się zdecydowała! Pan Gąska
przysłał podarunki. Magdo! Dobądźno tam z ko-
mody zawinięcie w jedwabnej płachcie i przy-
nieś... *Magda przynosi.* Widzisz? Więcej tu jest
złota, niż ty warta, błaznico! Łokieć tej koronki
kosztuje pewnie dwa holenderskie dukaty. Jan-
kielowa mi dawała czternaście tynfów bez targu...
Cóż ty się tak skrzywiła? Smorgońska fioko, fiu...
fiu w głowie; przefuchasz ty panieństwo i zosta-
niesz na koszu. Magdusiu, przypnij jej do głowy
tego narcyza!

AGNIESZKA. Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

Wyrywa kwiat i depce go nogami.

P. STRAŻNIKOWA. Ale Gnusiu, coź będzie? Trzeba
panu Gąsce coś odpowiedzieć!

AGNIESZKA. Niech czeka.

P. STRAŻNIKOWA. Więc mu nie rekuzujesz? ¹⁾

¹⁾ = odmawiasz, odrzucasz.

AGNIESZKA. Rekuzuję.

P. STRAŻNIKOWA. Ale Gnusiu, ojciec chce...

AGNIESZKA. Mało czego ojciec chce! Powiedz mu mama, że ja za młoda, że jeszcze nie mam do stanu małżeńskiego powołania.

P. STRAŻNIKOWA. A skąd ty się nauczyła takich ekskuz¹⁾), moja panno? Skąd takie kaprysy?... Za młoda! W twoim wieku już byłam matką Michała — niechaj Pan Bóg świeci dziecięciu! Byłby już teraz wojakiem, gdyby żył... Bóg daje, Bóg odbiera; niech będzie jego wola przenajświętsza!... Ja widzę z miarki twojej na gorsecie, że ci czas na męża; namyśl się, bo okazyja, raz stracona, nie wraca. Ja nie bardzom także kochała mego szczygła ze złotą głową i z podrażaną wargą, kiedym szła za niego — a teraz mi z nim dobrze. Trzy razy już adamaszek na kotarach naszego łóżka zblakował, a Bóg widzi, że nigdy nie odwróciłam się w gniewie od mego dziada, ani w niechęci zasypiałam. Pamiętaj, Gnusiu, że małżeństwo, to nie pierwsza para w draganta, co, jak skrzypak przestanie digać swoje, tak i ona przestanie tańcować. Małżeństwo, to sakrament!... A jak nas Bóg zabierze, to przy kim ty się uwieszisz?... A pamiętasz, jak odwiedzaliśmy siostrę moję, zakonnicę, we Lwowie? Pierniczkami cię nakarmiła, fioków papierowych nasypała do fartucha — i płakała! Wiesz ty, czego płakała? Bo się jej chciało dyrnać z klasztoru i być choćby żoną chłopca, a nie zakonnicą! Pamiętaj, pamiętaj!

¹⁾ = wymówek.

AGNIESZKA. Czy mama się od księdza przeora nauczyła gadać kazanie?

P. STRAŻNIKOWA. Błażnico jedna, przyganasz ty matce?! — Myłam to, chesałam to, póki było młode, a teraz mam na starość autorament¹⁾ w tej mendeweszce! A chore to, a nędzne to, a strzeż, jak porcynelę na stoliku! No, jeśli mi ty się stłuczesz, kraszanko!²⁾ Pamiętaj! Pókiś cała, to jeszcze dbam o ciebie; ale jeśli mi się stłuczesz...

AGNIESZKA. Co mama gada?

Wychodzi.

P. STRAŻNIKOWA. Zaczzerwieniła się. — Magdusiul!

MAGDA. Co, imość?

P. STRAŻNIKOWA. Nic, nic! Obudzisz mię jutro, jak świt, i rozczytniesz ciasto w nieckach wielkich. Jegomość zapowiedział gości.

Wychodzi.

SCENA IV.

Dom zajezdny. Noc.

P. JAN I P. SZAWEL, STUDENCI — JANKIEL.

SZAWEL. Jankiel, wina!

JANKIEL. A kto płaci?

SZAWEL. Wina, żydzie!

JANKIEL. A kto funduje? Wacpanowie studenty, nie ojce familiom.

SZAWEL. Wina, żydzie! Masz dukata!

¹⁾ =powagę, zwierzchność.

²⁾ Rodzaj pisanki.

JANKIEL. Nu, kiedy dukata, to dukata... *Kłania się.*

A jakiego wina?

SZAWEL. Jakie ksiądz gwardyan franciszkański
pije w piątek.

JANKIEL. Zaraz przyjdzie.

Wychodzi.

SZAWEL. I cóż dalej było z twoją miłością, Kleofazissime?

JAN. Co dnia o godzinie piątej rano chodziłem na ulicy około dworku pana Strażnika, czatując, jak będzie otwierała okiennice. Suka czarna, Znajda, już nie szczekała na mnie; okiennice także, które zrazu skrzypiały na zawiasach, zaczęły się otwierać cicho, jakby je kto namaścił oliwą. Kamień był jeden pod murem na złamaniu ulicy, gdzie siadywałem z wielką zawsze konfuzyą et incertitudine...¹⁾)

Żyd przynosi wino.

SZAWEL. Podlej gardła!

JANKIEL. Dobranoc, jw. panowie studenty! A zgasicie szabasówkę, idąc precz.

SZAWEL. I podpalimy karczmę.

JANKIEL. A zaco karczmę?

SZAWEL. Za to, że ukrzyżowała pana naszego, Jezusa Chrystusa! Rozumiesz, żydzie?

JANKIEL. Nu, karczma nie winna.

Rusza ramionami i wychodzi.

SZAWEL. Cóż dalej?

JAN. Co dnia więc o rannej zorzy
Stawała mi w okiennicy;

¹⁾) = z wielką nieśmiałością i w niepewności.

Czekałem, aż okno otworzy,
I, tak, jak od błyskawicy,
Śleplem, białością olśnięty.

SZAWEL. Rozumiem.

JAN. Oczy jej, to dyamenty,
Morską napelnione falą —
Zielone, gwiazdowe, przeczyste,
Jak błyskawica ogniste,
Leją się strumieniem, palą;
Odwrócić się od nich nie można...

SZAWEL. Oczy zielone...

JAN. Pobożna!

Widziałem, jak w usta bierze
Nieco powietrza i słońca
I czyste mówi pacierze
I w pierś bije się bez końca.
»Moja winna, moja winna!«...
Niewinna mówi dziewczyna,
Złocista w słońca promyku;
A u mej białej dziewczki
Dwie róże, jak aniołeczki,
Siedzą w białym korneciku
I słuchają — i śmieją się z win...

SZAWEL. Potem dzwonnik franciszkański

Zadzwoni na Anioł Pański
Din-don-din, din-don-din...
A ty uciekasz. Wszak tak?

JAN. Potem w swoje ręce bierze,
Jak Iris, tęczowy szlak ¹⁾
I, mówiąc ranne pacierze,

¹⁾ Irys, w mitologii greckiej uosobienie tęczy.

Jasna cała, jak lilija,
Ślicznych jeszcze pełna kras,
Ojcu jasny trzyma pas;
A on się w tęczę obwija,
Poważnie się kręcąc wokoło.
Potem ją całuje w czoło
I w złotym pasie wychodzi
Pod lipy...

SZAWEL. Tatko dobrodziej!...

Słuchaj! — i tak zawsze z daleka patrzysz?

JAN. Tak zawsze patrzę z daleka,
Jak z jej rąk tęczą ucieka —
Jak gołębie z ustek jedzą —
Jak w kornecie białym siedzą
Wielkie, rozkwitnięte róże...
Myślami jej w pracy pomagam,
Myślami, jak pacholek, jej służę;
Gdy ją dotknę myślą, to się wzdragam
I przepraszam na kolanach,
Jak Naświętszą Pannę Maryą.

SZAWEL. Her Jezus! Ten młokos zwaryował!

JAN. Coś mi śpiewa w domu ścianach,
Jakby je ze strun budował
Dla serc, co młodością biją,
Jaki anioł-budowniczy!...
Kiedy powraca z pastwiska
Wieczorem ich krowa i ryczy,
Czy z daleka, czyli z bliska,
Czy ryknie na światło księżycy —
Znam, gdy głos leci z gościńca,
I znam, kiedy jałowica
Woła z kochanki dziedzińca...

SZAWEL. Her Jezus! Zwaryował! Gada, jak pozytywek. Podlej gardła! Lecz ciebie z domu wypędzono?

JAN. Nie wspominaj mi!

SZAWEL. Pan Strażnik powiedział, jak słyszałem, że masz obdarte łokcie.

JAN. Kto ci to mówił?

SZAWEL. Nie żzymaj się!...

JAN. Kto śmiał... powtórzyć?!

SZAWEL. Widzisz? — Zdradziłeś się! Więc nazwał ciebie obdartusem, a ty cierpisz!...

JAN. Ja...

SZAWEL. I plamisz w osobie swojej honor szkół! Szkolną famę, w obeldze umoczoną, gnoisz! Na furdament pałasza, jeśli jej nie uwiedziesz, będziesz kpem!

JAN. Zgubić ją?

SZAWEL. Cóż to? Czy ty nie wart córki strażnika Złotoczaszki? Alboż to on senator? — Idź wać pod okno, już zaczyna szarzyć powietrze; a staraj się, aby ci wyznaczyła schadzkę. O to się tylko staraj!
Wychodzą.

AKT II.

SCENA I.

Sień w domu Strażnika.

PANI STRAŻNIKOWA — MAGDA.

P. STRAŻNIKOWA. Magdo, Kachno, wstawajcie! W kadzi niema wody; Ambroży leniuch, zmyję mu głowę. Magdo, Kachno, a dać kurom jeść!... Ave Maria... Magdo! Magdo! Magdo!

Wchodzi Magda.

MAGDA. Jestem, pani.

P. STRAŻNIKOWA. Śpiocho ty! Idź mi, obudź panienkę... *Magda wychodzi.* Zrobię jeden mazurek szafranowy i z cykaty wylepię na nim cyfrę Gnusi... Drugi mazurek biały, z cyfrą pana Gąski... Nie, przeciwnie; na żółtym będzie cyfra pana Gąski, bo pan młody także żółty... *Wchodzi Magda.* A cóż panienka?

MAGDA. Zaraz przyjdzie... Nie śpi już.

P. STRAŻNIKOWA. Nie śpi już?

MAGDA. Podlewała na oknie narcyzy, jak weszłam do pokoju.

P. STRAŻNIKOWA. Podlewała narcyzy?... Gnusiu! Gnusiu!

PN. AGNIESZKA *z pokoju.* Zaraz! Zaraz idę!

P. STRAŻNIKOWA. Czy ubrana była panienka?

MAGDA. Zasznurowana, ale jeszcze nie włożyła jupki i nie zdjęła kornetu.

P. STRAŻNIKOWA. Zasznurowana?... Gnusiu! Gnusiu!

Wchodzi pn. Agnieszka.

PN. AGNIESZKA. Jestem, mamó...

P. STRAŻNIKOWA. A dlaczego ty tak rano wstała?

PN. AGNIESZKA. Przez serduszko mojej okiennicy wchodzi słońce i zawsze mi bije w same oczy... A potem ten Skopek, co to wiesz, mamó, ma Walentego chorobę i mnie ciocią nazywa, spał, wiadać, na naszym dziedzińcu dziś na gnoju i tak chrapał, że spać nie dał... Ot — i on wchodzi do sieni... biedne stworzenie, sparaliżowane!...

SKOPEK. Tiotia, daj jeść!

P. STRAŻNIKOWA. Magdo, przynieś mu obwarzanka!

SKOPEK. Tiotia! Ja tiotię kocham! Tiotia, ja tego skubenta kijem... tak, tak, tak! Jak mamę kocham!... Czego łązi?

PN. AGNIESZKA. Jak się on ślini! — Daj mu co, Magdo, i wypraw!

MAGDA. No, idź precz!

SKOPEK. Hi, hi, hi! Magda krowa!...

Posyła buziaka ręką pn. Agnusi i wychodzi.

Wchodzi p. Strażnik z drzwi drugich.

P. STRAŻNIK. No, kobiety, zwijajcie się! A potem do kościoła XX. Franciszkanów; będzie tam wielki festyn! — Moje serce, czy mi dobrze w tym kontuszu? Coś mi go Josiel ciasno skroił, co?

P. STRAŻNIKOWA. Mnie się zdaje, że w sam raz. Bo ty zawsze chcesz być, jak wilk w worku.

P. STRAŻNIK. Gnusiu, a przybierz się acanna do kościoła, jak wypada. *Wychodzi.*

P. STRAŻNIKOWA. Do piekarni! Do piekarni, mieść ciasto! Gnusiu, weź z poza zwierciadła receptę na marcypanowe ciasto i przynieś! *Wychodzą.*

SCENA II.

Zakrysta Franciszkanów.

ZAKRYSTYAN. *Później* PAN STRAŻNIK.

ZAKRYSTYAN. Nuż, chłopcy! Zamiatać, a żwawo!

Wchodzi p. Strażnik.

Cóż tak rano sprowadza wacpana dobrodzieja?

P. STRAŻNIK. Przewielebny ksiądz gwardyan jeszcze nie wstał?

ZAKRYSTYAN. Wczasuje się jeszcze, mości dobrodzieju.

P. STRAŻNIK. Zaczekam.

Zakrystyan podaje stół. Strażnik siada i opiera się na złotej lasce, dumając; Zakrystyan tymczasem fałduje obrusy, nalewa ampulki i obciera z pyłu krucyfiksy. — Wchodzi ksiądz, klania się Strażnikowi, potem idzie do stołów i ubiera się w ornat. — Cisza głęboka. — Wchodzi gwardyan. Pan Strażnik wstaje.

P. STRAŻNIK. Witam ojca gwardyana. *Całuje w rękę.*

X. GWARDYAN. A! Pan Strażnik!

P. STRAŻNIK. Proszę o posłuchanie.

X. GWARDYAN. Czy w potrzebie sumienia, jako księdza, czyli w świeckim interesie?

P. STRAŻNIK. W świeckiej sprawie.

X. GWARDYAN. Siadaj wacan dobrodziej!

P. STRAŻNIK. Przystąpię do rzeczy bez exordium ¹⁾. Otóż, mości dobrodzieju, winienem powiedzieć, iż tej nocy otrzymałem ordynans ²⁾ od j. k. mości, abym w mieście tutejszym zrobił konfederacyą w protestacyi przeciwko wrogom ojczyzny naszej, ująwszy się za sprawą j. k. mości aż do ostatniej kropli krwi mojej...

X. GWARDYAN. Domine Jesu Christe, da nobis pacem! ³⁾ — Konfederacyą?!

P. STRAŻNIK. Wysap się acan dobrodziej i umityguj się ⁴⁾.

¹⁾ Bez wstępu.

²⁾ Polecenie.

³⁾ Panie Jezusie Chrystusie, użyż nam pokoju!

⁴⁾ = uspokój się.

X. GWARDYAN *siada i składa ręce na brzuchu.*
Słucham acana dobrodzieja.

P. STRAŻNIK. Gdybyśmy na konsystencji ¹⁾ mieli u siebie chorągiew pancerną, albo komputowe wojsko, rzecz byłaby łatwa. W takim razie ja, albo wacan, zwołujemy koło chorągwiane; wychodzę, mości dobrodzieju, naprzód, mając za sobą plecami acana dobrodzieja — i, odwoławszy się do czystych rycerskich serc, zyskujemy, że z pomiędzy grona naszego wysłana jest deputacya do jwpana regimentarza, w przełożeniu i z wszelką submisją ²⁾ żądająca, aby się zgodził w sprawie publicznej na rzecz, prędkiego potrzebującą ratunku i zadowolenia. Rozumiesz wacpan dobrodziej?

X. GWARDYAN. Z chorągwią rzecz byłaby łatwa...

P. STRAŻNIK. Lecz my nie mamy chorągwi!...

X. GWARDYAN. Otóż to, że my nie mamy chorągwi!...

P. STRAŻNIK. Że trzeba bicz z piasku ukręcić...

X. GWARDYAN. Otóż to jest, że trzeba bicz z piasku ukręcić...

P. STRAŻNIK. A jakże go ukręcić, mości dobrodzieju?

X. GWARDYAN. Ha!...

P. STRAŻNIK. Nie poddawaj się nagłej rozpaczycy acan dobrodziej! Rzec się da zrobić.

X. GWARDYAN. Trudno!

P. STRAŻNIK. Ja wiem, że trudno; ale Panu Bogu

¹⁾ = załodze.

²⁾ = z pokorą.

wszystko jest podobieństwem! — Nim co będzie, każ wacpan bić we dzwony i poślij cztery trąby na wieżę!

X. GWARDYAN. Więc sądzisz wacpan dobrodziej, że, jak dzwony uderzą i zatrąbią marsza festynego, to... to...

P. STRAŻNIK. To zbierze się cała szlachta, tu osiadła, do kościoła.

X. GWARDYAN. Masz rację.

P. STRAŻNIK. I wacpan, wielebny ojcze, raczysz ze zwykłym darem przekonywania przemówić z ambony, zagrzewając serca ku ratunkowi ojczyzny.

X. GWARDYAN. I sądzisz wacpan, że moja słaba wymowa...

P. STRAŻNIK. Zrobi efekt, mości dobrodziej!

X. GWARDYAN. Ale... e... e!...

P. STRAŻNIK. Zrobi, mości dobrodziej, przysięgam!

X. GWARDYAN. Wątpię, ale spróbuję... ale spróbuję... Kiedy wacpan dobrodziej tego żądasz, to ja spróbuję.

P. STRAŻNIK. Krzyżem leżeć będę, a błagać Pana Boga, aby wacpana dobrodziejja wymowa zwykła w tym ekscesie ¹⁾ nie odbiegła.

X. GWARDYAN. Przytomny dosyć jestem w takich razach, przytomny...

P. STRAŻNIK. Potem wyprowadzisz wacpana dobrodziej to wszystko, celebrując, choć śnieg, na

¹⁾ = wystąpieniu.

mogilki, każąc nieść w auxilium¹⁾ ołtarzyk N. Panny Szkaplerznej przed sobą. A zagrawszy w trąby i ucichnąwszy, dozwolisz mi głosu — a może z pod tej czaszki złotej coś wydobędę na chwałę ojczyzny, szlachty polskiej i Jezusa Chrystusa, pana naszego, co równie będzie uwielbieniem i klasztoru, w którym wacpan dobrodzieja jesteś gwardyanem. Proszę wacpana dobrodzieja o postęp w rzeczy.

X. GWARDYAN. To jest, trzeba zacząć...?

P. STRAŻNIK. Trzeba kazać w dzwony bić, ojcie gwardyanie.

X. GWARDYAN. A jak Szwedy zrujnują klasztor?

P. STRAŻNIK. To pan Strażnik będzie chyba nie na mogiłkach, lecz pod mogiłkami! Co mi wacpan mówisz o Szwedach? Czy to ja przyszedł, jak dureń, do wacpana dobrodzieja, nie pomyślawszy, że w kraju są Szwedy?! Więc, gdy zaatakują, to się zaniesiemy z żonami i z dziećmi i z kościelnymi gratami na górę królowej Bony, do ceglanej ruiny, niby orłowie niebiescy; a kto ma w Panu Bogu ufanie, ten nie będzie strącony do czeluści piekielnych — i nad nim siły szatańskie nie przemogą! Postępujemy, mości gwardyanie! Czas drogi ułatuje na skrzydłach, a my się starzejemy!

X. GWARDYAN. Bogdajby to wszystko na dobre wyszło — bogdajby!

Wychodzą.

¹⁾ = na pomoc.

SCENA III.

Rynek.

OBYWATELE — LUD.

PIERWSZY OBYWATEL. Słowo stało się ciałem!
U Franciszkanów grają w trąby na wieży. Czy
ksiądz gwardyan zwaryował?

DRUGI OBYWATEL. Ksiądz gwardyan lubi muzykę.

PIERWSZY. Wracam z kościoła; pełny jarzącego
światła, adamaszkami wybity! Pan Strażnik krzy-
żem leży na samym środku.

DRUGI. Krzyżem leży?

PIERWSZY. I szlocha tak, że się kościół trzęsie.

DRUGI. Tu przebaknął ktoś o konfederacyi...

PIERWSZY. Co?

DRUGI. Patrz! Patrz! Patrz! Jakiś rycerz na koniu
wjeżdża na rynek.

Pan Gwint wjeżdża zbrojny i staje wśród tłumu.

RYCERZ. Na ten miecz przysięgam! Kto nie usług-
cha głosu nieszczęsnej ojczyzny, będzie ścięty!

RÓŻNI. Jezu drogi!... Jezu drogi!... Archanioł, albo
kat jaki przebrany!... Szwed! Szwed! Szwed!...

RYCERZ. Jeśli dbacie o domy wasze i o trumny wa-
sze, ruszajcie się — bo wytnę do szczętu!

RÓŻNI *śród płaczu i szlochania*. Jezu drogi!... Od
powietrza, głodu, wojny, ratuj nas!

RYCERZ. Podajcie mi tokaj!

Wylewa w hełm i pije.

Jeremiasz książę Wiśniowiecki pije za zdrowie
pana strażnika Złota Czaszka, marszałka konfe-
deracyi na Krzemieniu!

Rzuca konia w galop, lud za nim.

LUD. Jeremiasz! Jeremiasz! Jeremiasz!

SCENA IV.

Mogilki.

Ciągle biją w dzwony. Pan STRAŻNIK wstępuje na najwyższą mogilkę. Na prawo stoi X. GWARDYAN z monstrancją pod baldachimem; na lewo ołtarzyk N. Panny ubrany w złoto i kwiaty. Pan GAŚKA w jaskrawym ubiorze i wiele szlachty, studentów w głębi i na przedzie.

P. STRAŻNIK. Wielmożni moiści panowie! Obywatele cechowi, tu licznie zebrani! Słuchajcie! — Ja, strażnik krzemieniecki, vulgo Złota Czaszka, zebrałem was, wołając z wieży Franciszkanów dzwonami et trombis — a wołałem, abyście biegli ratować ojczyznę. A nie wołałem dla żadnej innej światowej mamony i dla chwały osobistej mówienia do was. Jeśli więc Złota Czaszka ma u was jaką wiarę i zachowanie, wierście mu, że teraz na rany boskie was zaklina, krzyżem przeleżawszy rozesłany podczas mszy świętej i podniesiony z prochu, jak robak, przez litość jedynie boską i szczere ku sprawie publicznej zamiary! Wierście Złotej Czaszce, bratu i słudze wcpanów dobrodziejów, a zwiążcie się w konfederacyą i obierzcie na tem miejscu regimentarzem Najświętszą Pannę, Matkę Boską i patronkę królestwa polskiego, abyśmy nie zginęli z duszami, broniąc ojczyzny naszej! — A nie mówię to, abym nie sądził godnym regimentarstwa pana Gąskę, marszałka tu przytomnego; ani też wielmożnego Seweryna Miłowicza z Dymitrówki z kwitkiem odsyłał, a nie z należytą w konfederacyi powagą — ani też innych sądził niegodnemi tego zaszczytu: lecz Matkę Boską sądzę godniejszą od innych i bezpieczniej-

szą w tej sprawie dla nas obroną, niż miecze ludzkie i Gotfredowe tarcze¹⁾ i nawet rozum wasz, który jest ludzki. Na tej mogiłce, wielmożni panowie, gdzie stoję, tu, podemną, złożone są śmiertelne zwłoki ś. p. Michała, trzechletniego synka mego. Jakżebym chciał wam kłamać i na złe was prowadzić, mając pod nogami drogie kosteczki dziecka mego, a przed sobą wieczność boską, już dla mnie zbliżającą się? A i to wiem, że nie znajdę przy boku moim ludzi, z którymi niegdyś w wojsku ojczyźnie mojej służyłem, a którzy już są w grobach i nie będą widzieć mnie, ani dopomogać. Ale czyż przeto wy, nie mogąc się spytać i dowiedzieć u hetmanów dawnych, Kalinowskiego, że ja jestem tęgi wojak, czy nie uwierzycie mi, że jestem tęgi, kiedy wam na to przysięgam na siedem ran Chrystusa, przyrzekam w pierwszym zdarzeniu pokazać i udowodnić, i krew wrogów ojczyzny przyświadczy mi i wasze oczy zobaczą! Więc umyśliłem napaść na Szwedów, stojących w Dubnie, których jest tylko dwieście, dla zaprawienia was i ośmielenia. A jakaż chwała będzie, gdy ich pobijemy i konfederacya nasza pod waszemi skrzydłami, wielmożni panowie, rozszerzy się! Czyja więc wola, niech się zapisuje na rejestrze, złożonym na ten cel w refektarzu, a później zechce zaszczyścić dworek mój, albo tego, którego obierzemy marszałkiem — z zawarowaniem zawsze regimentarstwa dla Najświętszej Panny, orędown-

¹⁾ T. j. tarcze tak potężne, jak zdobywcy Jerozolimy, Gotfreda.

niczki naszej, świecącej w gwiazdach nadziei naszej! — Skończyłem i proszę wpanów z procesyą do refektarza na galkowanie ¹⁾).

Okrzyk powszechny i procesya wychodzi.

SCENA V.

Dziedziniec Strażnika.

Wbiega JANKIEL.

JANKIEL. Nu, nu, nu, co się dzieje? Miasto całe do góry nogami! A pan Strażnik narobił, a pan Strażnik nie odrobi... a ja wysłał do panów Szwedów mego Jankielka na koniu; lepiej zapobiedz wczas, niech się ta rzecz nie rozidzie po wszystkich gościńcach... Pani Strażnikowa!...

P. STRAŻNIKOWA. Co tam, Jankielu?

JANKIEL. Nu, pani w domu, a pan Strażnik w konfederacyi po uszy i panowie z nim w konfederacyi i miasto w konfederacyi! Ja nie wiem, żydów może będą wieszać, albo rozbijać; niech wielmożna pani przyjmie na skład kilka z mego towarów. Ja nie chcę kwitu — niech leżą u j. wielmożnej pani w bezpieczu.

P. STRAŻNIKOWA. Co mówisz, konfederacya?

JANKIEL. Nu, pan Strażnik wlaźł na mogiłkę i gadał, że panem regimentarzem będzie kościół franciszkański, a Szwedy w Dubnie pójda w kaszę. Ja nic nie wiem, ale to fakt!

P. STRAŻNIKOWA. Jaki fakt?

JANKIEL. Nu, fakt, fakcy... ja nie wiem, ja trzymam się domu j. wielmożnej pani, a ja nic nie

¹⁾ = głosowanie za pomocą galek.

wiem... *Słysząc strzały.* A ot, ona już strzela — ta konfederacya!

P. STRAŻNIKOWA. W samej rzeczy, strzelają na rynku. Jezus, Marya, co to jest?!

JANKIEL. Wielmożnej pani męża niosą na rękę, a za nim całe miasto — a ja jeden tu!

Krzyki:

Vivat marszałek Złota Czaszka!

Wchodzą na dziedziniec cechy z chorągwiami, potem wnoszą marszałka Złotą Czaszkę, zapłakanego, na rękę; — za nim pana Gąskę niosą — za nim p. Milowicza.

JANKIEL. To pierwszy — marszałek, a drugi — chorąży, a trzeci — sekretarz; a ten sekretarz ma suchoty, on umrze; czego jemu było szukać konfederacyi?

PIERWSZY OBYWATEL. Panie Kasperowicz! Wacpan, jako krawiec, ubierz domek pana marszałka w chorągwie cechowe!

DRUGI. Zamykajcie drzwi, bo się nadto ludu naciska.

JEDEN. A ot, i panienska wychodzi z sztofikiem i z kieliszkiem.

Wchodzą KLEOFAS i SZAWEL.

SZAWEL. Jesteśmy deputacją od szkół jezuickich, prosimy wyprosić do nas pana marszałka... *Do Kleofasa.* Podnieś czoła, odważniejszym bądź! Córka poszła sama do ojca, ale jak spojrzała na ciebie! Fiu, fiu! Wy się z sobą znacie! — Czerwony jesteś, jak gil, co tam siedzi na lipie; podnieś czoła i najeż wąsa, o, tak! Cóż, czy ci wszy chodzą po sercu?

P. STRAŻNIK *za sceną*. A czego chcą te błazny? Pokazując się *we drzwiach* — za nim panna Agnieszka. Czego wacanowie?

SZAWEL. W deputacyi od szkół, jw. marszałku.

P. STRAŻNIK. Czy pan prefekt przyszyła?

SZAWEL. Libertatem quaerentes ¹⁾, przychodzimy motu proprio ²⁾, jw. marszałku, zaciągnąć się pod chorągwie i znaki rycerstwa polskiego, wyłamawszy drzwi, gdzie nas zamknęto z przytłumieniem woli naszej i z uhamowaniem zapалу naszego. Szkoły jezuickie, mości panie marszałku, zrobiły ten akt liberationis, et deliberationis ³⁾, a mają słuszną sperandę ⁴⁾, że nie tylko wieniec i dębową koronę, ale słuszne ukaranie księdza prefekta, hamującego ten szlachetny zapal, otrzymają — i w obronie ojczyzny pójdą tryumfalnie pod chorągwiami rycerstwa polskiego! Dixi.

P. STRAŻNIK. A, błazny jedne! A, błazny!

PANNA AGNIESZKA. Tatku...

P. STRAŻNIK. A, smarkacze wy, z mlekiem pod brodą! Wam do konfederacyi? Każę związać, oćwiczę i księdzu prefektowi odeślę pod bizun! Młokosy jedne, precz mi stąd!

SZAWEL. Panie Złota Czaszka...

P. STRAŻNIK. Precz, mówię, obdartusy szkolne, żaki, kanalie! Ja miałbym szafować krwią dzieci, żeby mi rodzice potem wyrzucali, żem ich szla-

¹⁾ Szukając wolności.

²⁾ Z własnego popędu.

³⁾ Uwolnienia się i namysłu, t. j. uwolnienia się po dokładnym namysle.

⁴⁾ Nadzieję.

checkie gniazda ogłosił i zaprzepaścił?! Co to, wy myślicie, że to ja konfederat malowany? A to co, infimusy? ¹⁾ Wam podnosić rokosz na księdza prefekta? Na klęczkach mi go przeprosić, błazny! Precz stąd!

Panna Agnieszka zakrywa oczy, płacząc.

SZAWEL. Panie Złota Czaszka, taka afrontacya...²⁾

P. STRAŻNIK. Afrontacya? *Do cechów.* Panowie miejscy, wyrzucić mi za płot tych infimusów!

Studenci dobywają szabel. Miejscy chorągiewkami wypędzają ich z dziedzińca i gonią ulicą.

P. STRAŻNIKOWA. Serce, Agnusia nasza czegoś płacze...

P. STRAŻNIK. Precz baby! Co innego mi teraz w głowie, nie panna Agnieszka.

P. STRAŻNIKOWA. To idźże do gości!

SCENA VI.

Cela księdza Prowincyała.

ZAKRYSTYAN *krząta się*; X. PROWINCYAŁ *siedzi w krześle.*

X. PROWINCYAŁ. Cóż myślisz, Barabaszu, o tem wszystkim?

ZAKRYSTYAN. Myślę, że ci panowie powaryowali.

X. PROWINCYAŁ. Masz rację.

ZAKRYSTYAN. A kiedy chcieli byli robić konfederacyą, to mieli klasztor księży Jezuitów i klasztor ojców Bazylianów. Nie; przyszli księdza prowincyała wciągnąć! A wie ksiądz prowincyał, dla-

¹⁾ = sztubaki, uczniowie najniższej klasy.

²⁾ Obelga.

czego? Bo ksiądz prowincyał ma dobre stare wino węgierskie w lochu.

X. PROWINCYAŁ. Dureń jesteś, stul pysk! A gdzie moja sroka? Nie widziałem jej dziś.

ZAKRYSTYAN. Sroka księdza prowincyała, kiedy ksiądz dziś celebrował, to chodziła za baldachimem, jak grzesznik, a kiwała ogonem, tak, jakby mówiła: »Oj, ojcie prowincyale! Oj, ojcie prowincyale!« Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli ta sroka nie mędrsza od nas! A jabym chciał, żeby ta sroka ukradła panu Strażnikowi złotą czaszkę i włożyła księdzu prowincyałowi do kieszeni — ale sroka nie żyje...

X. PROWINCYAŁ. Co?

ZAKRYSTYAN. Zadeptano w tłumie.

X. PROWINCYAŁ. Nieprawda!

ZAKRYSTYAN. Ojcie, zadeptano! Bij mnie, zadeptano!

X. PROWINCYAŁ. Nieprawda!

ZAKRYSTYAN. Zadeptano!

X. PROWINCYAŁ. Kłamiesz, kłamiesz! Mój kochany Barabaszu, poszukaj ty jej! Ty może myślisz, że to mnie mało martwi — ale ja z tej sroki miał pociechę.

ZAKRYSTYAN. Mało z czego ksiądz prowincyał miał pociechę; a trzeba się będzie przyzwyczaić do zguby! A kto będzie księdzu prowincyałowi grał na trąbach po nieszpórach, kiedy trębacze poszli na trębaczy do konfederatów? A ksiądz prowincyał lubił z panem organistą Fokiem grać w warcaby, a pan organista Fok zapisał się na rejestrze w refektarzu, choć Niemiec...

X. PROWINCYAŁ. Moich ludzi będę reklamował¹⁾.

ZAKRYSTYAN. Tak, reklamował; a gdzie i od kogo reklamował, kiedy ksiądz prowincyał jesteś sam regimentarzem?

X. PROWINCYAŁ. Ja? Jako żywol...

ZAKRYSTYAN. Ksiądz prowincyał drwi ze mnie.

X. PROWINCYAŁ. Ja?!

ZAKRYSTYAN. Ksiądz prowincyał stoisz podpisany na rejestrze i na uniwersałach, jako regimentarz.

X. PROWINCYAŁ. Ale to za Matkę Boską.

ZAKRYSTYAN. Ale to nie »ja, Matka Boska, regimentarz« stoi w rejestrze, ale »ja, prowincyał księży Franciszkanów, regimentarz« stoi w rejestrze! A co mi tam patrzeć w myśl księdza prowincyała!

X. PROWINCYAŁ. Jezu drogi! To ja zabrąłem, mówisz?

ZAKRYSTYAN. Bez rekursu.

X. PROWINCYAŁ. A czemu ty mi nie szepnął na ucho, kiedyś widział, że mnie pan Strażnik w zakrystyi atakuje?

ZAKRYSTYAN. Ksiądz prowincyał wie lepiej, co klasztorowi czynić przystoi.

X. PROWINCYAŁ. Prawda, że wiem; ale tobie trzeba było mnie ostrzedz — a teraz przychodzisz, kiedy już po czasie. Ktoś puka.

ZAKRYSTYAN, *otwierając drzwi*. Jakiś dragan.

X. PROWINCYAŁ. A czego on? *Wchodzi dragant*.

DRAGANT. Złota Czaszka, marszałek, przysyła z ordynansem, abys jutro ksiądz prowincyał go-

¹⁾ Żądał zwrotu.

tów był poświęcić chorągwie i błogosławić regimentowi, który wychodzi na Szweda.

X. PROWINCYAŁ. Odpowiedz panu Złotej Czaszce, że dobrze. *Do zakrystyana*: Widzisz, że ja tylko mam błogosławić.

P. STRAŻNIK, P. GĄSKA, P. MIŁOWICZ *i kilku innych wchodzą*.

P. STRAŻNIK. Witam księdza prowincyała! Przychodzimy na naradę i po radę do księdza prowincyała, jako do naszego regimentarza.

ZAKRYSTYAN. A widzi ksiądz?

X. PROWINCYAŁ. Milcz, durniu! — Bardzom rad! Jestem całem sercem na usługi.

P. MIŁOWICZ *grobowym głosem*. Zafundujesz nam przecie wina, księże prowincyale!

ZAKRYSTYAN. A widzi ksiądz?

X. PROWINCYAŁ. Milcz, błaznie! — *Głośno*. Barabaszu, przynieś antałek i szklanki.

P. STRAŻNIK. Coś mi, księże prowincyale, dumasz?

X. PROWINCYAŁ. Czy my się nie pośpieszyli z nadto?

P. STRAŻNIK. Wacpan dobrodziej słuchasz z nadto kościelnego sługi, który acpanu głowę troskami nabija i w przedsięwzięciach go hamuje. Jeszcze ksiądz prowincyał masz czas ku odwróceniu od nas swoich afektów, a ja się oddam księżom Jezuitom albo Bazylianom; a wtedy co będzie?

X. PROWINCYAŁ. Panie Strażniku!

P. STRAŻNIK. Udałem się do księdza prowincyała, albowiem uważałem w nim największy majestat i blask, a w ceremoniale nikt mu nie wyrówna...

X. PROWINCYAŁ. Co, czy byliście kontenci z procesyi?

P. STRAŻNIK. Niech pan Gaska powie! Mówilem mu otwarcie, że się nie spodziewałem takiego festynu. Tu ksiądz prowincyał posuwa się — a tu przed nim sypią różane listeczki — a tu trąby na wieży grzmia, aż trzęsła się góra królowej Bony! Myślałem, że pójdzie w taniec...

P. GAŚKA. Góra, czy ksiądz prowincyał?

WSZYSCY. Cha! Cha! Cha!

P. MIŁOWICZ. Góra z księdzem prowincyałem!

WSZYSCY. Cha! Cha! Cha!

X. PROWINCYAŁ *do zakrystyana*. Postaw tu, durniu, antałek i ponalewaj lampeczki jw. panom. — Miałem wielkie zmartwienie w dniu dzisiejszym; zdeptano mi sroczkę moją.

P. STRAŻNIK. Przyślę księdzu prowincyałowi pierwszego Szweda, którego mi się uda złapać, aby mu był wynagrodzeniem. Tymczasem niech się ksiądz prowincyał uzbraja!

SCENA VII.

Pokoik panny Agnieszki.

P. AGNIESZKA i MAGDA.

P. AGNIESZKA. Magdo, daj mi chustkę!

Placze.

MAGDA. Tak, tak! Jak panienka z żałości umrze, a jegomość będzie płakał, powiem: »Dobrze jegomości tak! Jegomość zabił dziecko, a teraz płacze; dobrze jegomości tak!«

P. AGNIESZKA. A skąd ty wiesz, Magdo, dlaczego ja płaczę?

MAGDA. Z miłości płacze panienka, ja wiem, że z miłości.

P. AGNIESZKA. Otóż ja nie z miłości płaczę; ja tak płaczę.

MAGDA. Ha, ha! Jaby w to uwierzyła? Jaka mi panienka mądra! Jaby w to uwierzyła?

Wchodzi p. Strażnikowa.

STRAŻNIKOWA. Co to mi za szlochy, Gnusiu? Ojciec pyta o ciebie — pan Gąska chce wnosić zdrowie twoje.

AGNIESZKA. Powiedz mama że, ja nie pójdę, że ja chora, że ja umarła, że ja leżę na cmentarzu Żolibieckim pod śniegiem, że ja siebie zabiję i pana Gąskę otruję! Weź sobie mama ten kornecik z różami... ja niczego nie chcę, ani prezentów, ani niczego. Tylko zostawcie mnie w spokojności! Czego wy chcecie odemnie? Czy ja wasza niewolnica? Czy ja wasz haman? Czy ja sobie nie mogę kupić pokoju? Zostawcie mnie, zostawcie, zostawcie! Ja się chcę uspokoić; zostawcie mnie!

Wchodzi P. Strażnik i P. Gąska.

P. STRAŻNIK. A kto tu szlocha?... A dlaczego to waćpanna szlocha?

P. STRAŻNIKOWA. Daj pokój... przy obcych ludziach...

Agnusia ociera łzy i staje przed ojcem ze spuszczonemi oczyma.

P. STRAŻNIK. Widzisz mi płaksę? Obetrzyj waćpanna łzy i podnieś oczy. Pan Gąska przyszedł z komplementem.

P. AGNIESZKA. Dziękuję.

P. GĄSKA. Niech mię panna strażnikówna nie wyklina; nie przyszedłem woli wielmożnej acanny dobrodziejki wiołentować...¹⁾ W cierpliwości oczekiwać będę, aż moja afekcja...²⁾

P. STRAŻNIK. Patrz, płaksa roześmiała się!

P. GĄSKA. Rozjaśnienie jej czoła szczęśliwą mi jest wróżbą. Czy mogę upraszać o jednego z tych narcyzów, co stoją na oknie?

P. AGNIESZKA. Nie.

P. STRAŻNIK. Grzeczna mi bądź, błaznico!

P. GĄSKA. Pozwól mi acan dobrodziej, pozwól mi! Tu ja sam jestem wystawiony na szwank; niech mam wszelką wolność. *Do panny Agnieszki.* Czy moja osoba jest przedmiotem jakiegokolwiek odrazy? Proszę szczerze...

P. AGNIESZKA. Żadnej odrazy nie czuję do acana dobrodziej, ale ja szczęścia pańskiego nie zrobię. Ja nic nie umiem, jestem w domu, jak obrazek malowany...

P. STRAŻNIK *do żony.* Serce, a wydobądźno krosienka i pokaż panu Gąsce *apparatum* ³⁾, które wyszyła złotem do franciszkańskiego ołtarza. Wierz mi, panie Gąsko, że to rozumna główka; a bierz, bo to skarb!

P. GĄSKA. Jabym chciał dać czas pannie Strażnikównie do namysłu.

P. STRAŻNIK. Cóż to, czy mi się wacpan rekuzujesz?

P. GĄSKA. Prędzejbym żywota mego odstąpił i du-

¹⁾ Przymuszać.

²⁾ Wyznanie uczuć.

³⁾ Obrazek, deseń.

szę moje opuścił, niż wyrzekł się złotej dla mnie nadziei! Ale sądzę, że szablą, ponieważ się zdarzyła okazyja, potrafię w oczach panny Strażnikówny przydać sobie waloru ¹⁾); dlatego więc proszę, abyś wpan dobrodziej, ponieważ otwartej nie mam jeszcze rekuzy, zostawił to w sperandzie i w expektatywie ²⁾), Wszak tak? Ostatecznie mi panna nie rekuzujesz?

P. AGNIESZKA, *spojrzawszy na ojca groźną twarz.*
Nie.

P. STRAŻNIK. Jest to konsensus ³⁾).

P. GĄSKA. Wróćmy do kielicha. *Wychodzą.*

P. STRAŻNIKOWA. Bardzoś była mądra; aż rosłam, słysząc, jak ty przytomnie odpowiadasz. Dobrze, Gnusiu! I on mi się podobał; bardzo rozsądny i stateczny. Widziałaś ty, jaką miał karmazynową sajotę na żupanie? Takiej sam król nie nosi. Zielony kontusz z tureckiej materyjki w kwiateczki, także dobrze dobrany... Cóż ty, kwoczko?

P. AGNIESZKA. O, nieszczęśliwa ja! Zaniesiecie wy mnie na cmentarz!

.
.

Więc widzieliście w chorągwie cechowe

Ubrany dworek starego szlachcica —

Kto myślą sięgnął w niebo lazurowe,

Widział, jak duchy i Bogarodzica,

W promieniach zorzy trzymająca głowę,

¹⁾ Wartości.

²⁾ W nadziei i oczekiwaniu.

³⁾ Zgoda.

A stopy dzierżąc na srebrze księżycy —
Na dom jasnością piorunową biła
I z ponad starych lip błogosławiła.

Chorągwie dworek okryły ubogi,
Że był, jak namiot jakiego mocarza,
Z jedwabiu cały; a złote miał rogi,
A w środku jasną cnotę gospodarza,
Dla nędzy także otworzone progi,
I obwarzanek biały dla nędzarza —
I piękność chował dawnych szczerych rysów,
Napełniając dom wonią narcysów.

Tam, kiedy w cichą noc duchowie czarni
W śniegowej korzą się burzy i wichrze — ¹⁾
Jasna kołęda w przyćmionej piekarni
Płakała, w rytmy ubrana najlichsze...
Z nią usypiali ludzie gospodarni;
A od serc naszych serca mieli cichsze,
A gdy się rwali z ubogiej pościeli,
To więc do szabli albo do kądzieli!

I pokazałem wam klasztorne życie —
I pokazałem studentów i żaków,
I pokazałem w przeszłości błękanie
Lud, co nazywał się ludem Polaków.
Teraz, przy dalszej zorzy, zobaczycie
Las pływający rozwiniętych znaków,
Ten domek w zieleń wiosnianą ubrany —
I usłyszycie, jak puka do ściany

¹⁾ W noc Bożego Narodzenia.

Nieszczęście... Bądźcie więc wyrozumiali
Dla tych rubasznych serc i szorstkich dłoni!
Spokojne domy także piorun pali,
Chociaż je wiara, chociaż czystość broni;
A jeśli wszystko zważymy na szali,
Nieraz się człowiek rozpaczy uchroni

.
.

K O N I E C F R A G M E N T U .

ZAWISZA CZARNY.

FRAGMENTY DRAMATYCZNE.

OSOBY:

KRÓL WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO.

ZBIGNIEW OLEŚNICKI.

ZAWISZA CZARNY.

STAROSTA JAN SANOCKI.

CESARZ ZYGMUNT.

MANFRED, księżę czeski.

BAPTYSTA CYGALI, kupiec z Genui.

LAURA SANOCKA.

LIRENKA, jej służebna.

GNIEWOSZ, majordomus zamkowy.

ZORAINA, Maurytanka, występująca w przebraniu giermka
pod nazwiskiem MANDUŁY.

GLUPIEC.

TRYNITARZ, brat Starosty.

GONIEC.

CHORUS. — HUSARZE POLSCY.

SCENA I.

CHORUS. Słyszycie jęki? To Polska złamała
Czarne szwadrony Krzyżaków — i goni.

Litwin na czele w okrwawionej dłoni
Trzyma chorągiew, a chorągiew biała;
A on ją spuścił i we krwi umoczył,
Okolo kija okręcił — i skoczył.
A za nim, niby tęczowane chmury,
Pełne słońc — lecą husarze w pancerzach, —
»Lob der Got« ¹⁾ — krzyczą żelazne komtury ²⁾ —
I dzidy czarne, jako szczerć na jeżach,
Szczerć, naprzód strachem zjeżona do góry,
A potem w polskich tęczowych odzieżach
Serc szukająca.
Oto dziś, zaśpiewawszy pieśń »Bogu rodzica«,
Rzucili się pod Grunwald — szwadron za szwadro-
[nem;
Nie spuszczaemy ich z oczu, nie odwróćmy lica,
Oczyrna ich oświećmy, pochłóćmy ich łonem.
Wszyscy nasi — lecz jeden nam umiłowany,
Nie weźmie żadnej skazy — ani żadnej rany;
Piorun mu zagra w hełmie, jak organ kościelny,
Krew mu gorąca w skronie, jak Anioł, zapuka,
W serce jego uderzy potem strach śmiertelny,
A on go, jak szatana, podepce i sfuka, —
I, raz tylko, przed krzyża czerwonego znakiem
Stanąwszy, straci serce i zadrży z rumakiem.
I serce w nim sarmackie wtenczas krzyknie »hu-
[ra«!
I pod szalonym panem skoczy koń szalony
I krzyżoność trupem położy komtura
I czterma kopytami zdepcie krzyż czerwony

¹⁾ = chwała Bogu.

²⁾ Tytuł wyższych oficerów krzyżackich.

I krzyknie: »Te kopyta, które ja wygniote,
Będą na krzyżu jako cztery gwiazdy złote«.
I gdy po walce wstanie tam noc bez miesiąca
I z pola wyjdzie obłok jak z krwawej mogiły,
To ta chorągiew ze krwi wstanie, tak błyszcząca,
Jakby ją cztery gwiazdy boże oświeciły, —
I zostanie u duchów tajemnica taka,
Że świecił się na krzyżu — święty ślad Polaka.

Wchodzi Jagiello.

JAGIEŁŁO. Trąbić na odwrót! ¹⁾ Gdzie pan Oleśni-
[cki?

Niech mi tu jeńce najpierwsze przywiodą!
Temu, kto ma hełm z kwasem, albo wodą
Dam zamek trocki — albo zamek lidzki —
Hej, kto tam? Cóż to, król niema uśmiechu
Dworzan po takiej walce? ni orszaku?

OLEŚNICKI. Królu, wszyscy tam, przy jednym Po-
JAGIEŁŁO. Co? [laku.

OLEŚNICKI. Dostał sedecznego śmiechu.

JAGIEŁŁO. Cóż to za jeden?

OLEŚNICKI. Pan Zawisza Czarny.

JAGIEŁŁO. Bah, widziałem go dziś zawsze na czele.

Raz przemówiłem: »Co? Czy gonisz sarny?«
A on, który słów zawsze ma niewiele
I głos leniwy, niby z serca głębi
Nie chcący lada czem dać się wywabić,
Odrzekł mi: »Mniej, niż to — chmurę gołębi!«
I poszedł sieknąć siekierą i zabić
Pierwszego wśród Krzyżaków chorągwiarza.

¹⁾ Tutaj: powrót z pościgu.

OLEŚNICKI. Właśnie chorągiew ta i krzyż czerwony
Przez niego, zda się, że swoje wyraża
Lamenty — bo jest tak rozserdeczniony,
Jak dziecko.

JAGIEŁŁO. Wiesz, mój Oleśnicki, że to
Śmianie się, niby serdeczne, nie znaczy,
Aby ten młody człowiek był kobietą,
Albo dziecięciem.

OLEŚNICKI. To też — król wybaczy —
Jam tego nie rzekł.

JAGIEŁŁO. Słuchaj! Kiejstut stary
Opowiadał mi nieraz, świeć mu Boże,
Że właśnie, kiedy powojował cary
Moskwy i ujrzał rubinowe zorze
Nad Moskwą, i te jakieś złote,
Co, niby wielkie owoce na gruszy,
Wiszą w powietrzu — a on — (przez szczerotę
Starzec pomyślał, że je palcem ruszy
I spadną — Litwin miał i brzuch potemu) —
Otóż, gdy niebu się turkusowemu
I wieżom złotym starzec przypatrywał,
A Moskwę już miał w rękę i te wieże, —
Uczuł, że nagle mu się na śmiech bierze,
Ale na taki straszny śmiech — piekielny, ✕
Że rubinami z oczu lał się, spływał,
Twarz mu okrwawił, gdy drugi, śmiertelny
Pot lał się z czoła, białą, bursztynową,
I gryzł mu twarzy pomarszczone ciało.
Nigdy ten starzec nie mógł dobrze słowy
Opisać, co to było owe czucie,
Lecz mówił, że go serce tak bolało,

Jak gdyby kto tam jemu, lub Birucie ¹⁾
Z pod żeber zwolna wyciągał jelita;
A znów, że taki strach mu zatrząsł kości
I takie jakieś wewnętrzne nudności
Zdjęły, że gotów był cztery kopyta
Pokazać Moskwie — i uciec na Litwę.
Szczęściem, że strach go ten straszny zaniechał
Przed bramą — i tak, jak zwycięzca, wjechał
Spokojnie.

OLEŚNICKI. Ja sam, królu, na gonitwę
Albo na walkę idąc, to nie jestem,
Jak zwykle.

JAGIEŁŁO. Tu mi przyprowadź Zawiszę,
Bo ja się czuję, że go jednym chrestem
Ducha przełamię zaraz i uciszę,
Jak małe dziecko. — A razem każ komu,
Niech mi przyniesie wody — tu podumam.

CHORUS. Błogosławcie mu teraz! On z wielkiego
[domu

Postawi ten lud sławnie pomiędzy narody.
Teraz mu wchodzą myśli, nieznane nikomu,
Głaskaniem, jak gołębia, głaskaniem tej brody.
Teraz mu widne dusze, z tych ciał wychodzące,
Teraz, w te oczy króla, niby napół, spiące
Przedstworzonych wypadków błyskają miesiące.
Ten dąb mu takie myśli cudowne gromadzi,
Niby kopuła jakaś, zrobiona dla ducha,
Gdzie mnóstwo liści czarnych, niby sejmem, radzi,
A król siedzi, zmęczony krwią, pracą — i słucha.

¹⁾ Żona Kiejstuta.

Patrz — umiłował naród i łzy wielkie roni;
Pierwsza godzina wiekom jagiellońskim dzwoni.
O, ileż z tej godziny wieków się urodzi
Pięknych, na Chrystusowe patrzących dzieciątko!
Okolo tego dębu duch Kiejstuta chodzi
I, patrzcie, jak się dziwną przypomniał pamiątką!
Jakąś Moskwę przypomniał, nad czerwoną parą
W czepcach złotych siedzącą, niby wiedźmę starą,
Od której strach, jakoby na wieki rozwlekły,
Już wtenczas tak na koniu uderzył Litwina,
Że mu z otwartych oczu krwawe łzy pociekły
I nagle stał się drugi Chrystus z poganina,
Płaczący nad przyszłością. I taki jest wieczny
Wielkich duchów na ziemi ciągły spazm serde-
[czny.

Wchodzi starosta Sanocki, Oleśnicki i prowadzą Zawiszę.

Cóż to? Król leży na ziemi pod drzewem...

Kto się odważy przybliżyć do króla?

JAGIEŁŁO. Ha, to wy! Dziwnym tu anielskim śpie-

Byłem kołysan. Cóż? Czy się utula [wem

W serdecznym śmiechu nasz Czarny Zawisza?

Cóż? Zda mi się być zupełnie spokojny.

ZAWISZA. To jest afekcja zwykła krwawej wojny;

Od krwi się wzdrygam.

JAGIEŁŁO. Chodź! Ta dębu cisza

I mój duch, który się do tonu stroi

Z wielkością wieku i z moją koroną,

Ciebie, jak dziecko małe, uspokoi.

Cóż, czy ci lepiej? Cóż, bije ci łono?

ZAWISZA. Łono mi jakoby młotem

Wali i uspokoić się, królu, nie może.

Cztery gwiazdy jasnym złotem
Błyszczały na chorągwi czerwonym kolorze.
Chorągiew była podemną
Kałużą krwi, a ta krew miała kształty krzyża,
A ja — w oczach mi ciemno —
Moje ostrogi, głowa, ręka i paiza
Były w ogniu...

JAGIEŁŁO. Pohamuj się i mów spokojnie!

ZAWISZA. Królu — już nigdy na wojnie

Przeciw krzyżom...

JAGIEŁŁO. Jak widzę, mocnoś jest rażony.

ZAWISZA. I, królu, powiem tobie, że ten krzyż czer-
[wony

Pełzał mi pod nogami, jak wąż; z pod rumaka
Wypadł, a trup komtura wstał...

JAGIEŁŁO. Jaka ponura
Wizya.

ZAWISZA. I w ten trup komtura ¹⁾,

Królu, w trup tego Krzyżaka,
W sam krzyż, w sam krzyż — w sam krzyż biały,
W sam krzyż — kopią... o, tak... o, tak...
Włosy na nim zmartwychwstały
I podniosły się na głowie...

JAGIEŁŁO. Przez krzyża świętego znak

Dajęć spokojność i zdrowie.

Kto tu z jego przyjaciół?

SANOCKI. Ja jestem...

JAGIEŁŁO. Ha, Sanocki, chodź tutaj! Powiem ci na
[ucho:

¹⁾ »W ten trup« — forma staropolska; dzisiaj: w tego trupa.

Słyszałeś, w tym człowieku z jakim się szelestem
Węży zły duch poruszył?

SANOCKI. Miałem na to ucho

Przyjaźni. Ja się kocham dawno w panu Czarnym.

JAGIEŁŁO. Weź go więc — i gospodarnym

Trybem urządź jego ducha

Na nowo; weź go, mówię, gdzie w piękną krainę

I odpaś! Bo on zjadł się na żelaznej służbie

Dla ludzi. Ty masz dziewczynę,

Która, jak słyszałem, w drużbie

Z aniołami cudownie piękne śpiewa rzeczy,

Grać uczona na złotej harfie i mandole;

Głos ten wiele duchów leczy

Z chorób, albowiem nasze tu twarde niedole

Zamieniają się w choroby

I psują naprzód nasze łyzy, potem krew jedzą.

Weź go — i niech mi kiedyś ludzie nie powiedzą,

Że Sanocki pogardził ubóstwem osoby,

Którą ja mem braterstwem królewskim zaszczy-
[cill]

Żegnam waćpana. Ha, ha, proszę; jeszcze słowo.

Zygmunt cesarz na ząb chwycił,

Na kiel wziął i chce na nowo

Przeciw Turkowi. Może mu posłę z acanem

Naszą szlachtę południową,

Co?

SANOCKI. Ja gotów rycerza mu dać każdym łanem,

Podług prawa pięć grzywien wzięwszy na czło-
[wieka;

Ja sam darmo.

JAGIEŁŁO. Lecz niechaj aś jeszcze poczeka,

Bo jeśli mi na Litwie, jak w Czechach, usłuży

Brat Zygmunt — to wyprawię mu sam hufiec duży
I postąpię jako król z tym podziemnym kretem,
Uczyniwszy na niego traktat z Bajazetem.

CHORUS. Z temi trąb cudownemi głosami odchodzi

I znika nam na zawsze z oczu król Jagiełło.

Aż się z piany niemnowej Afrode urodzi

I rozpocznie piękności tajemniczej dzieło,

Aż się indyjskie kwiaty na sosnach pokażą,

Aż dawna prawda spojrzy księżycową twarzą,

Nie obaczycie więcej takiego mocarza,

Który bez miecza, sercem narody wojował

I duchy swe wywołał z wiatru i z cmentarza,

A te, które przeciwne, do ziemi pochował

I w ciągłym cztery wieki utrzymywał spaniu

I sprzeciwił się nawet teraz zmartwychwstaniu.

Od strasznego ducha odwracajmy oczy!

Prędzej go zobaczymy, niżbyśmy żądali,

Bo jako piorun nagle z pod ziemi wyskoczy,

Jak kądziel się na wietrze wypadków zapali

I z ranami polskimi starą pierś pokaże

I otoczą go wkoło litewscy guślarze.

Przeciw niemu ten drugi duch przez ciernie, osty

I przez żywota drogę męczeńską przechodzi,

Jako leżąca owca u pasterza, prosty —

Jak łąka, zatopiona długo od powodzi,

Niewinny.

I księżyc przelatuje przez ten las sosnowy,

Jak srebrny ptak — i białych duchów błyskawica,

Nudność jakaś w powietrzu — i strach upiorowy

Na Grunwaldzie — i wielka mara krzyżownica

Nad ostatnią mogiłą Krzyżaków usiada...

Posłuchajmy, co też świat o tej walce gada!

SCENA II.

LIRENKA — LAURA.

LAURA. Widzisz, że ojciec mój cudownie pisze
Z pola i ze krwi. List pisany wczora,
Lecz, co dziwniejsza, że pana Zawiszę
Tak obaczyłam nagle, jak upiora.
Nie tak — jak ludzie mówią, że przed sobą
Widzą, a tylko myśl zobaczą własną;
Jam zobaczyła go wyraźnie, jasno,
Wyraźnie... Mogłam była, jak z osobą,
Mówić z nim, gdyby został chwilę dłużej.
Lecz to nie trwało chwili.

LIRENKA. Znów od pana.

LAURA. Przez kogo ten list?

LIRENKA. Prosto przez dragana,

Który w chorągwi naszej dworskiej służy.

Czyta.

Kochana Lawreczko! Zapowiedzieć, odpowiedzieć i rozpowiedzieć się, to trzy mówienia zupełnie różne. Zapowiedziałem, że będę — teraz odpowiadam, że nie będę. Jeżeliś rozpowiedziała, że będę w domu — odpowiedz, że być nie mogę.

LAURA. Już wpadł w zwyczajne swe subtylizacje

I nie jest wcale wczorajszym pisarzem.

Wczoraj mu serce było kałamarzem,

Dziś z myśli zbiera śmietankę.

LIRENKA *czyta*. Chciałem uścisnąć moją starościan-Lawrzanke,

[kę

Ale, zaproszon na pogadankę

Przez niemiecką rzeszanke

I rzeszoto,

Jadę tam — po to.

LAURA. Kochany, myśli, że wierszami pisze,

A musiał nad tym dobrze nagryść pióra.

LIRENKA *czyta*. Jednym słowem, przez posła cesarskiego schwycony jestem pod kolana i obrócon nosem ku cesarzowi, będąc wprzód ku tobie. Za moim listem, który odbierzesz, Zawisza tuż. Przyjmij go i umiłuj, a nie pochlebiaj! Także, gdy zobaczysz ubóstwo, niech nie widzi, żeś zobaczyła — a gdy szaleństwo, niech nie wie, że wiesz — a gdzie zostanie ślad stopy jego, ogródz płotem miejsce owo, gdzie zstąpił ów fundament wielkiego człowieka — bo takiegośmy jeszcze nie mieli. Nachyl się ku niemu i ku sługom jego, z których jeden, głupcem nazwany, podobno, że nie jest głupi, ale święty w krzywym ciele, pokutujący dźwiganiem głowy za ciężkiej na ramiona, drugi zaś Turczyn, niekoniecznie potępiony. Rób wszystko, co chcesz — a ja wszystko, co dobrze zrobisz, pochwalę, a co źle zrobisz, naprawię. Lawreczki mojej przywiązany ojciec, starosta Sanocki.

LAURA. Lirenko moja — ja mu się pokażę

Cała złotych lam ogniem oświecona,

Od karmazynów makatnych czerwona,

Przenikająca trwogą, jak ołtarze.

Dziewczęta moje wezmą trybularze ¹⁾

Srebrne i będą rzucały do góry

Czasami z dymu błękitnego chmury,

A czasem z kwiatów powietrzne wachlarze.

U dołu małe posadzisz chłopięta

¹⁾ Kadzielnice.

I dasz im w koral oprawione liry —
Inni — niech nadmą usta, jak Zefiry,
A inni — małe i srebrne jagnięta
I gołębnice w piersiach strzepotane
Niechaj przyniosą — jako na ofiarę,
Bo ja chcę teraz wskrzesić czasy stare
I te piękności białe i różane,
Co przed wiekami, światu panujące,
Czczono, jak bóstwa, ubrane w miesiąc.

CHORUS. Na ukraińskim polu czystem zamek stoi.
Czasami tylko orły cień na pole rzucą,
Albo też stary kurhan z czasów dawnej Troi
Wrózką jest dawnych duchów, że znowu powrócą
I odmieni się tylko powietrze i scena,
A mniej piękną nie wstanie z grobowca Helena.
Zamiast drzew cytrynowych, stary dąb brodaty —
Zamiast Homera, stary żebrak z lirą,
Zamiast róż, nasze polne ukraińskie kwiaty,
Turek z branką, to Centuar dawny z Dejanirą. —¹⁾
A szlachcice, królowie teraz naszej sceny,
Sąsiadują, jak Argos król — z królem Myceny.
Pieszmo mógł Agamemnon, a laurowym gajem,
Jeśli gorąco, cieniem idąc i powoli,
Po południu wyszedłszy, gadać z Menelajem
O sprawie Greków, albo o pługach na roli, —
I przed zachodem słońca być u siebie w domu,
O przechadzce królewskiej nie mówiąc nikomu.
Cóż więc królestwo? Oto tu królewskość ducha,
Z której potem o kształcie ciała ludzie sądzą.

¹⁾ Por. obj. do »Grobu Agamemnona«.

Dwa lwy stoją w Mycenach teraz ¹⁾ — a wiatr słu-
[cha

Jaszczureczek, które tam po kamieniach błędzą.
A w Argos co? Atrydy z swą pamiątką krwawą
I teatr po nich, cały już zarosły trawą.

SCENA III.

GNIEWOSZ. Rycerz jakiś stepowy

Staął tu śród dziedzińca

I przywozi gościńca

Cztery tatarskie głowy,

Co mu u siodła wiszą

Całe w śmierci purpurze

I wszystkie się kołyszą

Jak cztery perły duże,

Ale, gdy się koń ruszy,

To jako cztery róże,

Z których się czerwień pruszy.

LAURA. A rycerz?

GNIEWOSZ. W czarnej zbroi,

Tak na strzemionach stoi

I na swe giermki czeka.

Patrzy w oczy żołnierzom;

Że większy od człowieka,

Zdaje się równy wieżom.

LAURA. Choć w domu jestem sama,

Nie karczmarka gościnna, —

To wszakże moja brama

W czyściu być nie powinna

¹⁾ Nad bramą ruin starodawnego pałacu w Mykenach są wyrzeźbione dwa lwy.

Za nieludzkość. — Gniewoszu,

Co mi radzisz? Mów szczerze!

GNIEWOSZ. Tatarstwo w blizkim koszu.

LAURA. Cóż?

GNIEWOSZ. Zdadzą się rycerze.

LAURA. Zawsze mojej przeciwny zabawce,

Raz przynajmniej chcesz tego, co ja chcę.

Dziwne miałam dziś sny. Któż to taki?

ZAWISZA. Czy ta panna w tym domu zarządza?

GNIEWOSZ. Szaniawskiego widzisz mnuczkę przed

Złóż jej hold! [sobą.

ZAWISZA. Co? Pan Bóg z tobą!

Sтарыś, a otwierasz wrzeczadza

Tam, gdzie, straż przy takim szczygle

Odprawiając, człek rozsądny

Winienby zapuszczać rygle.

GNIEWOSZ. Prawda, prawda! Człek porządny

Jakiś, prawdę gada gołą.

ZAWISZA. Panno! Uniżam me czoło

I proszę cię o gościnę

Na jedną noc, nie na dłużej,

Bo, panno, jestem w podróży,

Gdzie mi rzadko o pierzynę,

A częściej mi mech za nią służy.

LAURA. Gość, ile ci się podoba,

Bowiem świadczy twa postawa,

Żeś jest szlachetna osoba.

(Ach, jak jestem wiedzieć o nim ciekawa!)

ZAWISZA. Przyzwoitość, jak widzę, mi każe,

Choć nie pytasz, oświadczyć się z miana.

LAURA. Imię twoje wezmę w darze

I będę uradowana,

Jeśli je dasz z wolnej woli;
Jeśliby jednak w twej doli
Rycerskiej leżała na dnie
Jaka smętna tajemnica, —
Gość pod nazwiskiem szlachcica,
A nikt się tutaj nie wkradnie
Tam, gdzie tajemnica gości.
(Ach, umieram z ciekawości!)

ZAWISZA. Świat mię zna, jak złego szeląga.

Na co mi tajemnic cisza?
Nazywają mię, panno, Zawisza,
A głos famy, głupi, marny,
Ufundował na ziemi, żem czarny
I roznosi to sobie po świecie.
Ale nie jest tak. Świat nie wie, co plecie;
W duszę zajrzał tylko rogiem
I myśli, że już ją widzi —
A ja czuję, żem jest biały przed Bogiem;
Dusza moja czarnością się brzydzi.

LAURA. Ja się do tej przyłączę potwarzy
I głos powiększę gromadny,
Widząc hełm ten spuszczone na twarzy.
(Ach, jak jestem ciekawa, czy ładny?)

ZAWISZA. Twarz moja od słońca ćmi się
I nie jest świeżą, jak kwiaty;
Do tego jestem dziobaty —
Jeżeli chcesz, to przypatrz mi się.

LAURA. Ach!

ZAWISZA. Co z marmuru jak ()¹⁾
Twarz żółtą się zdejmuję ciemnością.

¹⁾ Słowo nieczytelne w rękopisie.

LAURA. Ach, nie! Na twarzy krew widzę.

ZAWISZA. Przepraszam, że przed jejmością

Stałem tak nieobmyty —

Wyprowadźcie mię w kąt gmachu —

Bom wcale oczom kobiety

Nie chciał zadawać przestachu.

Nie wiedziałem o tej ranie.

LAURA. I owszem, wielmożny panie —

Ja córka jestem rycerzy,

Ze krwią świętą obeznana,

I wiedz, że tu każda rana

W tym domu do mnie należy.

Kto więc w tym domu zabawi,

Może wynieść swoje złoto,

Puszczę go z sercem i z cnotą,

Lecz chorobę tu zostawi,

A z dumą łącząc pokorę,

Proszę cię z łzami dziewczyny,

Niech na chustkę moją zbiorę

Te krwi szlachetnej rubiny

I niech je mam w podarunku.

ZAWISZA. Ta krew wylana z trafunku

I chusty twojej niegodna;

Tatar mię jeden zadrasnął.

O tej ranie nie wiedząc, bym zasnął,

A ty się tak troskasz o nią.

LAURA. Pozwól mi pomacać dłonią!

ZAWISZA. Nic niema, całe czerepy.

Zdało mi się coś czasami,

Że mokry, że krwią jestem ślepy;

Bo nie wiem, co ślepym być łzami,

Cnoc mi czasem na świecie samotno.

Otóż czułem, że mi coś wilgotno,
A tyś pierwsza o krwi mi doniosła.

LAURA. Dajcie wody w nalewce!

ZAWISZA. Nie trzeba.

Moja rana już zapewne się zrosła.
Gdzież ta chustka? Na jasne cię nieba
Proszę, rzuć tę ściereczkę zbroszoną!

LAURA. Tu ją schowam, o, tu!

ZAWISZA. Splamisz łono.

LAURA. Co? Jabył łono splamila

Tą krwią? Czarnego Zawiszy?

LAURA — GNIEWOSZ.

LAURA. Od lekkiej ja rany zbladła,

Co on o mnie myśleć będzie?

Zanieś mu te prześcieradła

I powiedz, że w domu się przedzie

Takie płótno przez dziewczęta

Pod memi właśnie oczyma,

A potem w kwiatkach się trzyma;

Różane listki i mięta

Przenika tak rąbki płócienne,

Że śpiącemu sny przynoszą wiosenne.

GNIEWOSZ. To już jest prawdziwa jama

Pod tym rycerzem i dołki...

LAURA. Ale nie mów, że ja sama

Daję mu te prześcieradła;

Ja tylko zbierała fiołki

I kwiat do nich świeży kładła.

GNIEWOSZ. To już jest szturm...

LAURA. I, Gniewoszu,

Nie mów, że ja sama w koszu

Brałam je, gościem zajęta.
Powiedz, że moje dziewczęta
Przyniosły...

GNIEWOSZ. Kryjesz daremnie
Serduszek.

LAURA. Że ci przyniosły
I dały, ale odemnie.

GNIEWOSZ. Panno!

LAURA. Co?

GNIEWOSZ. W te zwiady posły
Wysyłaj swoje dziewczęta,
Bo mój łeb nic nie pamięta.

LAURA. Ach, prawda, myśli me kwitną,
Jak len, zasiany na łące —
Jasno, majowo, błękitno;
Lecz, kiedy pójdą na tkanie
I przez stare przejdą usta,
Zesrebrnieją, jak ta chusta,
Jak twoje, Gniewoszu, włosy.

GNIEWOSZ. To prawda! Me myśli, to kłosa —
A twoje panienko, to kwiaty.
Jakiby ja był bogaty,
Gdyby ja miał piękne dziwy
Twych myśli i mój włos siwy!
Tu srebro, a tutaj złoto.

LAURA. Wiesz, że ja jestem sierotą;
Służ mi dziś wierniej, niż kiedy.

GNIEWOSZ. Panno, strzegłem twojej schedy,
A teraz szczerze poradzę.

LAURA. Mów, starcze!

GNIEWOSZ. Kto tu ma władzę,
Niech tego orła zatrzyma.

LAURA. Nikt tu władzy takiej nie ma.

GNIEWOSZ. A jeśli kto ma, niech użyje.

LAURA. Nacóż to?

GNIEWOSZ. Tatarstwo bije,

Wioski odziera i pali.

LAURA. A ty-ż tu, w garnku ze stali,

W kolcu, gdy wzrok wyjaszczurzysz,

A cały się zakapturzysz,

Wlazłszy w drucianą koszulę,

I staniesz na czele draba ¹⁾,

Wyglądając na żelazną babulę.

Czy ty już doprawdy baba?

GNIEWOSZ. Nie baba, panno — lecz stary.

LAURA. Myślałam, żeś jeszcze jary,

Że mi dość obrony z ciebie,

A ty już, jak widzę, zgniłka,

Na łaskawym chciałbyś chlebie?

GNIEWOSZ. Jest jeszcze gdzieś we mnie żyłka

Wojacka, ale już rwie się.

Wychodzi.

LAURA. Ach — jak smutno, kiedy w lesie

Drzewa się same przyznają,

Że już w sobie serc nie mają,

Że je czas do grobu zniesie!

Jaki smutek od człowieka,

Co już tylko grobu czeka,

A innych do życia pędzi —

I do miłości zachęca —

A tak, że, gdy słowem znęca,

To zda się, że urąga i zrzedził!

¹⁾ = najemnych żołnierzy.

SCENA IV.

ZAWISZA. W zamczysku mi tu dano cudowne
[mieszkanie;

Widzę dwie cerkwie złote, co mają ubranie
Z kalin — i z tych korali sięją błyskawice,
Błyszcząc się, jak dwa pełne na stepach księżyce.
Dalej San srebrny sobie prowadzi girlandy,
Tam kurhan, coś jakoby nasza góra Wandy
Pod Krakowem, a zresztą pusta okolica, —
Oprócz orłów nikogo.

Wchodzi MANDUŁA.

Ha, synu księżycu,
Cóż tam, jakeście drogę znaleźli do pana?
MANDUŁA. Dziad nam jeden, żebrzący pod krzy-
[żem kurhana,

Pokazał i sam tu nas, panie, przyprowadził.
ZAWISZA. Manduło, trzeba, abys mi szczerze pora-
[dził,

Co mam czynić: czy jechać prosto do cesarza,
Który ma iść na Turki, czy, nakształt mularza
Jaskółki, zacząć wreszcie własne gniazdo lepić?
Bo to, widzisz, do hełmu tęczę tę ucześcić,
Co się nazywa sławą, to potem cię ona
Za hełm ciągnie, aż porwie, jak burza szalona
I potem człowiek schodzi ze świata, jak głupi,
Jak ten, co na jarmarku jest, a nic nie kupi,
Aż inni mu z pod nosa towary rozbiorą,
A on wtenczas do kiesy. Tęcza ta siedmioro
Ma kolorów: kościelna sława, fiolety —
Różaną jest, chcąc wiecznie trwać w sercu kobie-
[ty —

Zieloną jest, kiedy chce szczepić myśli drzewo,
Ognistą, kiedy człowiek, co stanie na lewo,
W ognia się piekielnego ubierze pochodnie
I chce światowi wiecznie doświecać przez zbro-
[dnie —

Błękitną jest stalowa sława bohatera —
Każda z nich żółta wtenczas, gdy w sercu zamiera
I przed śmierci się okiem, przy złożeniu ciała,
Duszy smętnej pokaże blada i strupiała —
Tyle nie warta, ile jeden anioł Pański...
Powiedz mi, choć ty człowiek młody i pogański,
Ty wiele wiesz i więcej od naszych znachorów;
Od ciebie myśli moje nabrały kolorów
I smutku, pierwej wcale na to obojętne.
Zaraziło mię, chłopcze, twoje serce smętne —
A z tem mi jednak dobrze.

MANDUŁA. Sława cel żywota!

ZAWISZA. Bah, kto się w taką tęczę za młodu umota,
To go na niej fortuna, jak na pasku, wodzi.
Ja chciałbym już cokolwiek pokoju... Cóż szkodzi
Panu Bogu, że człowiek jeden zleniwieje?...

MANDUŁA. Zachodni mi wiatr, panie, od Grenady
[wieje;

Pamiętam, co królowi rzekła tam niewiasta:
»Jeżeliś, jak mężczyzna, nie obronił miasta,
To teraz nad zwalonem płaczże, jak kobieta«.
I król płakał.

ZAWISZA. Król płakał!

MANDUŁA. A łzami nie zmyta

Ta plama z tego króla, co płakał.

ZAWISZA. Manduło,

Czy ty szatan? Coś moje tu serce poczuło,

Coś strasznego, coś oczy moje zobaczyły.
Siodłaj konia, Manduło, daj miecz! Na mogiły,
Na stepy, gdzie potrzebny jestem i wołany!
Siodłaj konia! Na stepy, hurmą na kurhany,
Na stepy... przeciw ludom — i rzeziom — i lu-
[nom; —

Jeśli puste, to przeciw wichrom i piorunom,
Gwiazdom — głosom — i burzom — i słońcom
Ja sam jeden! [i duchom

MANDUŁA. Dlaczegoż ty myśli posłuchom
Taki łatwy! Chodź! Połóż tu, na piersiach głowę.
Ty dziecina, na harfy ci takie duchowe
Niema jeszcze dość echa; zanadto cię trwożą!
Nie bój się! Ciebie w polskim grobowcu położą
Polskie ręce i polskim cię piaskiem przypruszą.
Allah, il Allah!

ZAWISZA. Słuchaj! Ty nad moją duszą
Masz jakąś władzę! Jeśliby nie była święta,
Jeżeli twoja dusza nie w Bogu poczęta,
Dostała sobie ciała i tę trochę gnatów,
A jest z gwiazd i z kolorów zamglonych i z kwia-
[tów,
Jak owe widma, które ludowi się jawią
W jesieni, zlatujące z girlandą żórawią,
Albo w łożach, jak jakie świetliki, nadrzecznych,
Jeśli ty jesteś jedną z tych dusz niebezpiecznych —
Chłopcze?!...

MANDUŁA. Nie bój się, paniel! Jestem wiernym słu-
[gą.

ZAWISZA. Chłopcze, uwolnić ciebie myślę niezadłu-
[go;

Chcę tylko zebrać cokolwiek pieniędzy,

Abyś z wolnością razem nie poznał zła nędzy,
Aby cię znów nie znalazł do nabycia kupiec,
A gorszy, niż ja, chociaż bogatszy. Ha, Głupiec,
Cóż tam słyhać? Po oczach widzę, że masz w czo-
GŁUPIEC. Tak, panie. [pie!

ZAWISZA. Czyś strachem się postawił w konopie,
Że tak machasz rękami?

GŁUPIEC. Fiu!

ZAWISZA. Jak szelma spity!

GŁUPIEC. Posadziły mię w środku zamkowe ko-
[biety

I dalej pytać: 1-o, czy jestem żonaty —

2-o, czy król polski, jak niedźwiedź, kosmaty —

3-o... już nie pamiętam... pytały o panu.

ZAWISZA. Szelma, plotki mi nosi! Czart daj go sza-
[tanu —

Gdybym słuchał, stałbym się kobietą, Manduło.

Weź go za uszy, bo się to łajdactwo skuło

I gotowe tu jakie o mnie roznieść łgarstwo.

Wiesz, jakie mamy zwykle na niego lekarstwo,

Ażeby go pozbawić zaćmienia i czkawki;

Oto, weź go za uszy, poszukaj sadzawki

I rzuć go w nią, jak zwykle, z butami i z głową.

GŁUPIEC. Turku!

MANDUŁA. Chodź ze mną, bracie.

ZAWISZA. Weź będzie mu zdrowo,

Jak się dobrze wykąpie. — Ja, zwyczajem gości,

Pójdę grzeczności nieco powiedzieć jejmości.

Zdaje się, że mię ta panna kaptuje;

Pierwszy raz zdarza mi się taka grzanka.

Lecz miód miłości tylko muchy truje,

Jeśli zaprawny jadem. Ta szlachcianka

Białej płci, a tak anielskiego oka,
Na proste moje myśli — za wysoka,
Chybaby... lecz to wcale być nie może...
Chybaby jacy aniołowie święci
Chcieli mi posłać liliowe łoże,
Przez matkę moją nieboszczkę ujęci,
I czuli litość już jakąś nademną,
Widząc, że mi tak na tej ziemi ciemno.
Lecz to nie może być, bo to się sprzecza
Z moją ofiarą dawną i wotywą,
Że byłem tu był, jako człowiek miecza,
Pierwszy po śmierci i miał sławę żywą
W kraju wieczystej zapisaną księdze —
To się oddaję na wzgardę i nędzę
I nigdy szczęścia złotego nie imam,
Jeżeli będzie z tą sławą w sprzeczności —
A, co trosk będzie na świecie, wytrzymam,
A zniosę, co jest w sercu ludzkim złości,
Lub to na dobre sobie wytłómaczę —
A, co przebaczyłby święty, przebaczę.

DZIAD *wchodząc*. Piękne votum, lecz wcale jest nie
Bowiem w Polszcze inaczej. [polskie, panie;
ZAWISZA. Co, stary gałganie?
Jakto w Polszcze inaczej?
DZIAD. Tak, mości Zawiszo!
W Polszcze rycerze naprzód w polu się popiszą,
A potem w karczmach sobie za to ciągną trunek
I pić mogą przez całe życie na rachunek;
I gdy im poprzek jacy przeciwnicy staną,
Mogą przez całe życie tą krwią niewylaną,
A z której sobie czopa wyjęli husarze,
Mogą przez całe życie pluć, mospanie, w twarze

I opinie tym swoje rozgłaszać w pokoju,
Na tym słowie oparci tylko: »Byłem w boju«,
Na tym słowie fundament mając swój, jak wieże.
Rzekłbyś — że owa sztuka, bić się, raz się bierze,
Jak chrzest, a potem wiecznie już trwa sakramen-
[tem.

To też się brudzą, żółcią zachodzą i mętem,
Po zamkach zawieszają na oku zbroice,
A winem napelniają węgierskim piwnice,
Tak, że, dopóki w gardła przyjaciółom leją,
To się ich sławy, jako te wina, starzeją
I, coraz niby lepsze, ku starości dążą;
Potem te sławy oni między sobą wiążą
I rodów zawiązują bezecne fontazie ¹⁾,
Które na tych piwnicach, a nie na żelazie,
Stoją w winach, jak gniazda octowych robaków.
I to jest sława naszych, Zawiszo, Polaków.
ZAWISZA. Jak widzę, moralista ty jesteś głęboki.
DZIAD. Były tu kiedyś, mówią, latające smoki —
Dziś ich nie masz; i czarne były tu łabędzie —
Dziś niema. Kiedyś, czarnych rycerzy nie będzie,
Choć dziś są.

ZAWISZA. A cóż robić na to?

DZIAD. A cóż robić...

ZAWISZA. Gdybyś ty umiał, stary, te myśli ozdobić
I tak chodzić po kraju z niemi i siać w łona,
Co myślisz!

DZIAD. Trudna sprawa. Już Polska skończona,
Jak tylko sobie w kłębek ziemskie szczęście mota...

¹⁾ Kokardy, węzły.

ZAWISZA. Łzesz — bo ci jeszcze z mego dostarczę
Pieśni! [żywota]

DZIAD. A koniec jaki będzie tej piosence?

ZAWISZA. Włóczęgo, jeśli twoją ja korbę pokręcę,
To zagra smętnie, wierz mi i — końca dopisze,
Bo aż jęknie, gdy wszystkie w pył pójda klawisze.
Gdyby mi raz do taktu z duchem zaśpiewała,
Tak będzie, ot, z gnatami, starcze, mego ciała:
Jeśli raz zaśpiewają mi do taktu z duszą,
Albo jak piorun zagrać, albo pęknąć muszą.

DZIAD. Piękne słowa; lecz szkoda, że i czyn nie taki.

ZAWISZA. A odkądże to, starcze, powiedz mi, żebra-
[ki...

DZIAD. Odkąd rycerze panny bogate uwodzą.

ZAWISZA. Dobrze, że twe kości chodzą

Pod tych łachmanów opieką —
Dobrze, że od słów twych daleko
Do mnie i odemnie do ciebie,
Bo klęę się Bogiem na niebie
I tą pochodnią światłości,
Że potrzaskałbym ci kości
Za taką kałumnię podłą!
Co? Ja, który mam za godło
Orła, ale serce szczerze
Niż gołąb — pod obcy dach
Wlazłbym, jak adonis gach?
Ot, patrzaj, i składam wiersze,
Prawdziwie, jak zwodziciel zalotnik!
Dziękuj Bogu, że cię schował
W łachmany, bo żaden złotnik
Czaszki by nie zreperował,
Gdybym ci ją nadpsuł nieco!

SCENA V.

LAURA — LIRENKA.

LAURA. Tyś obeznana z ojca mego ręką;

Przeczytaj mi ten list, moja Lirenko.

LIRENKA. Kochana moja Lawruniu!

Już to prawie dwa miesiące,

Jak chorągwie latające

Nasze przy cesarzu stoją.

Król, jak powiadają, w Toruniu

Spotkał się z supliką moją,

Gdzie mu powiadam otwarcie

W imieniu wielmożnych braci,

Że — jeśli nam nie wypłaci

Pięciu grzywien, podług prawa —

To się pokażem w lamparcie

Ubrani i moja buława

Na nic, choć, jak Eol, straszę —

Bo te moje Boreasze,

Ruska szlachta, wiatr przeciwny,

Już ci ku domowi wieją. —

Jestem więc tylko z nadzieją,

Że przyjdą z reskryptem grzywny

I obrócą nas na Turka;

Jeśli nie, to moja córka

Niech się mnie spodziewa na święta. —

Pan cesarz to sztuka kręta,

Jak widzę, że w lisiej szubie;

Im więcej go znam, tem mniej lubię,

Bo mię stary ten jegomość,

Ilekroć wejdę w znajomość,

Z jego przeniemiecką mością...

Podkupił mię jednak trochę,
Chwaląc z wielką serdecznością
Namiot, przez moją dziewczuchę
Haftowany, i makatę,
Co wisi nad moim tapczanem.
Nawet — choć to z jego stanem
Niezgodne, szlachecką chatę,
(Bo namiot, to chata szlachecka)
Haftowana ręką dziecka
Obdzierać z anielskich osób
I tęcz robionych jedwabnie —
Jednak cesarz znalazł sposób
Przymówić się bardzo zgrabnie —
Jak gdyby sam spał na guni —
Do robót mojej Lawruni,
Mówiąc, że będą użyte
Przeciw Turkom na sztandary.
Dałem mu więc szmat kotary,
Ale Niemczysko nie syte,
Chciało więcej.

LAURA. Stój, Lirenko,

Bo mię to bawi, że owe makaty
Tu smętną moją wyszywane ręką,
Do których tyle dziewczek brałam z chaty
I od wieczornic wzięte i od tańców
Sadzałam u kanw przy świetle kagańców —
Że teraz owe jedwabie błyszczące
W zorzach różanych gdzieś na wiatrach grają
I gaszą Turków srebrne półmiesiące —
I tak na wietrze, jak harfy, śpiewają
I tak o Polszcze, jak anioły, szepcą
I tak po trupach, jak Polaki, depcą.

Ach, najpiękniejsze myślami wybiorę,
O walkach marząc — i myślą zobaczę
Świętego Jana, co na tęczach gore —
Najświętszą Pannę, co w turkusach płacze,
Albo Chrystusa w oliwnych drzewinach,
Który, spotniawszy cały, jest w rubinach,
Bo jam użyła kosztownych kamieni,
Najcudowniejszych barw dla mego ducha —
I duch mój poszedł na skrzydłach płomieni
I dziś rycerstwo mych rozkazów słucha,
Bo jam jest Polką minionych stuleci,
A, gdzie ja idę, wszystko za mną leci.
LIRENKA. Jezus Marya! Co się pannie stało?
LAURA. Nic, czytaj dalej ten list, teraz drogi...
LIRENKA. Chciał mi więc makatkę całą

I cały domek ubogi
Splondrować — to też, nareszcie,
Przychodzącemu po kweście
Nie odmówilem. Choć zbesztasz
Za to, wiem, że będziesz rada,
Bo to był rycerz ten kwestarz.
Lawruniu! Coś mi tu gada
W ucho i szepce o tobie,
A w snach mi się ciągle szastasz;
Bo też już, dziewczko, dorastasz,
A w klejnotowej ozdobie
Naszej krwi jest także wrzątek —
I przywiązania są mocne.
Na to wszystko są pomocne
Pacierze, których dziesiątek
Odmawiam wieczór i rano
Za ciebie. Na ogień dmuchaj,

A mego Gniewosza słuchaj —
 A bądź mi zawsze kochaną
 I na twarzy koralową,
 Bo ja chcę mieć córkę zdrową,
 Nie szkielet, ani też beczkę.
 Całuję moją Lawreczkę —
 I proszę o jakie słowo
 W odpowiedzi, ale wolny
 Respons i z serca gorący.
 Ojciec ciebie miłujący,
 Jan Sanocki, hetman polny,
 Posiłkujący cesarza,
 Propria ¹⁾ i bez sekretarza,
 Własnoręcznie piszę. Vale.
 LAURA. Nic więcej niema?
 LIRENKA. Są niżej drągale,
 Jakieś litery.
 LAURA. Czytaj, bowiem zawsze
 Podskryptum ojca mego najciekawsze.
 LIRENKA. Lawruniu, cesarz za zięcia
 Roi mi jednego księcia,
 Którego jużem spróbował,
 Czyli dobry jest do cięcia,
 Bom się z nim pojedynekował.
 Ni siak, ni tak.. Otóż wczora
 Ten firszt zniknął, jak kamfora —
 I sędzę, że go pokusa
 Wzięła zajrzeć ci w ślipięta.
 Jeśli tak — spraw mu dyngusa;
 Niech wie, że u nas książęta

¹⁾ Propria (domyśl.: manu) = własną ręką.

Masek na siebie nie kładą
I nie biorą dziewczek zdradą...

LAURA. Nic więcej?

LIRENKA. Nic, ani słowa.

LAURA. Ach, niechaj mię Bóg zachowa
Od Niemca!

LIRENKA. To może ten czarny?

LAURA. Nie, nie, Lirenko. Czarny, to Zawisza;
Lecz może giermek ten, do smukłej sarny
Podobny, świętość udając derwisza
I tureckiego człowieka-niemowę,
Chce mnie oszukać — polską białogłową.
Może niemiecka to się kryje sztuka
Pod skrzydło polskiej i rycerskiej wiary?
Słyszałam, jak mu w łonie serce puka —
Widziałam płomień, co, jako pożary,
Pod smagłą mu płą pożary rozniecił
I tak, jak rubin, karminami świecił.
Tak, to gach, to firszt. Oczu błyskawicą
Strzelił mi w serce, a choć ubior podły,
To wyłożony perłową macicą
Kołczan — i po nim do uschniętej jodły
Barwą podobny warkocz i te sploty,
Których tak cudny blask brunatno-złoty,
Razem z kołczana zmieszane jasnością,
Jak ogień z białym błyskawicy skrzydłem —
Świadczą, że on się naradził z miłością,
Jakim na oczy stanąć malowidłem,
Jakim z kołczana uderzyć promieniem,
Jak w cień miłości wabić włosów cieniem.
Tak, tak, Lirenko. Piękniejszy odemnie
Ten książę młody w wytartej sukmanie —

Ale się kochać będzie niewzajemnie
I będzie kochać, aż kochać przestanie,
Bo mnie nie weźmie, jak rybkę, na wędę —
Bo, choćby kochał, kochać go nie będę.

LIRENKA. Ach, jak to dobrze być córką starosty
I tak przebierać w przebranych książętach!
Wszystko jej dobrze! Ubierze się w osty
Srebrne, bodjaka włoży w dyamentach —
A dyamenty i kolczaste ziele
Są, jak promienie światła na aniele.
Wszystko jej dobrze i wszystko przystoi;
Im grubszy ubiór i skromniejsze pasy,
Tem więcej ją to grubiaństwo stroi
I płeć przemienia białą na atlasy —
A ja, ubrawszy ciebie w dyamenty
I w ost — ubranej boję się, jak świętej.

LAURA. Moja Lirenko, pochlebny słowiku!
Co mówisz, twoich ustek świeżych godne;
Na to my, panny, kąpane, jak w mleku,
Na to Bóg rodzi nas piękne, dorodne,
Na to brylanty nam garściami rzuca,
Na to przesycą i na to zasmuca,
Abyśmy nad te wioskowe padoły,
Na które ciągle idzie Turków morze,
Wylatywały w zorzach — jak anioły —
I, czego sam miecz uczynić nie może,
Dokonywały, przed szatanów złością
Broniąc kraj wiarą ducha i pięknością.
Lecz oto, widzę, pan Zawisza kroczy;
Idź i podglądaj, Lirenko, Turczyna,
A ja tu spojrzę rycerzowi w oczy
Raz, jako słońce — raz, jak gwiazda sina, —

Raz, jak meteor, co się we mgłach gubi, —
Aż wypróbuję, co kocha i lubi.

ZAWISZA *wchodzi*. Twardy zamek i potężny;
Obejrzałem parapety ¹⁾).

LAURA. Prawda, że nie dla kobiety?

ZAWISZA. Co mówisz, panno? Dla księżny!
Stare zamczysko, uczciwe.

LAURA. Jednak przeciw ludzkiej zdradzie
Ten mur oporu nie kładzie —

I te wieże świegotliwe,
Jaskółek pełne, nie bronią.

ZAWISZA. Przeciw zdradzie nic nie broni,
Lecz w Polsce nie słyhać o niej.

Są panowie z podłą skronią,
Płaszczący się przed królestwem, —

Lecz to minie, jak rzecz nowa,
Dopóki ładna królowa,

A król otoczony litewstwem,
Co niedawno się bałwanom

Kłaniało, a teraz Jadwusi;
To i szlachta nasza z Rusi

Podrzeźnia litewskim panom
I chyli coś trochę głowę.

Lecz to małpy, to nie ludzie!

O! my, prości, jak psy w budzie,
W namiotach, na żołdu polowę,

A czasem za żołd tylko z nieba,
Wszędzie, kędy nas potrzeba,

To stajem.. Tak zawsze będzie.

¹⁾ Parapet — wał obronny, górna część szanca, osłaniająca żołnierzy.

LAURA. O, czyste serce łabędzie!

Jaki on piękny!

ZAWISZA. Co szepczesz?

LAURA. Powiedz mi! Gdy węża nadepczesz,

Co z nim czynisz?

ZAWISZA. Co? Rozgniatam

Na miazgę.

LAURA. Boś bojownikiem;

Ale ja jestem słowikiem

I często w paszczę mu wlatam, —

Bo dla mnie to piekła brama.

ZAWISZA. Bo kobieta nie powinna być sama;

Niech sobie męża wybierze —

Póki nie, to ojciec strzeże.

LAURA. A kiedy ojciec daleko? —

ZAWISZA. To jest zawsze pod rycerzy opieką;

Jej opiekun — pierwszy, kto szlachetny.

LAURA. Gdyby więc tu rycerz, świetny

Sławą, stanął zabłądzony,

A ja prosiła obrony

Przeciw zdradzie jakiej ciemnej,

Nie mówiąc myśli tajemnej,

Która mnie do prośby skłania —

To on...

ZAWISZA. Miałby ci do dania

Obronę.

LAURA. Dobrze. Obaczę,

Czy ciebie tem nie zahaczę

I nie zatrzymam.

ZAWISZA. Do czasu;

Tylko mi nie dawaj atlasu

Na pościel i róż za wezglowie,

Ani w rosole brylantów,
Ani pieczonych bażantów —
Bo to nie na moje zdrowie
Te rzeczy; ja chcę życie przedłużyć
I żyć, póki można, zdrowo.

LAURA. Czymże ci mam, panie, służyć?

ZAWISZA. Z serca — sercem.

LAURA. Czy połową?

ZAWISZA. Całem służ.

LAURA. Jakże to się całem służy?

ZAWISZA. Powiem ci. Jest na wschodzie wiestka, że
[się w róży

Kocha słowik. Tę piosnkę śpiewa mój Manduła;
Nuta jakaś piosenki posepna i czuła,
Która mi często do snu smętne oczy mruży —
Otóż mi ten Manduła całem sercem służy,
Z całej pamięci swojej wydobywa dźwięku
I często sobie zaśnie z swym torbanem ¹⁾ w ręku—
I jeszcze przez sen jakieś piosenki bandurzy.
Widziałem go, że we śnie paluszkami rusza,
Jakby grał i chciał jeszcze piosenki dośpiewać,
Tak, że, choć śpi — to nie śpi, miłująca dusza.
Ten chłopiec całym sercem służy; ja się gniewać
Nie mogę, że posługi oddaje nie duże,
Bo nic nie umie, tylko grać na tej bandurze.
Ale gra z serca.

LAURA. Więc to Turczyn ten Manduła?

ZAWISZA. A któżby to był?

LAURA. Nie wiem...

¹⁾ Torban, właściwie: teorban, rodzaj liry.

ZAWISZA. Spotkałem chłopczynę,
Ze pracował gorzej muła,
Kopiąc pod Kamieńcem glinę;
Niewolnik, wojenny braniec,
A chudy, jak szkielet, i siny.
Szczęściem, że mi pan Szafraniec
Na wykupienie chłopczyny
Potrzebne cztery cekiny,
Które mu oddałem w czasie,
Pożyczył; tem ja okrutny
Los jemu, panno, osłodził,
Myśląc, że mi się odpasie —
Lecz mi chłopczyna coś smutny,
Jakby się do smutków narodził;
Pomimo pielęgnowania
Nie odkwita. Co się tyczy
Zaś tego, co nosi, nazwania,
Zda mi się, że jest pełne słodyczy
I w oczy jasnością kole,
Bo, kupiwszy to pachole,
Aby mi się nie popsulo,
Jak drugi, zostawszy frantem —
Ponieważ był mendiķantem,
Więc nazwałem go Mandulą.

LAURA. Śmiech mię i płacz razem dusi.

ZAWISZA. A tobie, jak chrzestne nazwanie?

LAURA. Laura.

ZAWISZA. Lawra.

LAURA. Laura, panie.

ZAWISZA. A, Lawra, Lawra być musi —
Po polsku Lawra.

LAURA. Jeżeli

Ty mię tak nazwał u siebie,

To zapewne mię i w niebie

Tak nazywają anieli.

ZAWISZA. Pochlebiasz mi?

LAURA. Tak, otwarcie.

ZAWISZA. W tym łatwo można przeskrobać.

LAURA. Chciałabym ci się podobać.

ZAWISZA. Poco?

LAURA. Tak.

ZAWISZA. Słodkie są barchie,

To też niedźwiedź na pnie włązi

I myśli, że to są miody,

Dla jego właśnie ochłody

Zrobione nakształt małmazji,

Z róż i z różnych kwiatów polnych

Robione cudownie wina.

Otóż barć — to jest dziewczyna,

A my, serc wielkich i wolnych

Rycerze, to takie niedźwiedzie,

Gotowi myśleć, że dla nas

Jest każdy kwiat i ananas.

LAURA. Powiedz mi, cóż ciebie uwiedzie?

ZAWISZA. Charakter.

LAURA. Jaki?

ZAWISZA. Serdeczny.

LAURA. Dobrze, lecz ja, dziewczka pusta,

Chciałabym znać twoje gusta.

(Przypuszczę szturm obosieczny).

Panie, ja jestem wesola —

Śmiech mi lada rzecz wywoła;

Niema w tem, jak sędzę, grzechu,

Lecz, jeśli się boisz śmiechu,
O, panie, uczynię sprzeczność
Z moją wesołą naturą;
Śmiać się nie będę przez grzeczność —
Stanę się dziką, ponurą;
Dopiero, gdy wiatr zawieje,
Co stąd precz wyniesie ciebie,
To się głośno roześmieję,
A smutku larwę pogrzebię
Pod brzozą i pod gwiazdą poranną.
ZAWISZA. Śmieję się sobie, moja panno,
Śmieję się — mnie śmiech nie dotyka.
LAURA. Lecz, panie, ja od słowika
Smutniejszą jestem wieczorem.
Jeśli się z czarnym kolorem
Twej zbroi smutek nie godzi,
Jeśli tobie, panie, szkodzi,
Nie będę ci smutkiem natrętną.
ZAWISZA. Panienko — bądź sobie smętną,
Smutek mi nie jest przeciwny.
LAURA. Zaprawdę, charakter dziwny;
Co powiem, wszystko mu jedno.
Panie, sztuką niepowszedną
Uczona paluszki chyże
Puszczają po srebrzystej lirze,
Na wielką przyszłam naukę.
Lecz jeśli ty, człowiek broni,
Nie lubisz, jak lira dzwoni,
Ja moje liry potłukę
I będę cichą niemową
I piosenki nie zamruczę,

A gdy odjedziesz, na nowo

Palce moje grać wyuczę.

ZAWISZA. Nie tłucz lir. Dobrze są czasem,

Kiedy je słyhać pod lasem

Przy miesiącu, z kwiatów wonią,

Pieśń co po rycerzach dzwonią.

LAURA. Czy lubisz kadzidła?

ZAWISZA. Zakadź!

LAURA. Choćby piżmem?

ZAWISZA. Choć jałowcem.

LAURA. Więc będę śpiewać i płakać,

Śmiać się i wonieć piżmowcem,

A ty mi powiesz, gdy cała,

Zmienniejsza ja od miesiąca,

Będę zanadto pachnąca,

Lub będę nadto płakała.

ZAWISZA. Dobrze — jam szczerą osobą;

Jak mi się co nie podoba,

To powiem.

LAURA. Choćby me oczy

Nie podobały się?

ZAWISZA. Powiem.

LAURA. Serce me do niego skoczy,

Jak rybka, co za ołowiem

Skacze, wzięta sztuką zdradziecką,

Bo on, to mój ojciec — i dziecko.

GNIEWOSZ *wchodzi*. O, panno! W zamku naszym
[wielka zdrada!]

Panno, żebrak ten, to wróg ukryty!

LAURA. Żebrak?

GNIEWOSZ. Kazałem wziąć do lochu dziada.

LAURA. To firszt...

GNIEWOSZ. W kłódki go zamknąć, z wołokity
Zedrzeć odzienie, przetrząść. Znalezione,
Panno, pod jego płaszczem ta korona.

ZAWISZA. Musiał ją zedrzeć w kościele amator;
Złodziej jest jakiś, widzę, rubicundus.
Daj mi ją. Cóż widzę! »Imperator
Romae« — co widzę, panno: — »Sigismundus,
»Regi Vitoldo« ¹⁾. Jest w tem jakiś trunek —
»Regi Vitoldo«. Piękny podarunek...
Cesarz, przyjaciel mój...

LAURA. To jest quiproko ²⁾.

ZAWISZA. Pewnie quiproko jakieś, lecz kwiczące.

LAURA. Nie bierz tej rzeczy do serca głęboko;
Mogą być innych powodów tysiące,
Dla których żebrak jest w tej okolicy.

ZAWISZA. Gdzie jest ten człowiek, mospanie?

GNIEWOSZ. W piwnicy.

ZAWISZA. Pozwolisz mnie z nim sekretnej rozmo-
[wy.

LAURA. Jesteś tu panem. Tylko mu tu głowy
Nie karz, bo może on sercem zawinił.

ZAWISZA. A któż ja? — czy kat, abym sobie czynił
Sam sprawiedliwość? Na zdrajce są prawa.

LAURA. Więc zostań tutaj, a ja, choć ciekawa,
Rozmowie waszej z jeńcem nie przeszkodzę...
Każ go tu sobie przywieść — ja odchodzę.

Odchodzi.

ZAWISZA. Panie Gniewoszu, proszę cię o jeńca —
Wpuść mi go tutaj, jak oko, samego.

¹⁾ = Cesarz rzymski Zygmunt królowi Witoldowi.

²⁾ = Qui pro quo, kto za kogo, = nieporozumienie.

Dziwny czas! Jestem sam nakształt szaleńca,
I miecza jestem człowiek żelaznego
I zda się, wróbli dwóch w Polsce nie ważę,
A muszę same podglądać cesarze.
Dziwny czas. Takie nieczyste anioły,
Jak ja, a muszą w sercu mieć jurystę,
Któryby własne bronił przyjaciół
I sprawy czynił ich przed sercem czyste.
Gdyby nie patron taki — skarż mię Boże —
Chodziłbym, plwając na ludzi, jak w morze.
Smętny świat. Zda się, że niemieckie heldy
Stoją na polach — żelazne osoby,
Ale za koniem zostają hundsfeldy ¹⁾
I za skrzydłami husarza — psie groby,
Nie godne miecza wielkiego rycerzy.
Tyle rycerskich zdrad w tych trupach leży
Gdy myślę o tem, że rycerze miną,
A zdrada może przetrwa je żywotem,
To coraz z większą boleścią matczyną
Myślę o Polsce — chybałym z powrotem
Był na tej ziemi, baran białoruny —
A wtenczas ani wiatry, ni pioruny,
Ani miecz, ani jad, ani trucizna,
Ani bezbożność ducha, ni podłoście
Nie tkną jej. We mnie bowiem jest ojczyzna —
Bo we mnie wszystkie są dla niej miłości,
Jak gwiazdy, w taki uwiązany snopek,
Że razem król ja ojczyzny i chłopek.
MANFRED *wchodzi*. Zawiszo, broń mię!

¹⁾ = psie pola.

ZAWISZA. Więc to ty, chłopaku?

Ty, coś mi niegdyś był rycerskim synem?
Manfredek? Proszę, w tym starym żebraku
Była dziecina, błyszcząca rubinem
Teraz po same aż księżące uszko!
Dobrze pamiętam dziecięce serduszko.
Co ty tu robisz, błaznie? Czy na szpiega
Wyszedłeś? Co to znaczy, wołokito?
Czy ci już główka na karku dolega,
Czy chciałeś, by cię jak ptaszka ubito
Na polskim zbożu, by-ć zjedli żórawie?
Jak mi ty wyrósł, chłopcze! Człowiek prawie!
Wieleż to lat masz? Prawda, już dziesiątek
Lat, jakem ciebie porzucił, Niemczyku!
I w zamku matki twej... tyle pamiątek,
Tyle pamiątek na tym mogilniku...
Gdzie tam cyprysy stoją, koło ściany...
Chodź mi tu, chłopcze! Powiedz mi, kochany,
Czy ty mię kiedy wspomniał? Co? Mów szczerze!
Tego prostaka czyś ty wspomniał kiedy?
Bo ja, bywało, nim się na sen zbierze, —
A wiecie, wiele mam rycerskiej biedy —
I gdzieś na trawie leżę pod gwiazdami,
To często, często myślą byłem z wami.
A twardy miałem żywot na hazardy
Różne fortuny zmiennej wystawiony;
Otóż pomimo ten los, nieraz twardy,
Myślałem o was. Dziwniem rozczulony
Twoim widokiem! Dziwne rozczulenie!
Ile tam wody upłynęło w Renie
Pod zamkiem! Chłopcze, mój mały lamparcie,
Bądź dobrej myśli! Masz tu opiekuna —

Lecz wszystko, co wiesz, powiedz mi otwarcie.
Tyś był podobny zawsze do świstuna
I teraz pewnieś rzecz nie z serca czynił,
A tylko dawną płocnością przewinił.

SCENA VI.

ZAWISZA — LAURA.

ZAWISZA. Teraz więc, panno, oto ja wyjadę
Sam z moim Głupcem tylko i Mandułą,
Którzy mi staną za ludzi gromadę.
A radbym, żeby serce twe poczuło,
Że, jeśli w sercu ja mam jaką wadę,
Jeżeli się czem wśród ludzi popsuło,
To mi świat cały odda sprawiedliwość,
Że pewnie wadą tą nie jest fałszywość.

LAURA. Szczerze więc powiedz mi, co myślisz
[o mnie?

ZAWISZA. O tobie nigdy ja nie myślę prawie,
Choć ty mi w oczach tak stoisz przytomnie,
Że tobą zawsze oczy, myśli bawię.
A kiedy sząsniesz szatami koło mnie,
To jestem, jakby o dziecko, w obawie;
Radbym się twoim piastunem ogłosić,
Na ręce ciebie wziąć moje i nosić.
Radbym cię nosić, abyś nie chodziła
Nózkami temi i nie miała trudu —
A wiem, że na to starczy moja siła,
Abym cię nosił. Lecz potrzeba cudu,
Aby się chyba ziemia zapaliła,
Wulkany wyszły, z każdego paludu ¹⁾

¹⁾ Bagna.

Nieba zagrzmiały, a świat w ogniu stanął,
A ja nie człowiek był, ale archanioł —
Wtenczas-bym może, może się odważył
W te ręce, patrzaj, na których tak skórę
Miecz swoim tarcie spalił i wyparzył,
Że są, jak jaszczur — wtenczasbym cię w górę
Podniósł i mego ciężaru nie ważył,
Owszem był lepszy, mając tę naturę,
Którą na świecie, wtenczas, gdy potrzeba,
W niebezpieczeństwach matki biorą z nieba.

SCENA VII.

ZAWISZA. Cudna dziewczica! Miękka, jak wosk —
a biała, jak gołębek. Ileż to szlachetnych rycerzy
będzie się ubiegać o jej rękę. Lecz cóż to za wrzask
jakiś powietrzny? Hola, Głupcze! Gdzie ty byłeś,
mazgaju?

GŁUPIEC. W raj, panie, byłem, w raj.

ZAWISZA. Spileś się, jak sztok.

GŁUPIEC. Troszeczkę.

Położyli mię pod beczkę,

Otworzyli nieco spusta,

Aby się w młyn lała woda —

A ja otworzyłem usta,

Myśląc sobie: rzeki szkoda.

ZAWISZA. Co to za wrzask?

GŁUPIEC. Wrony, panie.

ZAWISZA. Skądże to taka haterwa?

GŁUPIEC. Bośmy tu nanieśli ścierwa.

ZAWISZA. Jakiego ścierwa, gałganie?

GŁUPIEC. Tatarskiego.

ZAWISZA. Prawda — głupi...

Ja sam znęciłem te ptaki
I wniosłem tu zapach trupi,
Trupy niosąc u kulbaki.
Tymczasem to straszne larum ¹⁾
Jest złym dla zamku omenem ²⁾,
Groźbą jakichś chrumicarum
I śmierci strasliwym trenem
I grzmi, jakby hymn grobowy.
Mandulo! Idź, pogrzeb te głowy,
A patrz, żebyś mi się nie bał
Niczego w noc tak jasną,
Gdy będziesz umarłe grzebał —
Bo duchy tatarskie, gdy zasną,
Nie wstają, jak chrześcijany.
Lecz nie, Mandulo kochany —
Namysliłem się. Ty zostań,
A ten Głupiec, choć pijany,
Pójdzie i głowy pogrzebie —
A ty piórka twego dostań,
Albowiem jestem w potrzebie
Jakich dla tej panny wierszyków.
Zawsze kwiatków potrzeba kobiecie;
Przemieniłyby ludzi w słowików,
Gdyby mogły. Ty pieśń jaką czułą
Skomponujesz mi dla niej, Mandulo,
Bo ty, jak to mówią, poeta,
Umiesz z pereł wiersz ładny ułożyć.

¹⁾ Gwałt, wołanie na trwogę.

²⁾ Wróżbą.

A pamiętaj, że to ładna kobieta;
Śmiercią jej nie trzeba trwożyć,
Posyłając jaki chorał,
Gdzie śmierć służy za podpis i morał.

SCENA VIII.

LAURA. Więc ci, Gniewoszu, powiedzieli słudzy,
Że on wyjeżdża?

GNIEWOSZ. Skoro świt, wyruszy.

LAURA. Ach, to zabierze słońce mojej duszy!

My go stracimy, a mieć będą drudzy!

Prawda, o, prawda, — tak słońce, stracone

W tym oknie, w drugie znów okno zaziera.

Wszystko na świecie leci w jedną stronę,

A jednak wszystko się na świecie mija.

Ach, nawet człowiek, co tutaj umiera,

Aniółom się, jak piękny kwiat, rozwija.

GNIEWOSZ. Smętniejesz mi coś, panienko kochana.

LAURA. Słuchaj — gdy bramy tu otworzysz zrana,

Powiedz, od prawdy może niedaleki,

Że za nim zamkniesz tę bramę... na wieki.

GNIEWOSZ. Jakto, panienko?

LAURA. Tak, jak wieko trumny.

GNIEWOSZ. A, byłbym ja nierozumny,

Gdybym bramy twego domu

Uczył nieme i głuche

Na stukanie dobrych ludzi.

Wszakże to raz nędza puka,

Goniona srebrną zamiecią,

Nędza, której twarz jak złoto,

A srebrny włos leci z głowy,

A kość wychudła udaje

Wizerunek Chrystusowy.

Więc gdy śnieg, wiatr i wron zgraje
Czarną i błękitną chmurą
Gonią za taką figurą,
Pełną bożej wspaniałości —
I ten posąg z żółtej kości
O bramy rzuciwszy, stłuką,
Jabym rzekł: »Idź, nędzo, dalej,
Bo tu, czarodziejską sztuką
Uśpioną, w trumnie z koralu
I złota — dziewczyna leży,
Miłością swą jednodzienną
Na taką trupią i senną
Zmienioną, w srebrnej odzieży
I w swym panieńskim barwinku.
A zamek ten, to trumna spoczynku
I omdlałości męczarnia —
Już nie tak jako to dawniej,
Gdy ojcowie żyli sławni —
W burzach dla nędzy latarnia,
W pogodę na stepach gołych
Raj, dla serc szczerých otwarty,
Ogród dla ludzi wesołych,
A dla serc, co stalne harty
Mają i biegną po wianki,
Zbrojownia otwarta i szranki,
W których się lew ze lwem spotka«. —
O, prawda, że domom biada,
Które nie zostawią przodka,
Gdzie honor na kądziel spada
I spi na puchowym łonie
I kręci się na wrzecionie,

W różne rozkręcony nitki,
W różne jedwabie tęczowe, —
Gdzie grosz wychodzi na zbytki —
Gdzie myśli lecą przez głowę,
Jak ptaszki, lub błyskawice...

LAURA. To już przechodzi granice

Opieki, mój stary sługo.
Słuchałam — gadałeś długo,
Teraz mię posłuchaj, stary!
Ten rycerz, który tu wjechał,
Jak wiesz, rycerz jest ubogi,
Który majątku zaniechał,
Szczęście wziął pod końskie nogi
I tak stratował, jak węża,
I tak, jako piorunowy
Anioł — dobywszy oręża,
Poucinał wszystkie głowy
U tego srebrnego smoka.
Próżno dziś miłość zalotna
Użyje błękitu oka;
Stanie, jako kwiat, wilgotna
Perłami łez, a z uśmiechem, —
Bo on ją osądził grzechem,
Kazującym serc szlachetnoście,
Niewiarą sądzi ojczyźnie,
Chociaż te są dwie miłości,
Jak piękne dwie siostry bliźnie
I w sercu się jednym godzą
Tak, że, jako dwie kochanki,
Razem po dolinach chodzą
I rycerzowi na wianki
Rwą te anielice stróże —

Jedna laur, a druga róże.
Otóż on, obie za płotem
Wygnawszy, próżno żebrzące,
Pogardził też równie złotem,
Pokojem, rodzinną wonią —
I na tureckie miesiące
Leci, jak gdyby Pogonią
Sądził się, pół herbem kraju.
Lecz, że on taki gorący,
Jakby anioł prosto z raju,
Dzisiaj tu przylatujący,
Ojczyźnie być tą pomocą —
To myślisz, że, kiedy losy
Polskę z niego osierocą,
To znów gdzieś z różanej rosy
I z gwiazd, co na zorzach bladną,
Znów takie anioły spadną,
Znów takie duchy przylecą,
Których piersi są fortecą,
A czoła — chorągwią cudu,
A miecz — dachem srebrnym ludu,
A tarcze — strzał wszystkich celem.
A serce — serc karmicielem,
Pelikanem małych dziątek
I spokojnością dla matek
I dla ojczyzny koroną?...
Myślisz, że, gdy pod tę głowę
Żadne się łabędzie łono
Nie da, lecz same cierniowe
Będą się kładły wezglowia,
A po nim, oprócz przysłowia
Smętnego, co długo się słyszy:

„Polegaj, jak na Zawiszy»,
Więcej nic, nic nie zostanie —
Myślisz, że gniew boży nie wstanie
I tej Polszcze nie pogrozi,
Co nędzą anioły mrozi,
A od złota ich mniej waży,
A kiedy z nich krew wypła,
To Panu Bogu odsyła
Jako w łachmanach nędzarzy,
Mieczami wrogów podartych,
Gdy nawet i na jabłoni
Pełno jest gałęzi wspartych,
A nie, to owoc się roni
I przed dojrzałością spada?...
Więc że ja — że jego rada
Przyjmuję, na srebrne płótna
Kładę, sama karmię z ręki,
A gdy odjeżdża, tom smutna,
Klnę, że te liliowe wdzięki
Przeciwko zbroi nie ranią —
To ty, choć jam twoją panią,
Sądzisz, starcze, że źle czynię,
Żem z tą miłością nie skryta?
Cóż ja? Ja biedna kobieta —
Kwiat, co, jak lilija, mam —
Gwiazda, co dziś tylko błyska;
A jeśli on mi nazwiska
Nie da i spokojnych cieni
Skrzydłem ducha nie osłoni,
Oczyrna nie opromieni,
Skarbów moich nie roztrwoni,
Z ognia, co mi w oczach stoi,

- Światłości się nie napije
I tą wiarą, co w nim żyje
I tryska, mnie nie napoi —
Nie lepiejże, powiedz szczerze,
Zamek uczynić kaplicą,
A ciebie, starcze, gromnicą —
I Jezusowi w ofierze
Panieństwo wieczne poświęcić?
- GNIEWOSZ. Umiałabyś ty przynęcić
Tą pieśnią same anioły...
- LAURA. Więc, mój starcze, bądź wesoły
I pomóż biednej dziewczynie
Czynić to, co jej honor pozwala.
- GNIEWOSZ. Dobrze, panno, to uczynię,
Lecz tego Niemca drągala
Trzeba przyjąć i ugościć,
Jak w polskim zamku przystoi.
- LAURA. Wpuść mi więc tego człowieka,
Lecz gotów bądź do pałasza,
I kundla mi Barabasza,
Co na Żydy zawsze szczeka,
Wpuść, Gniewoszu, na pokoje,
Bo ja Niemców serdecznie się boję.
- KSIAŻĘ *wchodzi*. Czarowna gwiazdo Lechitów!
- LAURA. Szanowny... jak tytuł waszmości?
- KSIAŻĘ. Kurfiszt.
- LAURA. Więc, szanowny kurfirsztacie,
Bądź pozdrowion.
- KSIAŻĘ. Gwiazdo złota!
Widzisz mię, że tu przychodzę
Jak minnesinger — z gitarą,
Bez sług, bez pocztu, jedynie

Serce niosąc ci pasterskie
Zwyczajem naszych rycerzy,
Których czyny kawalerskie ¹⁾
Okolo kochanek wieży
Tak się kręcą, jak powoje,
Aż ją kwiatami obrzucą —
Niechaj błysną oczy twoje,
Niech usta twoje zanucą,
A przysięgam — za piosenkę
Twych ust i oczu błysnięcie —
Wyzwać stu rycerzy na rękę,
Lub przedsiębrać przedsięwzięcie,
Jakie mi piękność naznaczy,
Jakie twe chęci obiorą;
Jeśli pokorne, z pokorą —
Jeśli rozpaczne, w rozpacz, —
Jeśli miłosne, z miłością, —
Z dzielnością, jeżeli dzielne —
Przez śmierć, jeżeli śmiertelne —
Szlachetne ze szlachetnością —
Jeżeli podłe, zelżywie —
Jeżeli długie, cierpliwie —
Jeśli nieludzkie, z żałością —
Jeśli milczące, z milczeniem —
Jeśli ogniste, z płomieniem —
Zawsze jako sługa wdzięków,
Chociaż cierpiący — bez jęków,
Choć nieszczęśliwy — bez skargi.
LAURA. Zaprawdę, że złote masz wargi,
Jak święty Jan Złotousty.

¹⁾ Rycerskie.

KSIAŻĘ. Przyjmij ten kwiat mej ofiary!

LAURA. Zareczasz mi, że nie pusty?

KSIAŻĘ. Jestem paragonem ¹⁾ wiary.

LAURA. Więc, choć bez żadnej nagrody?...

KSIAŻĘ. Nagrodą — śmierć, co mi sklei

Oczy, i zgon będzie młody.

LAURA. Więc tak, bez żadnej nadziei?

KSIAŻĘ. Bez żadnej!

LAURA. Więc dobrze, mój sługo.

Odziej się srebrną kolczugą,

Wdziej ubiór polskich husarzy

I jedź do blizkiego klasztoru,

Gdzie dwóch młodych Trynitarzy

W szatach białego koloru,

Przy krzyżach błękitno-czerwonych,

W habitach zakapturzonych,

Spotkają cię u chrzcielnicy.

Tych ludzi weźmiesz pod skrzydło

Twego miecza — i w zbroicy

Będiesz prowadził, gdzie każą;

A choćby ogniste straszydło

Z czarną Lucyfera twarzą

Szepnęło ci, że to czarne

W białych są pierzach łabędzie —

Przysiąż im zawsze i wszędzie

Wierność, posłuszeństwo karne,

Obronę i straż i lenność.

Przysiąż im, a to na głowę —

Gdy będą spali — bezsenność,

¹⁾ = synonimem, t. j. moje nazwisko znaczy tyle, co »wiarą«.

Gdy będą chcieli — rozmowę,
Gdy każą — cienia milczenie.
A dowcip, gdy dowcipnym być każą —
A jeśli cię dowcipem obrażą
I zranią — to przebaczenie
Przysięż — a jeśli ich lice
Podglądniesz i w myśli się wkradniesz,
Jeśli nawet imię zgadniesz,
To przysięż im tajemnicę
I dotrwaj wiary, jak książkę.

KSIAŻE. Zgoda.

LAURA. Fontaż ci uwiążę

Do hełmu i do piersi książęcej —

I pożegnam cię na wieki,

Bo mnie nie zobaczysz więcej.

KSIAŻE. Słońcem świecę — choć od słońcam daleki!

LAURA. Widzisz, Gniewoszu; nie chciałam zniechę-

[cię

Tego człowieka, bo ma piękną duszę.

Ach, każdą strunę można tak nakręcić,

Że wyda piękny dźwięk. Teraz więc muszę,

Choć słońce schodzi już prawie z ugoru,

Jechać z Lirenką moją do klasztoru.

Tam dwóch braciszków najmłodszych wybiorę

I na wykupno więźni dam pieniądze;

Już ze sztandarów moich tęcza gore

Ponad ogromne krągłych tarcz mosiądze...

Wszystko, co pod tą tęczą złotą stoi,

Wszyscy rycerze ci są sercem moi.

Więc, jeśli który pójdzie w poimanie

Tam, gdzie go mój duch i serce posyła,

Moja go ręka stamtąd wydostanie,

Jak gdybym siostrą, lub matką mu była —
A jeśli umrze...

SCENA IX.

ZAWISZA. Patrzej, Manduło, jakie tu kwiateczki,
O których pszczołki same tylko wiedzą,
Albo pasterze czasem i owieczki.
Patrz, jak tu czarne dęby cicho siedzą;
Jelonki przyjdą, ludzi się nie zlekną!
Patrzej, jaką mam ja ojczyznę piękną!
To raj, Manduło, raj temu, kto w doli
Ma cichy żywot i dobrą rodzinę;
Mnie od młodości twarde serce boli —
Nie wiem dlaczego, ale się w drużynę
Ani majątek nie zaopatrzyłem;
Ot, tak, jak gdybym był aniołem, żyłem.
Kto wie, czy dobrze to — bo miałem matkę,
O którą wszakże było dbać potrzeba;
A ta kobieta miała chłopską chatkę,
Jednego sługę — i poszła do nieba,
Rzuciwszy ciało z płaczem niesłychanym
Po mnie, na biednym tapczanie drewnianym
Pośród czterech świec żółtych położone,
Nad którym baby kościelne śpiewały.
Nie dziw się, że me piersi podniesione
We śnie tylekroć głęboko wzdychały —
Nie dziw się, że tak wzdychałem boleśnie;
Ja o niej wtenczas śnie, gdy wzdycham we śnie.
Hej, Głupcze! Ognia mi tu w lesie zapal
I daj mi flaszę z likworem z Elbląga!
Pijmy — jak mówił niegdyś Sardanapal —
Miłujmy — reszta nie warta szeląga.

Smutno mi. Cierpię, jak dziecko, haniebnie!
Kiepsko, żem w zamek ten wlażł niepotrzebnie;
Ot, tam coś było takiego, Manduło,
Nieprzystojnego żelaznej żołnierce,
Że mi i myśli na długo popsuło
I na długo mi rozbroiło serce
I smutkom teraz moim niema miary.
Nie wiem, lecz były — czuję — jakieś czary.
GŁUPIEC. Primo: co do matki — sędzę,
Że niepotrzebna troska,
Bo jest Matka Częstochowska,-
Druga Matka w Poczajowie,
A obie mają pieniądze,
Wota, brylanty i nowie
Miesięczne z czystego złota
Pod nogami.

.

SCENA X.

LAURA. Lecz cóż to, pachole lube?
Czy wracasz, czy pan cię przysyła
Do zamku po jaką zgubę —
Czym ja czar na was rzuciła
Taki zaklęty i srogi,
Że nie znajdujecie drogi
I koło wież tych bładzicie,
Gwiazdy białemi przykuci?
Błogosławiony, kto wróci —
Czy to gwiazdka na błękicie,
Czy to jaskółka z nadmurza —
Mów, bo usteczek twych róża
Pewnie mi coś miłego zanuci.

Cóż to, czy mówisz na migi?
Co to znaczy? Ta książeczka,
To psalterz jest królowej Jadwigi —
A ten szkaplerz i ta świeczka
I kwiaty, co wszystko to znaczy?
Ty sam, jak gdyby w rozpacz,
Usta masz ogniste, otwarte —
Pokazujesz mi tę kartę,
Która wyściela oprawę
I wprzód była żółtej cery,
Teraz na niej charakter¹⁾
Jakieś — Panie Jezu! — krwawe,
Podobne piekiel przysiedze
Błyszczącej na księgi głowie,
O której ci aniołkowie,
Wymalowani na księdze,
Na półmiesiącach i ptakach
Rajskich, tęczowych, nie wiedzą.
Cóż? Oczy me twoje zjedzą;
Mów, bo ja w tych krwawych znakach,
Oprócz krwi, nie widzę nic.
MANDUŁA. To pismo — pisane bez świec,
Bo gwiazdy świeciły tajemne —
Musi być straszne i ciemne,
Do krwawych podobne chmur.
To pismo, pisane bez piór,
Których czern zwyczajna używa —
Dlatego serce przeszywa,
Bo pisane zębem strzał,
W tym piśmie jeden ci dał

¹⁾ = litery, pismo.

Swego serca cudny śpiew,
A drugi tylko dał krew.
A krew ta nie była blada,
Lecz żywa.

LAURA. Co chłopiec ten gada!
Więc to krew ludzka? Prawdziwa?!

MANDUŁA. Pani!

LAURA. Ach! łez mi dobywa
Ubóstwo tego rycerza.

MANDUŁA. Co?

LAURA. Że na karcie z psalterza
Musiał pisać krwią i strzałą.
Gdzie pisał?

MANDUŁA. Na jednej mogile,
Gdzie dwie smętnych brzóz płakało,
A trawka młoda się mile
Stroiła w tysiąc stokroci,
Że, gdy słońce ziemię złoci,
To ta mogiła niewdzięczna
Zawsze, jak siostra miesięczna,
Na stepie gwiazd swych nie gasi —
Na grobie, gdzie niegdyś wasi
Ojcowie polegli zgrają
I teraz się wysypiają,
Pomnąc na półksiężyc krzywy,
Tam ja, giermek nieszczęśliwy,
Jak zwykle, u stóp kurhanu
Usiadłszy, pokorny sługa,
Przysłuchiwałem się panu,
Jak harfie, którą wiatr trąca;

Bo często jego kolczuga ¹⁾
Na wschodzącą twarz miesiąca
Grzmi — a gdy zaszumią drzewa,
Często coś tarcza odśpiewa
I często wiatrom ponuro
Szepce coś na hełmie pióro,
Tak, że — choć ten rycerz niemy
W myśli, albo w sen zapada —
Dla mnie jego zbroja gada;
A czasem z brzoźami płaczemy
Nędznego rycerza losu,
Gdy on spi i nas nie słyszy. —
Otóż — tej nocy w Zawiszy
I serce nie było bez głosu,
Pierś we śnie nie była cicha.
Słyszałem, jak spi i wzdycha
I pierwszy raz odpowiada
Zbroi żelaznej chrzęstowi;
Siadłem blisko i strach mrowi
Przeleciał mię na wskrós, jak strzała —
Słyszę: on o śmierci gada,
Siedem strzał dobywa z ciała,
Z siedmiu ran wypuszcza duszę
I krwią pluszcze każda rana —
Krzyczy, że dusza porwana
Przez siedmiu złotych aniołów —
Krzyczy, że jest garścią popiołów
Bez żadnej siły i mocy
I — strach mię przenika mrowi.. —

¹⁾ Kolczuga, koszula pancerna, złożona z małych kółeczek metalowych.

Swemu własnemu trupowi
Życzy w grobie dobrej nocy
I ciału własnemu łaje,
Jako niewiernemu słudze!
Złękniony, trącam go, budzę,
Pytam go, czy chory. Wstaje,
Obziera się i w ogromny
Księżyc, podówczaś na wschodzie,
Wpatruje się — nieprzytomny,
Blady i ku twojej gospodzie
Długo, długo zapatrzony —
A właśnie księżyc czerwony
Ze zwykłą smętnością mgieł
Szedł tak, za mury się kryjąc,
Że często wieży się kieł
Ogniowi rozniecił na tło,
A czasem, przez luki bijąc
Krwawe miesięcowe światło,
Wydawało się, jak piekło
Przez okna twoje błyszczące —
Czasem pod mostami ciekło
Wielkie morze gorejące,
A czasem dwa półmiesiące
Zamkiem twym czarnym rozcięte,
Jak dwa jakie skrzydła święte,
Dwa piekielne półdukaty,
Zamek trzymały skrzydlaty
Na niebie — a mrok był taki,
Że mgła, miesiąc i zamczysko
I girlandami gdzieś ptaki
Wędrujące — wszystko razem,
Jakby smutne uroczysko

Za duchów było rozkazem,
Gotowe mgłą się zamazać,
Zniknąć i znów się pokazać,
Posłuszne, jakby czarowi.
Patrzac na to, mój pan dzielny,
A waszemu Chrystusowi
Podobny, chociaż śmiertelny,
A tak przed śmiercią nie drżący
I tak gotów do ofiary
I tak wszystko kochający
Bez wagi w sercu i miary,
Że dla ludzi zda się Bogiem —
Zaczął się swojemu snowi
Przypatrywać i śmiertelny
Pot mu wystąpił na lica.
Często on tak, od księżycy
Uderzony, wstawał chory —
Częstom słyszał jego mowę,
W jakieś anielskie kolory
Ubraną, która połowę
Słów zamieniała już w tony —
Ale dziś, gdy roześniony
Duch jego wystąpił z ciała
I ciebie żegnał, półsenny —
Gdy jego dusza śpiewała,
A on był, jakby kamienny
I wiatr go nie zakołysał —
Gdy mówił, a jam krwią pisał
I łzami wielkimi był ślepy —
Tej pieśni zlekły się stepy,
Gwiazdy się wszystkie przelekły,
Księżyc zbladł, niebiosą pękły

I pokazały nam wieczny,
Zabłąkitny, zaśloneczny,
Rubinowy duchów rumieniec.
LAURA. Cudny ty jesteś szaleniec!
Gdzie ta pieśń?

MANDUŁA. W psalterzu stoi.

LAURA. Lecz patrz — to nie po szlachecku
Tak śmiać się, panowie moi...
To pisano po turecku,
Ja tych liter nieświadoma.

MANDUŁA. Co?

LAURA. Patrzaj sam! Ja łakoma
Tej pieśni, a pieśń ta nie śpiewa.

MANDUŁA. Z tej karty tak wieje głos,
Jak z róż wschodnich woń powiewa.

LAURA. Nie słyszę.

MANDUŁA. Więc to twój los —
Nie słyszeć, jak serce to gra.

LAURA. Z oczu twych wypadła skra,
Z lic wytrysły ciemne róże.
Powtórz mi tę pieśń, na Boga,
Bo mi ją tu na torturze
Wyśpiewasz!

MANDUŁA. Co, piękna? Tak sroga?

LAURA. Jezu! Za kindżał się chwyta?
Ty nie giermek, ty kobieta!

MANDUŁA. Skąd wiesz?

LAURA. Bo przeciw kobiecie
Giermekby nie dobył noża.

MANDUŁA. Coś ci dam.

LAURA. Tę pieśń.

MANDUŁA. Weź życie!

LAURA. Poganko!

MANDUŁA. Słuchaj — jak ty, jestem boża.

LAURA. Ha! Nierządnica ty jesteś gorąca,

 Za tym aniołem Polski się włącząca.

 Ha! Czarna jesteś, choć puch masz łabędzi;

 Jak on cię pozna taką — to odpędzi!

MANDUŁA. Przed śmiercią swoją na jedną godzinę

 Pozna, kto jestem, gdy zgraja pancerna

 Nie zechce ginąć, a ja przy nim zginę;

 Pozna kto jestem, bo pozna, żem wierna —

 Dam się, jak sztandar, potargać na ćwierci,

 Bo nie tak, jak wy, kocham — lecz do śmierci!



Ms. 29/27

— 18. 45' —

